

NR 1 NA ŚWIATOWYCH LISTACH BESTSELLERÓW

SYLVIA DAY



TYLKO MNIE UWIEDŹ



# SYLVIA DAY

## TYLKO MNIE UWIEDŹ



Z angielskiego przetłumaczyła Ksenia Sadowska

 WIELKA LITERA

Moim kochanym przyjaciółkom,  
Shelley Bradley i Annette McCleave.

Dziękuję wam obu za przyjaźń,  
wsparcie i burze mózgów, które razem toczyłyśmy,  
kiedy pracowałam nad książką. Były bezcenne.

Jestem wam bardzo wdzięczna.

# ROZDZIAŁ I

---

*London, 1780*

Mężczyzna w białej masce ją śledził.

Amelia Benbridge nie była pewna, od jak dawna szedł za nią ukradkiem, ale z całą pewnością właśnie to robił.

Przechadzała się niespiesznie wokół sali balowej Langstonów. Dostroiwszy zmysły do jego ruchów, co jakiś czas odwracała głowę, rzekomo zainteresowana otoczeniem, a naprawdę po to, by przyjrzeć mu się dokładniej.

Za każdym razem, gdy rzucała mu spojrzenie, czuła, że brakuje jej tchu.

Pierwsza lepsza kobieta w takim tłoku nie zwróciłaby nawet uwagi, że wzbudza czyjeś żywe zainteresowanie. Widoki, dźwięki i zapachy balu maskowego oszalały. Ostre kontrasty jaskrawych tkanin, morze koronek, nakładające się na siebie głosy, z których każdy chciał być słyszalny ponad muzykę, zmieszany zapach wielu gatunków perfum i stopionego wosku świec w olbrzymich żyrandolach...

Amelia nie była jednak pierwszą lepszą kobietą. Przez pierwszych szesnaście lat życia pilnie jej strzeżono, dokładnie śledzono każdy jej krok. Kiedy ktoś przyglądał się jej z bardzo bliska,

wyczuwała to szóstym zmysłem, po prostu wiedziała. Nie pomyliłaby tego z niczym innym.

Nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że nigdy nie przyglądał jej się nikt, kto wywierałby na niej podobne wrażenie...

Odczucie, które powodował ten człowiek, było bowiem potężne – mimo dzielącej ich odległości i faktu, że górną połowę twarzy miał zakrytą. Uwagę przykuwała sama jego sylwetka. Był wysoki i proporcjonalnie zbudowany, a jego strój został idealnie dopasowany – tak by ciasno opinał umięśnione uda i szerokie ramiona.

Doszła do rogu sali i odwróciła się, ustawiając się do niego pod kątem. Skorzystała z okazji, by unieść maskę, która przysłaniała jej oczy. Kolorowe wstążki, zdobiące uchwyt maski, opadły na jej osłonięte rękawiczką przedramię. Udawała, że obserwuje tańczących, ale w rzeczywistości mierzyła badawczym spojrzeniem tego mężczyznę. Próbowwała go gdzieś umiejscowić, z czymś skojarzyć. Uznała, że to w porządku. Skoro on może patrzeć na nią bezpośrednio, to dlaczego ona miałaby nie robić tego samego.

Cały, nie licząc śnieżnobiałych pończoch, krawatki i koszuli, był w czerni. I nie licząc maski. Tę miał najzwyczajniejszą, nieozdobioną ani farbą, ani piórami, umocowaną na głowie za pomocą czarnej satynowej wstążki. Inni mężczyźni, by zwrócić na siebie uwagę, wybrali na bal jaskrawe ubrania w różnych kolorach, wydawało się więc, że oszczędny, surowy strój tego człowieka miał za zadanie pozostawić go w mroku. Jego ciemne włosy połyskiwały w blasku setek świec i wręcz prosiły, by przeczesaly je kobiece palce.

A jego usta...

Spojrząwszy na nie, Amelia wzięła gwałtowny wdech. Jego usta przypominały wcielenie grzechu. Mistrzowsko wyrzeźbione, nie za pełne i zarazem nie za wąskie, za to zdecydowanie twarde. Bezwstydnie zmysłowe. Otoczone ostrym podbródkiem, mocną szczęką i ogorzałą skórą. Jego uroda sprawiała wrażenie cudzoziemskiej. Amelia mogła tylko zgadywać, jak jego twarz

wyglądałaby w pełnej krasie. Podejrzewała, że widok ten mógłby wytrącić każdą kobietę z równowagi.

Intrygowała ją jednak nie tylko fizjonomia nieznanego. Chodziło o sposób, w jaki się poruszał – niczym drapieżnik, w pełnym skupieniu czający się na z góry upatrzoną, ponętą ofiarę. Nie drobił kroków, nie przybierał znudzonej pozy, co było tak często spotykane wśród mężczyzn w towarzystwie. Ten człowiek wiedział, czego chce i nie miał zamiaru tego ukrywać.

W obecnej chwili wszystko wskazywało na to, że chce ją śledzić. Spojrzenie, które na nią kierował, było tak gorące, że czuła, jak na wskroś świdruje jej ciało, przebiega po jej nieupudrowanych włosach i tańczy na nieosłoniętej szyi. Prześlizguje się po jej obnażonych ramionach i przesuwa w dół, wzdłuż kręgosłupa. Pożądliwie.

Nie potrafiła zgadnąć, czym zwróciła na siebie jego uwagę. Wiedziała, że jest dosyć ładna, ale nie ładniejsza niż większość zebranych tu kobiet. Jej suknia, choć piękna, z kunsztownymi halkami ze srebrzystej koronki i z delikatnymi kwiatuśkami z różowej i zielonej wstążki, nie mogła bynajmniej uchodzić za najbardziej olśniewającą na sali. Zwykle też mężczyźni zainteresowani związkiem nie uderzali do niej w konkury – było powszechnie wiadomo, że Amelia od lat utrzymuje znajomość z księciem Ware'em, i że przyjaźń ta najpewniej poprowadzi oboje do ołtarza. Może nie tak prędko, ale z całą pewnością.

Czego więc mógł od niej chcieć ten mężczyzna? I dlaczego do niej nie podchodził?

Amelia odchyliła się nieco, by stanąć z nim twarzą w twarz. Zsunęła maskę i spojrzała wprost na niego, tak by nie musiał zastanawiać się, na kogo patrzy. Nie pozostawiła mu żadnych niedomówień. Miała nadzieję, że jego długie nogi pewnym, zdecydowanym krokiem przyniosą go bliżej. Pragnęła zaczerpnąć o nim więcej informacji – poznać dźwięk jego głosu, poczuć zapach wody kolońskiej i własną reakcję na bliskość jego potężnego ciała.

Wtedy też zapragnęła się dowiedzieć, o co mu chodzi. Przez całe dzieciństwo, które Amelia przeżyła bez matki, w tajemnicy przewożono ją z miejsca na miejsce, często zmieniano jej piastunki, by z żadną nie zdołała nawiązać głębszej więzi. Została też oddzielona od rodzeństwa. Nie było więc nikogo, kto otaczałby ją szczerą troską. Z tego powodu brakowało jej zaufania do wszystkiego, co nieznanne. A zainteresowanie tego mężczyzny z całą pewnością nie było normalne. I dlatego wymagało wyjaśnienia.

Milczące, wyzywające spojrzenie, które wbiła w nieznanego, wywołało natychmiastowy efekt. Przez mężczyznę przeszło dostrzegalne napięcie. Odpowiedział jej błyskiem oczu zza maski. Minęła dłuższa chwila, ale Amelia, całkowicie skoncentrowana na jego reakcji, nawet nie zwróciła na to uwagi. Wokół kręcili się goście, czasem przysyłając jej widok, a potem znów go odsłaniając. Nieznajomy równocześnie zacisnął pięści i szczękę. Widziała, jak jego pierś unosi się w głębokim oddechu – i dokładnie w tej samej chwili ktoś wpadł na nią z tyłu i mocno ją potrafił.

– Przepraszam, panno Benbridge.

Zaskoczona, odwróciła wzrok, by sprawdzić, kto był tak nieuważny. Jej oczom ukazała się postać w peruce i fioletowobłękitnym satynowym stroju. Mruknęła coś i zmusiła się do pobieżnego uśmiechu, przyjmując przeprosiny, po czym jak najszybciej przeniosła wzrok z powrotem na mężczyznę w masce.

*Który zniknął.*

Zdziwiona, zamrugła oczami. *Zniknął.* Amelia wspięła się na palce i zaczęła gorączkowo rozglądać się po sali. Był wysoki, a jego barki – wyjątkowo szerokie. Nie nosił peruki, co dodatkowo ułatwiało identyfikację, ale i tak nie mogła go znaleźć.

*Dokąd poszedł?*

– Amelio.

Doskonale знаła niski, elegancko przeciągający samogłoski głos, który rozległ się tuż przy jej ramieniu. Rzuciła szybkie, rozkojarzone spojrzenie w stronę nadchodzącego przystojnego mężczyzny.

– Tak, milordzie?

– Kogo szukasz? – spytał książe Ware, wyciągając szyję i podążając za jej wzrokiem. Kto inny wyglądałby przy tym śmiesznie, ale nie Ware. On nie potrafiłby wyglądać nawet o cal gorzej niż doskonale – od czubka zdobnej w perukę głowy po wysadzone diamentami obcasy butów metr osiemdziesiąt niżej. – Czy oczekiwałbym zbyt wiele, mając nadzieję, że właśnie mnie?

Uśmiechając się z zażenowaniem, Amelia zaprzestała łowów i włożyła mu rękę pod ramię.

– Szukałam zjawy – odparła.

– Zjawy? – Jego niebieskie oczy zaśmiały się do niej przez otwory w malowanej masce. Twarz Ware’a miała tę właściwość, że przybierała jeden z dwóch wyrazów: niebezpiecznego znużenia lub ciepłego rozbawienia. Amelia jako jedyna osoba w jego życiu potrafiła przywołać ten ostatni.

– Czy było to widmo budzące grozę? Czy coś bardziej interesującego?

– Nie jestem pewna. W każdym razie chodził za mną.

– Wszyscy mężczyźni cię śledzą, najdroższa – rzucił z lekkim uśmiechem. – Przynajmniej wzrokiem, jeśli nie na nogach.

Amelia ostrzegawczo ścisnęła go za ramię.

– Drocysz się ze mną.

– Bynajmniej. – Uniósł jedną butną brew. – Często wydajesz się pogrążona w świecie własnych fantazji. A widok zadowolonej z siebie kobiety działa na mężczyzn niezwykle silnie. Każdy wtedy chciałby się do niej wślizgnąć i doświadczyć zjednoczenia.

Intymny ton głosu Ware’a nie pozostał bez wpływu na Amelię, która zerknęła na niego spod rzęs.

– Niegrzeczny.

Książę roześmiał się, a stojący dookoła ludzie zagapili się na niego. To samo zrobiła Amelia. Wystarczyła nutka dobrego humoru, by człowiek ten zmienił się ze znużonego życia arystokraty w niezwykle atrakcyjnego mężczyznę.



Ware zaczął się przechadzać, umiejętnie prowadząc ją przez tłum. Znała go już sześć lat – poznała go, kiedy miał osiemnaście lat. Na jej oczach stał się mężczyzną, którym był dzisiaj. Patrzyła, jak wchodzi w pierwsze związki i jak relacje z kobietami zmieniają go, choć żadna z wybranek nie zdołała przykuć jego uwagi na dłużej. Wszystkie widziały tylko jego urodę i majątek, którym miał zarządzać po śmierci ojca. Kto wie, może nawet mógłby z tym żyć, gdyby przedtem nie poznał jej. Ale poznał i połączyła ich wielka przyjaźń. Płytsze związki przestały przynosić mu zadowolenie. Miał wprawdzie kochanki, by zaspokajały go fizycznie, lecz swe potrzeby emocjonalne zachowywał dla niej.

Pobiorą się, wiedziała to. Żadne z nich nigdy o tym nie wspomni-  
ało, ale oboje rozumieli, że to oczywiste. Ware czekał po prostu na dzień, kiedy Amelia osiągnie gotowość, by przekroczyć więzi przy-  
jaźni i zrobić następny krok – do jego łóżka. Kochała tę jego cier-  
pliwość, mimo że nie była w nim zakochana. Żałowała tego.  
Żałowała co dnia. Jej serce należało bowiem do innego. Cóż z tego,  
że rozłączyła go z nią śmierć, kiedy jej serce pozostało mu wierne.

– Gdzie teraz błądzą twoje myśli? – zapytał Ware, skłaniając  
lekko głowę, by odpowiedzieć na powitanie któregoś z gości.

– Są przy tobie.

– Ach, to cudownie – zamruczał, a w jego oczach zalśniło zado-  
wolenie. – Opowiedz mi wszystko.

– Myślę sobie, że bycie twoją żoną przyniesie mi dużo radości.

– Czy to oświadczyzny?

– Nie jestem pewna.

– Hm... Cóż, zbliżamy się do tej chwili. W pewnym sensie mnie  
to pociesza.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Stajesz się coraz bardziej niecierpliwy?

– Potrafię czekać.

Odpowiedź była niejasna i Amelia zmarszczyła brwi.

– Nie obawiaj się – przestrzegł ją łagodnie Ware, wyprowadzając ją przez otwarte przeszklone drzwi na zatłoczone patio. – Na razie jestem zadowolony. Oczywiście, o ile ty również.

Poczuła na skórze chłodny, wieczorny powiew. Wzięła głęboki wdech.

– Nie jesteś ze mną całkowicie szczery – powiedziała, po czym zatrzymała się przy marmurowej balustradzie i zwróciła przodem do niego. Inne, stojące nieopodal, pogrążone we własnych rozmowach pary rzuciły w ich stronę ciekawskie spojrzenia. Mimo że księżyc przysłonięty był chmurami, kremowa marynarka i bryczesy Ware’a lśniły niczym kość słoniowa, wywołując powszechny podziw i przyciągając uwagę.

– To zgoła nieodpowiednie miejsce, by rozważać coś rokującego tak doskonale jak nasza przyszłość – rzekł i sięgnął ręką za głowę, by rozwiązać troczki maski. Zdjął ją, odsłaniając profil tak szlachetny, że mógłby zostać uwieczniony na monecie.

– Wiesz, że nie uda ci się tak łatwo mnie zbyć.

– A ty wiesz, że właśnie dlatego tak bardzo cię lubię. – Wysłał jej powolny, prowokacyjny uśmiech. – Moje życie jest poddane surowej dyscyplinie i skategoryzowane. Panuje w nim ład, wszystko jest na swoim miejscu. Znam swoją rolę i dokładnie wypełniam pokładane we mnie oczekiwania społeczne.

– Prócz zabiegania o moje względy.

– Prócz zabiegania o twoje względy – zgodził się. Jego obleczona w rękawiczkę ręka odnalazła jej dłoń i ścisnęła ją. Ustawił się pod takim kątem, by ciekawskie spojrzenia nie mogły osiągnąć ich skandalicznej bliskości. – Jesteś moją piękną księżniczką, uratowaną z samotnej wieży przez nikomu nieznanego pirata. Córką wicehrabiego, powieszono go za zdradę, siostrą prawdziwej *femme fatale* – kobiety, która zamordowała dwóch mężów, by poślubić trzeciego – zbyt niebezpiecznego, by ważyła się podnieść na niego rękę. Jesteś moją ofiarą, moją dewiacją, moim małym grzeszkiem.

Mówiąc to, przeciągnął kciukiem po wnętrzu jej dłoni, tak że przeszedł ją dreszcz.

– Ale ja mam w twoim życiu do spełnienia zupełnie inne zadanie. Jestem twoją kotwicą. Lgniesz do mnie, bo zapewniam bezpieczeństwo i wygodę. – Podniósł wzrok i nad jej głową spojrzął na ludzi, stojących wraz z nimi na patio, po czym nachylił się bliżej i mruknął: – Od czasu do czasu wspominam jednak małą dziewczynkę, która bezceremonialnie zażądała ode mnie pierwszego pocałunku. I żałuję, że wtedy nie odpowiedziałem inaczej.

– Żałujesz?

Ware skinął głową.

– Czy od tego czasu tak bardzo się zmieniłam?

Z maską w jednym ręku, a jej dłonią – w drugim odwrócił się gwałtownie i najbliższymi schodami sprowadził ją na dół, do ogrodu. Wzdłuż niskiego, cisowego żywopłotu, otaczającego okazałą, wypielegnowany trawnik z fontanną pośrodku prowadziła żwirowa ścieżka.

– Upływ czasu zmienia nas wszystkich – rzekł. – Ale sądzę, że w twoim przypadku największej zmiany dokonało odejście ukochanego Colina.

Sama wzmianka o Colinie – najdroższym przyjacielu, a potem również wybranku jej serca, głęboko dotknęła Amelię i przywołała uczucie wszechogarniającego smutku i żalu. Mimo jego niskiej pozycji społecznej – Colin był bratankiem stangreta, zatrudnionego u ojca Amelii – i narodowości cygańskiej, w jej własnym, bezpiecznym, zamkniętym świecie różnice między nimi nie istniały. Colin i Amelia byli sobie równi. Jako dzieci bawili się razem, a w następnych latach nie pozostali obojętni na zachodzące w obojgu zmiany. Ich relacja pogłębiała się. Coraz bardziej traciła na swojej niewinności.

Colin wyrósł na młodego człowieka o egzotycznej urodzie i skrytej sile charakteru, budząc w niej odczucia, na które nie była przygotowana. Jej dni wyznaczały myśli o nim, a noce – marzenia

o skradzionych pocałunkach. Colin był jednak od niej mądrzejszy. Wiedział, że córka możnego arystokraty i chłopak stajenny nie zdołają być razem. Odepchnął ją więc, udając obojętność i łamiąc jej dorastające serce.

By w końcu oddać za nią życie.

Westchnęła, roztrzęsiona. Czasem, tuż przed zaśnięciem, pozwalała sobie o nim myśleć. Otwierała serce i wypuszczała na wolność uwięzione uczucia – pocałunki skradzione w lesie, pełne tęsknoty oczekiwanie, pierwsze dreszcze pożądania. Nigdy przedtem nie odczuwała tak głębokich emocji i wiedziała, że nie zna ich nigdy w przyszłości. Dawne, dziecięce zauroczenie zbladło, a to, co czuła do Colina, było mocne, pewne i nieprzemijające. Już nie buzujący, gwałtowny płomień, lecz łagodne ciepło. Podziw zmieszany z wdzięcznością za poświęcenie, na jakie zdobył się w jej obronie. Mogła zginąć, znalazłszy się w potrzasku między ludźmi ojca a przedstawicielami korony. Colinowi udało się jednak potajemnie ją uprowadzić. Dzięki jego nierozważnej, podsycanej żarem miłości odsiecz znalazła się w bezpiecznym miejscu. Za cenę jego życia.

– I znów o nim myślisz – mruknął Ware.

– Taka jestem przezroczyista?

– Jak szkło. – Ścisnął jej rękę, na co odpowiedziała pełnym przywiązania uśmiechem.

– Sądzisz pewnie, że moja małomówność wynika z tęsknoty za Colinem, ale tak nie jest – to uczucie do ciebie odbiera mi słowa.

– Czyżby?

Amelia widziała, że go zaskoczyła. Odwrócili się z powrotem w stronę rezydencji i powoli ruszyli ścieżką. Przez pootwierane na oścież drzwi do ogrodu wylewały się potoki światła i cudowne dźwięki muzyki smyczkowej, zniechęcając spacerujących gości od zbytniego oddalania się od sali balowej. Byli i tacy, którzy jak Ware i Amelia zapuścili się aż do dalszej części ogrodów, ale wszyscy pilnowali się, by nie zawędrować zbyt daleko.

– Tak, milordzie. Obawiam się, że mogłabym odwieść cię od twej wielkiej miłości.

Ware zaśmiał się lekko.

– Jaka jesteś zabawna. – Wyglądał tak dystygowanie, że dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem pełnym podziwu. – Muszę przyznać, że i moje myśli zaczynają błądzić i marzyć, kiedy widzę na twej twarzy takie zamyślenie. Na tym kończy się moje zainteresowanie sprawami serca.

– Nie masz więc pojęcia, co tracisz.

– Wybacz mi bezduszość, lecz jeśli tym, co tracę, jest twoja wieczna melancholia, to wcale tego nie żałuję. Dodaje ci uroku i roztacza wokół ciebie aurę tajemniczości, której nie jestem w stanie się oprzeć. Muszę ze smutkiem przyznać, iż sądzę, że mi wychodziłoby to znacznie gorzej. Wyszedłbym na żalosego nieszczęśnika, a do tego nie możemy przecież dopuścić.

– Earl Ware – nieszczęśnikiem?

Ironicznie wzruszył ramionami.

– Nie wchodzi w grę, rzecz jasna.

– W żadnym wypadku.

– A więc sama widzisz, Amelio, że jesteś dla mnie stworzona.

Dobrze się czuję w twoim towarzystwie. Lubię w tobie szczerość i umiejętność swobodnej rozmowy na każdy niemal temat. Nie ma w tobie ani niepewności, ani obawy przed odwetem za nierozważny czyn. Nie możesz mnie zranić, a ja nie mogę zranić ciebie, ponieważ oboje nie przypisujemy czynów emocjom, które nie istnieją. Jeśli zachowuję się bezmyślnie, to nie dlatego, że moim zamiarem jest cię zranić, o czym sama dobrze wiesz. Będę cenił nasz związek i jego zalety, póki żyję.

Ware zatrzymał się, gdy doszli do pierwszego stopnia schodów prowadzących z powrotem na patio. Ich krótka chwila intymności miała się ku końcowi. Jej pragnienie, by częściej przebywać z nim sam na sam, bez uciążliwej obecności innych, coraz bardziej pchało

ją do małżeństwa. Opierała się tylko myślom o zbliżeniach, wieńczących ich przyszłe wspólne wieczory.

Wciąż nawiedzały ją wspomnienia pocałunków, żarliwie wymienianych z Colinem, i nie mogła się zmusić, by zaryzykować rozczarowanie z Ware'em. Bała się, że w ich bliskość mogłoby wkraść się zażenowanie. Hrabia był urodziwy, uroczy i pod każdym względem doskonały. Jak wyglądałby zdyszany, czerwony i w nieładzie? Jakie wydawałby odgłosy? Jak by się poruszał? Czego oczekiwałby od niej?

Rozmyślenia te podsycala niechęć – nie niecierpliwe oczekiwanie.

– A co z seksem? – zapytała.

Gwałtownie obrócił ku niej głowę i zamarł ze stopą zawieszoną tuż nad stopniem. W jego niebieskich oczach błysnęło rozbawienie. Wycofał się ze schodka i ustawił twarzą do niej.

– O co konkretnie pytasz?

– Nie obawiasz się, że będzie... – zająknęła się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

– Nie. – W tym krótkim zaprzeczeniu brzmiało pełne przekonanie.

– Nie?

– Kiedy myślę o seksie z tobą, nie czuję najmniejszych obaw. Chęci, jak najbardziej. Niepokoju – wcale. – Podeszedł do niej jeszcze bliżej i nachylił się, po czym odezwał się intymnym szeptem: – Nie wahaj się z tego powodu. Oboje jesteśmy młodzi. Możemy wziąć ślub i po ślubie jeszcze poczekać albo najpierw poczekać, a potem wziąć ślub. Nie będę prosił, byś robiła coś, na co nie masz ochoty, nawet z obrączką na palcu. Teraz jeszcze nie – usta mu drgnęły – ale za kilka lat mogę nie być równie wyrozumiały. Kiedyś muszę wszak mieć potomstwo, a ty jesteś nadzwyczaj kuszącą kandydatką na matkę.

Amelia w namyśle przechyliła głowę, po czym skinęła nią.

– Dobrze – rzekł Ware z wyraźnym zadowoleniem. – Postęp, nawet nieznaczny, zawsze jest mile widziany.

– Więc może już pora dać na zapowiedzi.

– Na Boga, toż to znacznie więcej niż nieznaczny postęp! – wykrzyknął z przesadną żywiołowością. – W zasadzie zabrnęliśmy już bardzo daleko.

Zaśmiała się, a on zrobił figlarną minę.

– Będziemy razem szczęśliwi – obiecał.

– Wiem.

Ware zakładał z powrotem maskę, a ona w oczekiwaniu błędziła wzrokiem dookoła. Ponad linią wyznaczoną przez poręcz marmurowej balustrady po ceglanej ścianie rezydencji pięły się bujne zwoje bluszczu. Spoglądając dalej wzdłuż poręczy, natrafiła wzrokiem na następne patio, położone nieco niżej i nieoświetlone, by zniechęcić gości do aż takiego oddalania się od sali balowej. Dla dwóch osób, które tam zawędrowały, sygnał ten okazał się najwyraźniej niewystarczający lub po prostu osoby te nie wzięły go wcale pod uwagę. Tak czy inaczej, powód, dla którego tam się znalazły, nie był dla Amelii istotny. Bardziej interesowało ją, kim były te osoby.

Mimo głębokiego mroku, zalegającego na drugim patio, w jednej z postaci rozpoznała swego niedawnego tajemniczego prześladowcę. Miał na sobie tę samą śnieżnobiałą maskę, a jego czarne włosy i strój doskonale wtapiały się w noc.

– Mój Boże – wyszeptła, po omacku wyciągając rękę, by chwycić Ware'a za ramię. – Widzisz tego dżentelmena, o tam?

– Tak.

– To ten sam, który wcześniej darzył mnie takim zainteresowaniem.

Hrabia skierował na nią poważne spojrzenie.

– Wcześniej to zlekceważyłaś, ale teraz zaczynam się niepokoić. Czy ten człowiek w jakiś sposób był dla ciebie przykry?

– Nie. – Jej oczy zwały się, kiedy dwaj mężczyźni rozdzielili się i rozeszli na dwie strony: człowiek zjawa odszedł w dal, a ten drugi ruszył w ich stronę.

– Ale jest w nim coś, co burzy twój spokój. – Ware przesunął jej zaciśniętą dłoń, tak by leżała na jego przedramieniu. – A powód, dla którego spaceruje w ciemnościach, budzi wiele pytań.

– Tak, zgadzam się.

– Mimo że odkąd uwolniłaś się spod opieki ojca, minęło wiele lat, czuję, że należy zachować ostrożność. Kiedy ma się za krewnego okrytego złą sławą przestępcę, każdy nieznajomy wydaje się podejrzany. Nie możemy pozwolić, by wałęsały się wokół ciebie jakieś dziwne typy. – Ware poprowadził ją szybko po schodach w górę. – Co powiesz na to, by nie oddalać się ode mnie przez resztę wieczoru?

– Nie mam powodów, by się go obawiać – sprzeciwiła się bez przekonania. – Wydaje mi się, że najbardziej zdziwiła mnie moja własna reakcja na jego obecność, nie samo jego zainteresowanie.

– A więc zareagowałaś na jego obecność? – Ware zatrzymał się, przestąpiwszy próg i odciągnął ją na bok, by nie blokować drogi wchodzącym i wychodzącym. – W jaki sposób?

Amelia uniosła maskę, odsłaniając twarz. Jak, nie przywiązuując większej wagi do uczuć, które się w niej obudziły, miała wytlumaczyć, że podziwiała jego potężną sylwetkę i fascynującą, intensywną obecność?

– Byłam zaintrygowana. Chciałam, żeby podszedł i odsłonił twarz.

– Czy powinienem się niepokoić, że inny mężczyzna tak szybko zawładnął twoją wyobraźnią? – W głosie hrabiego zabrzmiało rozbawienie.

– Nie. – Uśmiechnęła się. Ich zażyłą bliskość, wynikającą z przyjaźni, uważała za bezcenną. – Podobnie jak ja nie niepokoję się, kiedy ty interesujesz się innymi kobietami.

– Lordzie Ware – powiedział ktoś.



Oboje odwrócili się w stronę głosu. Należał do mężczyzny, którego niski wzrost i korpulentna sylwetka, mimo maski na twarzy, nie pozostawiały wątpliwości co do jego tożsamości. Sir Harold Bingham, sędzia z Bow Street.

– Sir Harold – przywitał go Ware.

– Dobry wieczór, panno Benbridge – rzekł sędzia, uśmiechając się do niej życzliwie. Znany ze swych surowych rządów sędzia, jednocześnie cieszył się powszechnym uznaniem jako człowiek mądry i sprawiedliwy.

Amelia dosyć go lubiła, co odzwierciedliło się w ciepłym powitaniu.

Ware pochylił się ku niej i zniżywszy głos, wyszeptał jej prosto do ucha:

– Wybaczysz mi na moment? Chciałbym z nim omówić kwestię twego adoratora. Może dowiemy się, kim jest.

– Oczywiście, milordzie.

Obaj panowie oddalili się nieco, a Amelia wodziła wzrokiem po sali balowej, wyszukując znajome twarze. Zauważyła nieopodal kilkoro znajomych i ruszyła w ich stronę.

Po kilku krokach zatrzymała się jednak ze zmarszczonym czołem.

Chciała wiedzieć, czyja twarz kryje się za białą maską. Ciekawość nie dawała spokoju jej myślom, dręczyła ją i nurtowała. Człowiek ten patrzył na nią z tak niezwykłą intensywnością, że nie mogła przestać myśleć o chwili, kiedy ich oczy się spotkały.

Odwróciła się gwałtownie na pięcie i znowu wyszła na dwór, a potem – po schodach do dalszej części ogrodu. Tu i ówdzie kręcili się goście – wszyscy szukali wytchnienia od ścisku. Zamiast jednak pójść prosto tą samą ścieżką, którą obrali z Ware'em lub na prawo w stronę drugiego, nieoświetlonego patio, Amelia skręciła w lewo. Kilka metrów dalej stała marmurowa Wenus, a pod nią, na wybrukowanym półkolistym placu, ławeczka w kształcie półksiężyca. Miejsce to było otoczone takim samym niskim, idealnie

przyciętym żywopłotem jak ten, który obwodził trawnik i fontannę. Chwilowo nikt w nim nie przebywał.

Amelia zatrzymała się nieopodal rzeźby i cicho zagwizdała ustaloną melodię – sygnał dla czatujących w ukryciu ludzi jej szwagra. Nieustannie znajdowała się pod ich czujnym okiem i nie miała nadziei, że to się kiedyś zmieni. Cóż, była to nieunikniona konsekwencja faktu, że za szwagra miała znanego pirata i przemytnika o nazwisku Christopher St. John.

Czasem miała dość nieustannego braku prywatności, ciągłego bycia śledzoną i obserwowaną. Życie proste i zwyczajne, pozbawione konieczności stałej ochrony, pozostawało jedynie w sferze jej marzeń. Czasem jednak, na przykład tej nocy, odczuwała ulgę, że jest pod stałą, a zarazem dyskretną opieką. Nigdy nie pozostawiali jej samej sobie, co pozwalało teraz patrzeć na męczyzną zjawę bez obaw. Dzięki obecności ludzi St. Johna mogła bez wahania zaspokoić ciekawość.

Czekała, niespokojnie postukując stopą o żwir. Przez to nie usłyszała zbliżających się kroków mężczyzny. Wyczuła jednak jego obecność – po szyi i wzdłuż kręgosłupa przeszły jej ciarki, odwróciła się prędko i wydała cichy okrzyk zdziwienia.

Stał przed samym żwirowym półkolem z figurą – wysoka, ciemna postać, emanującą energią tak żywą, że trudno było się jej oprzeć. W bladym świetle księżyca jego czarne pukle połyskiwały niczym skrzydła kruka, a w oczach błyszczała ta sama natarczywość, która kazała jej szukać go w tłumie. Szara, satynowa podszewka peleryny stanowiła uderzające tło dla jego czarnego stroju i jeszcze bardziej podkreślała mocno zbudowaną, silną sylwetkę.

- Szukałam pana – powiedziała cicho, unosząc podbródek.
- Wiem.

## ROZDZIAŁ 2

---

Człowiek zjawia przemawiał głębokim, niskim głosem z charakterystycznym akcentem. Musiał być cudzoziemcem, o czym świadczyła zresztą jego śniada skóra.

– Proszę się mnie nie bać – rzekł. – Chciałbym tylko przeprosić za swój brak manier.

– Nie boję się – odpowiedziała, celując wzrokiem w dal, poza jego ramię, tam gdzie wyraźnie widać było sylwetki innych gości.

Wszedł do zwirowego kręgu i skłonił się szerokim gestem ramienia.

– To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? – zapytała, zdając sobie sprawę, że ukłon miał oznaczać pożegnanie.

Jego piękne usta wygięły się lekko.

– Czy powinienem powiedzieć coś więcej?

– Ja... – Amelia zmarszczyła czoło i milczała chwilę, próbując zebrać myśli i nadać im formę spójnej wypowiedzi. Nie mogła się skupić, kiedy stał tak blisko. To, co z odległości wydawało się pociągające, teraz niemal oszalało. Był taki poważny... Nie spodziewała się tego.

– Nie jest moim zamiarem zatrzymać panią – mruknął łagodnie.

– Brak manier – powtórzyła.

– Tak. Wpatrywałem się w panią.

– Zauważyłam – odparła sucho.

– Proszę mi wybaczyć.

– Nie ma potrzeby. Nie jestem urażona.

Czekała, aż podejmie jakieś działanie. Kiedy wycofał się z powrotem na trawę i ponownie wskazał gestem główną część ogrodu, pokręciła stanowczo głową, by wyrazić swą niezgodę. Widząc, jak szybko chce się jej pozbyć, wykrzywiła usta.

– Jestem panna Amelia Benbridge.

Mężczyzna zamarł. Poruszała się tylko jego klatka piersiowa – unosiła się i opadała w oddechu. Po chwili wahania wystawił nogę, wykonał uprzejmy ukłon i rzekł:

– Bardzo mi miło, panno Benbridge. Jestem hrabia Reynaldo Montoya.

– Montoya – wyszeptwała, sprawdzając, jak imię to zabrzmie w jej ustach. – A więc jest pan Hiszpanem, mimo że mówi pan z francuskim akcentem.

Uniósł głowę i przyjrzał jej się bliżej, pieszcząc wzrokiem jej sylwetkę od czubka wyszukanej fryzury aż po dziecięce w rozmiarze bućki.

– Pani nosi za to angielskie nazwisko, choć rysy również noszą cudzoziemskie cechy – odparował.

– Moja matka była Hiszpanką.

– I jest pani urzekająca.

Amelia wzięła gwałtowny wdech, zdziwiona własną reakcją na ten niewyszukany komplement. Podobne słyszała codziennie i wywierały na niej wrażenie nie większe niż uwagi na temat pogody. Te same słowa z ust Montoi nabierały jednak innego znaczenia. Były przesycone uczuciem i skrywaną natarczywością.

– Wygląda na to, że znów muszę panią przeprosić – rzekł książę z uśmiechem winowajcy. – Proszę pozwolić, że odprowadzę panią z powrotem, zanim jeszcze raz zrobię z siebie głupca.

Wyciągnęła do niego dłoń, ale natychmiast pohamowała się i zamiast tego chwyciła rękami za uchwyt swojej maski.

– Pańskie ubranie... Wyjeżdża pan?

Skinął głową. Napięcie między nimi wzrosło. Nie było powodu, dla którego miałyby się ociągać, a mimo to wyczuła, iż pragną tego oboje.

Coś go powstrzymywało.

– Dlaczego? – zapytała łagodnie. – Jeszcze pan ze mną nie zatańczył, nie poflirtował i nie napomknął, jakie ma plany na przyszłość, abyśmy mogli znowu kiedyś się spotkać.

Montoya postąpił kilka kroków do przodu i wszedł na żyrowe półkole otaczające figurę.

– Jest pani zbyt bezpośrednia, panno Benbridge – oświadczył szorstko.

– A pan jest tchórzem.

Przysunął się gwałtownie, tak że stał teraz kilkanaście centymetrów od niej.

Chłodny, wieczorny wiatr powiał teraz ostrzej, przesuwając na jej ramię jeden z długich, misternie ułożonych w opadające na plecy kaskady loków. Wzrok księcia przesunął się na błyszczące pasmo włosów, a stamtąd na krągłość jej piersi.

– Patrzy pan na mnie jak mężczyzna na kochankę.

– Doprawdy? – zapytał zniżonym głosem – miękkiem, z coraz wyraźniejszym akcentem. Tonem kochanka, a przynajmniej kusiciela. Amelia odczuła go na skórze niczym pieszczotliwy dotyk i pławiła się w przyjemnym doznaniu. Było podobne do tego, które towarzyszy osobie wchodzącej w mroźny dzień do ciepłego domu. Nagła zmiana temperatury oszałamia, odbiera dech w piersi.

– Skąd pani miałyby to wiedzieć, panno Benbridge?

– Wiem bardzo dużo różnych rzeczy. Ponieważ jednak postanowił pan, że nie zamierza mnie bliżej poznać, nigdy się pan o nich nie dowie.

Złożył ramiona na piersi. Postawa ta świadczyła, że przyjął wyzwanie i przywołała na jej usta uśmiech. Nie zamierzał więc odchodzić. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

– A lord Ware? – zapytał.

– Co z nim?

– Jest pani z nim, o ile mi wiadomo, zaręczona.

– Owszem – odparła i zauważyła, że zacisnął zęby. – Żywi pan do niego jakąś urazę?

Książę nie odpowiedział.

Zaczęła znowu postukiwać nogą.

– Hrabio Montoya, nasza wzajemna reakcja jest przesycona emocjami. Ponieważ jest pan bardzo przystojny, ośmielę się twierdzić, że przywykł pan łapać kobiety w sidła. Jeśli zaś chodzi o mnie, to zapewniam, iż podobna sytuacja nigdy mi się nie przydarzyła. Atrakcyjni mężczyźni nie chodzą za mną krok w krok.

– Przypomina mi pani kogoś, kogo niegdyś znałem – przerwał jej. – Kobietę, na której bardzo mi zależało.

– Och. – Amelia mimo szczerych chęci nie mogła ukryć rozczarowania. A więc myślał, że była kimś innym. Nie był zainteresowany nią samą, a inną, podobną do niej kobietą.

Odwróciła się i opadła na małą ławkę, w zamyśleniu układając fałdy sukni. Obleczone w rękawiczki palce zajęły się obracaniem maski.

– Teraz ja powinnam pana przeprosić. – Zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy. – Postawiłam pana w kłopotliwej sytuacji i zmusiłam, by pan został, kiedy chciał pan odejść.

W zamyśleniu pochylił głowę. Sposób, w jaki to zrobił, sprawił, że pragnęła ujrzyć jego rysy, skryte za połyskującą perłowo maską. Mimo że nie widziała w pełni jego twarzy, wydawał się jej niezmiernie atrakcyjny – ten niski głos... zmysłowy kształt ust... i niewzruszona pewność ruchów...

Nie był jednak w pełni opanowany. Działała na niego jak żadna inna nieznaną kobieta. A on na nią – tak samo.

– Nie to pragnęła pani usłyszeć – zauważył, zbliżając się do niej.

Zniżyła wzrok, spoglądając na jego buty, a potem na falującą w rytm kroków pelerynę. Jego strój potęgował wrażenie, że nad nią góruje. Mimo to nie bała się.

Amelia machnęła jedną ręką w rzekomym beztroskim lekceważeniu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Miał rację – zachowywała się zbyt bezpośrednio. Nie na tyle jednak bezwstydnie, by od razu przyznać, że jego zainteresowanie nie było jej niemiłe.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan kobietę, której pan szuka – rzekła.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Doprawdy?

– Straciłem ją wiele lat temu.

Słyszac w jego głosie tęsknotę, poczuła współczucie.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Ja również straciłam kogoś, kto był mi bardzo drogi, wiem więc, co to znaczy.

Montoya usiadł obok niej. Ławeczka była niewielka, a do tego wygięta w łuk, co zmuszało ich do siedzenia bardzo blisko siebie, tak że jej suknia dotykała jego peleryny. Było to dalece niestosowne, a mimo to Amelia nie zaprotestowała. Zamiast tego wzięła głęboki oddech, wciągając jego zapach – drewno sandałowe i cytrynę. Świeży, prosty i męski. Jak cały on.

– Jest pani za młoda, by cierpieć jak ja – mruknął.

– Nie docenia pan śmierci. Ona nie zna skrupułów. Nie zważa na wiek tych, którzy pozostają żywi.

Wstażki, zdobiące uchwyt jej maski, zatrzepotały łagodnie na wietrze i spoczęły na jego odzianej w rękawiczkę dłoni. Widok lawendowej, różowej i bladoniebieskiej satyny na czarnym, surowym tle przykuł jej uwagę.

Jak wyglądaliby w oczach przechodniów, gdyby ktoś przechadzał się w pobliżu? Ona, w morzu koronek i wesołych, wielokolorowych kwiatów, on – cały w czerni, mroczny, pozbawiony barw.

– Nie powinna pani być tu sama – rzekł, biorąc jej wstażki między palce i gładząc je. Nie mógł czuć ich przez rękawiczki, przez

co sam gest nabrał zmysłowości – jakby pieszczota czegoś, co do niej należało, była nie do odparcia.

- Przywykłam do samotności.
- Lubi ją pani?
- Dobrze ją znam.
- To nie jest odpowiedź.

Amelia spojrzała na niego, dostrzegając szczegóły, widoczne tylko dla osoby znajdującej się bardzo blisko. Oczy Montoi, kształtem przypominające migdały, otaczały długie, gęste rzęsy. Oczy te były piękne. Egzotyczne. Wszystkowiedzące. Igrały w nich cienie, pochodzące zarówno z jego wnętrza, jak i z zewnątrz.

– Jaka ona była? – zapytała. – Ta kobieta, którą myślał pan, że jestem.

Ledwie dostrzegalny cień uśmiechu zdradził, że kiedy uśmiecha się szerzej, w jego policzkach pojawiają się dołeczki.

– Ja pierwszy zadałem pytanie – odparł.

Westchnęła dramatycznie, by ujrzeć jeszcze bardziej zdradliwy grymas jego warg. Widać było, że człowiek ten zawsze kontroluje swój uśmiech, nigdy nie pozostawia mu zupełnej swobody.

Zastanawiała się, dlaczego, i co zrobić, aby mogła go zobaczyć.

– Dobrze, hrabio Montoya. W odpowiedzi na pańskie pytanie powiem, że tak, lubię być sama.

- Dla wielu ludzi samotność jest nie do zniesienia.
- Bo nie mają wyobraźni. Ja za to mam jej za dużo.
- Czyżby? – Pochylił się w jej stronę. Przy ruchu jego spodnie z delikatnej, jagnięcej skóry opięły się na potężnych mięśniach ud. Na tle szarej, satynowej peleryny Amelia dokładnie widziała każdy szczegół – każdą płaszczyznę, każde napięte ścięgno. – A co takiego pani sobie wyobraża?

Z trudem przelękając ślinę, Amelia stwierdziła, że nie jest w stanie odwrócić wzroku od widoku, który miała przed oczami. Wiedziała, że spojrzenie, którym go obrzuca, zasługuje na miano lubieżnego, a jej zainteresowanie ma charakter typowo fizyczny.



– Hm... – mruknęła i podniosła wreszcie wzrok, zdumiona kierunkiem własnych myśli. – Różne historie. Bajki o wróżkach i tak dalej.

Ponieważ połowę jego twarzy zasłaniała maska, nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, że uniósł brew.

– Zapisuje je pani?

– Od czasu do czasu.

– I co pani z nimi potem robi?

– Zadał pan już za wiele pytań, nie odpowiadając na moje jedyne.

W ciemnych oczach Montoi zamigotało ciepłe rozbawienie.

– Gramy na punkty?

– To pan zaczął – wytknęła mu. – Ja tylko dostosowałam się do zasad, które pan narzucił.

*Tak!* A więc dołeczek. Zobaczyla go.

– Była zuchwała – mruknął – tak jak pani.

Amelia, którą maleńkie zagłębienie w jego policzku całkowicie zbiło z tropu, okryła się rumieńcem i odwróciła wzrok.

– Lubił pan tę cechę? – zapytała.

– Uwielbiałem.

Zadrżała, słysząc w jego głosie nutkę intymności.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Zmarzła pani, panno Benbridge. Powinna pani wejść do środka.

Spojrzała na niego.

– A pan? Wejdzie pan razem ze mną?

Książę pokręcił głową.

Wyciągnęła ramię, położyła palce na jego dłoni i pozwoliła, by pomógł jej wstać. Jego ręce były duże i ciepłe, a ich uścisk – mocny i pewny. Puściła go niechętnie i ku swemu zadowoleniu odkryła, że on również nie był skory do rozluźnienia uścisku. Stali tak w milczeniu przez dłuższą chwilę, dotykając się dłońmi. Słyszać było tylko ich delikatne wdechy, a po nich – wydechy... dopóki nocny

zefir nie przyniósł ku nim delikatnych, niepowtarzalnych dźwięków menueta.

Ręka Montoi zacisnęła się, a jego oddech przyspieszył. Amelia wiedziała, że jego myśli wędrują dokładnie w tym samym kierunku, co jej własne. Uniósłszy maskę do twarzy, złożyła przed nim głęboki ukłon.

– Jeden taniec – ponagliła go łagodnie, widząc, że trwa w bezruchu. – Proszę ze mną zatańczyć, jakbym to ja była tą kobietą, za którą pan tak tęskni.

– Nie. – Po chwili rozdierającego wahania skłonił się ponad jej wyciągniętą ręką. – Wolalbym zatańczyć z panią.

Gardło zacisnęło jej się ze wzruszenia, tak że nie mogła wydusić ani słowa. Potrafiła tylko wstać i rozpocząć krok menueta, najpierw zbliżając się do księcia, a potem oddalając. Obracając się powoli wokół własnej osi, a potem krążąc wokół niego. Chrzęst żwiru pod jej stopami zagłuszał dobiegającą z oddali muzykę, ale Amelia słyszała ją w głowie i nuciła pod nosem. Dołączył do niej. Jego głęboki głos stanowił wspaniały akompaniament, a połączenie ich głosów urzekło ją.

Chmury rozstąpiły się i jaskrawy snop księżycowego światła padł na mały skrawek ziemi, na którym tańczyli, posrebrzył żywopłoty, a masce księcia nadał perłowy blask. Czarna satynowa wstążka, którą książę związał swój warkocz, wtapiała się w atramentową czerń jego loków – ich połysk i kolor były niemal nierozróżnialne. Fałdy jej sukni ocierały się o jego falującą pelerynę, zapach jego wody kolońskiej mieszał się z zapachem jej perfum. Wspólnie poddali się czarowi tej chwili. Amelia była zniewolona, usidlona i w przelocie pomyślała, że pragnęłaby nigdy nie wydostać się na wolność.

Wtem powietrze rozdarł doskonale znany Amelii ptasi świergot.

Sygnal ostrzegawczy od ludzi St. Johna.

Amelia potknęła się, Montoya złapał ją i przyciągnął blisko siebie. Upadając, opuściła ramię, a wraz z nim – maskę. Poczuli na

ustach jego oddech – ciepły i pachnący brandy. Różnili się wzrostem tak bardzo, że jej piersi znajdowały się na wysokości górnej części jego brzucha. Będzie musiał się schylić, by ją pocałować, pomyślała i przyłapała się na pragnieniu, by to zrobił. Chciała doświadczyć dotyku tych pięknie wyrzeźbionych ust na swoich własnych.

– Lord Ware pani szuka – wyszeptał, nie odwracając od niej spojrzenia.

Skinęła głową, lecz nie wykonała żadnego ruchu, by wyswobodzić się z uścisku. Nie oderwała wzroku od jego oczu. Patrzyła. Czekala.

I już, kiedy myślała, że tego nie robi, przyjął jej milczącą zachętę i musnął jej usta swoimi. Kiedy ich wargi się zwarły, jęknął. Jej bezwładne palce wypuściły maskę, która upadła na żwir.

– Do widzenia, Amelio.

Pomógł jej stanąć mocno na nogach, po czym zniknął niczym chmura czarnego pyłu. Jednym susem przesadził żywopłot i wtopił się w mrok, kierując się nie na tyły pałacu, lecz ku jego frontowi. Nie minęła chwila, a straciła go z oczu. Oszołomiona jego nagłym odejściem, Amelia powoli odwróciła głowę w stronę ogrodu. Ujrzała zbliżającego się ku niej długim, prężnym krokiem Ware'a, a za nim – kilku innych dżentelmenów.

– Co ty tu robisz? – zapytał szorstko, rozgniewanym wzrokiem rozglądając się dokoła. – Wszędzie cię szukałem, myślałem już, że oszaleję.

– Przepraszam. – Nie zdołała wydusić z siebie nic więcej. Nie była też w stanie przestać myśleć o Montoi, który najpewniej rozpoznał ostrzegawczy sygnał ludzi St. Johna.

Na chwilę stał się rzeczywisty, ale chwila ta minęła. Był równie ulotny jak zjawą, za którą go uważała.

I mocno podejrzany.

– Czy byłąbyś tak dobra i wyjaśniła mi, co dokładnie miało miejsce wczoraj w nocy?

Amelia westchnęła w duchu, natomiast swemu rozmówcy wysłała promienny uśmiech.

– Co konkretnie mam wyjaśnić?

Christopher St. John – pirat, morderca, przemytnik – odpowiedział jej uśmiechem, lecz spojrzenie jego szafirowych oczu było chłodne i przenikliwe.

– Doskonale wiesz, co mam na myśli – powiedział, potrząsając głową. – Czasami zachowujesz się identycznie jak twoja siostra. To bardzo niepokojące.

Za znacznie bardziej niepokojące Amelia uważała to, jak bardzo przystojny był St. John – i jak przenikliwie inteligentny. Mimo że mieszkała w jego domu od lat, jego bezsprzeczna uroda nie przestawała jej zadziwiać.

– Och, jak miło to słyszeć! – wykrzyknęła. – Dziękuję.

– Flirciara. A teraz przyznaj się.

Każdemu innemu mężczyźnie nie przyszłoby wydobyć od niej informacji, których nie jest skłonna tak łatwo udzielić. Kiedy jednak chodziło o pirata z ochrypłym głosem – nie potrafiła odmówić. W każdym calu przypominał jej anioła – tylko stworzenie niebieskie mogło być tak idealne, od czubka głowy po palce stóp: złociste włosy i skóra, wąskie, acz zmysłowe usta, nakrapiane tęczówki.

Jedynym zewnętrznym przejawem jego śmiertelności były zmarszczki wokół ust i oczu, świadczące o pełnym stresu życiu. Od czasu kiedy ożenił się z jej siostrą, zmarszczki te i tak bardzo złagodniały, ale na jego twarzy miały pozostać na zawsze.

– Zauważyłam, że jakiś mężczyzna okazuje mi niezwykle zainteresowanie. On zorientował się, że zauważyłam, więc podszedł, by to wyjaśnić.

Christopher odchylił się do tyłu na czarnym, skórzanym fotelu i wydał wargi. Siedział na tle dużego okna, wychodzącego na ogród

za domem, a raczej na teren, który powinien być ogrodem za domem, a był płaskim, brutalnie tuż przy ziemi przyciętym trawnikiem. Spełniał funkcję zapory, uniemożliwiającej ukradkowe podejście w pobliże domu. Jeśli – jak St. John – ma się wielu wrogów, nigdy nie należy tracić czujności, zwłaszcza z powodów estetycznych.

– I czym wyjaśnił swoje zainteresowanie?

– Rzekomo przypominam mu utraconą miłość.

Pirat prychnął podejrzliwie.

– Sprytna, sentymentalna sztuczka, która omal nie wystawiła Ware’a na pośmiewisko i nie wywołała ogromnego skandalu. Nie mogę uwierzyć, że padłaś jej ofiarą.

Choć załala ją kolejna fala poczucia winy, zaprotestowała.

– Mówił szczerze!

Nie wierzyła, że ktokolwiek mógłby równie doskonale udawać melancholię. Nie oznaczało to, że uważa, iż wszystko jest w porządku – nie. Jego emocjonalna reakcja na jej obecność nie pozostawiała jednak żadnych wątpliwości co do swojej autentyczności.

– Moi ludzie śledzili go wczoraj w nocy.

Amelia skinęła głową. Spodziewała się tego.

– I?

– I stracili go z oczu.

– Jak to możliwe?

St. John uśmiechnął się, widząc jej autentyczne zdziwienie.

– Owszem, możliwe, pod warunkiem że ktoś zorientuje się, że jest śledzony i jeśli został wyszkolony, jak omijać niebezpieczne miejsca. – Jego uśmiech zbladł. – Ten człowiek to nie pierwszy lepszy nieszczęśliwie zakochany, Amelio.

Wstała, marszcząc czoło, co zmusiło St. Johna, by również wstał. Pozwoliła kwiecistej sukni opaść i swobodnie ułożyć się wokół nóg, po czym, zamysłona, odwróciła się twarzą w stronę drugiej części pokoju. Jak to pozory mogą mylić. Choćby ten pokój i przestępca,

do którego należał – nie trzeba dalej szukać. Urządzony w różnych odcieniach czerwieni, złamanej bieli i złota gabinet mógłby należeć do arystokraty, spadkobiercy wielkiego majątku, jak zresztą cała rezydencja, której był częścią. Nie znajdowało się tu nic, co mogłoby zdradzać jego pierwotne przeznaczenie – czyli fakt, że jest siedzibą dużego, działającego wbrew prawu gangu przemytników.

– Czego mógł ode mnie chcieć? – zapytała, a przed oczami stały jej z krystaliczną jasnością wydarzenia poprzedniej nocy. Wciąż czuła egzotyczny zapach jego skóry i słyszała nieznacznym cudzoziemski akcent, z którym wypowiadał słowa, a który przyprowadził ją o dreszcz. Wargi łaskotały ją od naporu jego ust, podobnie jak piersi, reagujące na dotyk jego twardego brzucha.

– Wszystkiego – od zwyczajnego ostrzeżenia, skierowanego pod moim adresem, po coś znacznie groźniejszego.

– Na przykład? – Spojrzała na niego i stwierdziła, że mierzy ją badawczym spojrzeniem.

– Na przykład tego, żeby cię uwieść, a Ware’owi zrujnować życie. Albo uwieść cię i skusić, żebyś z nim uciekła, by móc mnie potem szantażować.

Na dźwięk słowa „skusić” w odniesieniu do tajemniczego, zamaskowanego Montoi, zaczęły się z nią dziać dziwne rzeczy. To, co mówił St. John, powinno wprawić ją w przerażenie – a nie wprawiło.

– Równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę, co to za cudowne zrządzenie losu, że poznałaś Ware’a, kiedy ojciec cię więził, i że Ware gotów jest puścić w niepamięć twoją skandaliczną przeszłość i związki rodzinne – mówił, prawie bezgłośnie postukując palcami o blat biurka. – Twój syn zostanie markizem, a wszystkie twoje dzieci będą mogły się cieszyć wielkimi przywilejami. W takiej sytuacji na wszystko, co zagraża twojej przyszłości, musimy patrzeć, jak na powód do niepokoju.

Amelia skinęła głową i odwróciła wzrok, z nadzieją że uda jej się ukryć to, jak się czuła, kiedy podkreślano wagę materialnych

korzyści jej związku z Ware'em, nie zważając na samą jego istotę. Doskonale wiedziała, że to ona zyska najwięcej na małżeństwie z księciem. Jako przyjaciółka Ware'a chciała dla niego jak najlepiej. A małżeństwo z nią bynajmniej nie musiało tego oznaczać.

– Więc co chcesz, abym zrobiła?

– Nie oddalaj się nigdzie sama. Jeśli ten człowiek znów do ciebie podejdzie, nie dopuszczaj go bliżej niż na metr, półtora. – Ostre rysy St. Johna złagodniały. Miał dziś na sobie ubranie w kolorze ciemnoniebieskim, który to kolor wspaniale podkreślał jego śniadą cerę, ale również pięknie wyszywaną kamizelkę, opinającą jego szczupłą pierś. – Nie mówię tego, by cię zganić. Chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo.

– Wiem – odparła. Z drugiej strony całe życie spędziła zamknięta nie w jednej, a w wielu złotych klatkach. Była rozdarta między uszanowaniem bezpieczeństwa, jakie zapewniały, a nienawiścią wobec ograniczeń, jakie stawiały. Usiłowała przestrzegać ustanowionych wobec niej zasad, ale czasem trudno było im sprostać. Przypuszczała, że to za sprawą płynącej w jej żyłach krwi ojca. Była to rzecz, którą najbardziej pragnęłaby u siebie zmienić, gdyby tylko mogła.

– Mogę już odejść? Za chwilę przyjedzie Ware. Zabiera mnie na przejażdżkę do parku, muszę się przebrać.

– Oczywiście. Baw się dobrze.

Christopher patrzył w ślad za opuszczającą jego gabinet Amelią, po czym znów opadł na krzesło – po to tylko, by za chwilę znów się podnieść i powitać żonę, która w strojnej, różowej sukni pojawiła się w drzwiach. Jak zwykle na jej widok serce pirata, powodowane z jednej strony fizycznym pożądaniem, a z drugiej – czystą radością, zabiło żywiej.

– Wyglądasz dziś zjawiskowo – rzekł, wychodząc zza biurka, by ją objąć. Od dnia, kiedy się poznali, Maria zawsze tak samo, niczym ciepły, dorodny ciężar, wtapiała się w jego ciało. Uwielbiał to.

– Mówisz to codziennie – mruknęła, ale na jej ustach pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

– Bo codziennie to prawda – odparł i przycisnął ją do siebie, by jej krągłości lepiej dopasowały się do jego szczupłej, twardej sylwetki. Mimo różnicy wzrostu pasowali do siebie jak dwa kawałki układanki.

Maria miała takie same, kruczoczarne warkoczki jak jej młodsza siostra, ale na tym kończyło się ich fizyczne podobieństwo. Amelia była podobna do ojca, zmarłego wicehrabiego Weltona – mężczyzny o zielonych oczach i wysokiej, szczupłej budowie ciała. Maria, w której płynęły – na jej szczęście – krew i geny innego ojca, odziedziczyła urodę po matce – Hiszpance. Niska, miała duże, migdałowe oczy i pełną figurę.

St. John i jego żona stanowili uderzającą parę – wyglądem uzupełniali się tak idealnie, że często stawało się to tematem pełnych podziwu komentarzy. Powszechną uwagę przyciągali jednak przede wszystkim ze względu na swoją reputację. Na temat lady Winter, wciąż znanej jako „wdowa po Winterze”, krążyły głośne plotki, że zabiła swych dwóch pierwszych mężów. Christopher był jej trzecim i ostatnim małżonkiem, wybrańcem serca, i wielokrotnie gratulowano mu, że udało mu się pozostać wśród żywych.

*A więc udało ci się przeżyć kolejną noc w łóżku swojej żony, drwiono.*

Christopher uśmiechał się tylko i nic nie odpowiadał. Nie była to prawda, ale nie chciał burzyć ich wyobrażeń. Tylko niewielu jego najbliższych znajomych wiedziało, że w jej ramionach co noc umierał, by na nowo zbudzić się do życia.

– Podśluchałam koniec twojej rozmowy z Amelią – rzekła. – I wydaje mi się, że patrzysz na to ze złej perspektywy.

– Czyżby? – To właśnie na tym polegało prawdziwie podobieństwo między nim. Choć z wyglądu wydawali się całkowicie różni, to w środku byli prawie tacy sami – przebiegli i oboje myśleli jak przestępcy. – Czyżbym pominął coś w moim rozumowaniu?



– Zastanawiasz się tylko nad tym, dlaczego mężczyzną w masce interesuje Amelia. Pomyśl, dlaczego to on interesuje ją. Właśnie tym się najbardziej martwię.

Zmarszczył czoło, spoglądając na nią z góry i w zamyśleniu podziwiając misternie upięte loki, wijące się wokół jej uszu i opadające na ramiona, jej piersi, kusząco pełne nad wykończonym wstążkami gorsetem.

– Zawsze była ciekawska. Dlatego w ogóle poznała Ware’a, od tego trzeba zacząć.

– Tak, ale pozwoliła, aby ten mężczyzna ją pocałował. Nieznajomy. Dlaczego? Wciąż oplakuje tego swojego Cygana, a Ware’a trzyma na dystans. Pomyśl tylko, jak bardzo musiała być zafascynowana tym mężczyzną, by posunąć się tak daleko?

– Hm... – Pochylił głowę i złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. – Czy ty również oplakiwałabyś mnie z takim poświęceniem, gdybym przypadkiem zginął? – zapytał, nie odrywając od niej swoich ust.

– Nie. – Maria uśmiechnęła się tajemniczo. Właśnie ta nutka zagadkowości, niedopowiedzenia sprawiała, że wciąż był w niej szalenie zakochany.

– Nie?

– Niczemu ani nikomu nigdy nie uda się mnie z tobą rozłączyć, najdroższy. – Poglądziła go małymi dłońmi po piersi. – Zginę przy twoim boku. Tylko w ten sposób pozwolę ci odejść.

Serce Christophera przepełniała miłość tak bezbrzeżna, tak żarliwa, że czasem nie był w stanie poradzić sobie z jej nadmiarem.

– A więc naszą małą Amelię coś w tym mężczyźnie zaintrygowało. Coś, czego nie mają inni. Jak uważasz, co powinniśmy z tym zrobić?

– Po pierwsze, obserwować ją bliżej, po drugie, odnaleźć tego człowieka. Chcę go poznać. Dowiedzieć się, jakie ma zamiary.

– Tak jest – odpowiedział z uśmiechem. – Masz jakieś plany na resztę popołudnia?

– Tak. Jestem dość zajęta.

Miał nadzieję, że udało mu się dobrze ukryć rozczarowanie. Na jego liście było sporo rzeczy do załatwienia, ale nie wzgardziłby godzinką czy dwiema w towarzystwie żony. W kochaniu się w biały dzień, przy rozsuniętych zasłonach, we wpadającym do pokoju świetle słońca, było coś cudownego. Zwłaszcza gdy to ona była na górze i wiała się nad nim w pełni swej bujnej urody.

Christopher westchnął dramatycznie i wypuścił ją z objęć.

– W takim razie baw się dobrze, kochanie.

– To będzie zależało od ciebie. – Jej ciemne oczy błysnęły figlarnie. – Widzisz, w moim rozkładzie dnia, od drugiej do czwartej, wpisane są igraszki miłosne. Właśnie przyszedłam, by cię poprosić o pomoc w tej sprawie.

Christopher natychmiast poczuł narastające podniecenie.

– Jestem do pani usług, *madame*.

Odsunęła się o krok w tył i zerknęła na przód jego spodni.

– O, właśnie widzę, że jesteś. Położymy się w takim razie?

– Z wielką chęcią – zamruczał. Czuł, że krew zaczęła krążyć mu w żyłach z zawrotną prędkością.

Wtem ktoś zastukał w otwarte drzwi. Oboje spojrzeli w tamtą stronę.

– Witaj, Tim – odezwała się Maria, zerkając na ogromnego mężczyznę, który, aby przestąpić próg, musiał schylić głowę.

Olbrzym skłonił się lekko, po czym mruknął:

– Wciąż chce pan mnie widzieć?

– Tak.

Tim był jednym z najbardziej zaufanych zastępców Christophera. Cechowały go bezgraniczna cierpliwość i doskonale wyczucie, jeśli chodzi o kobiety. Zresztą jego uwielbienie dla płci pięknej dawało się łatwo zauważyć. Maria z mężem wyczuli to i byli wobec niego znacznie bardziej otwarci niż wobec innych współpracowników. Słuchali go i darzyli zaufaniem, co z kolei ułatwiało im utrzymanie w ryzach Amelii.

Christopher spuścił oczy na uniesioną ku górze twarz Marii.

– Nie rozbieraj się – szepnął jej do ucha. – Chcę sam cię rozpakować.

– Jak podarek – zażartowała.

– Bo nim jesteś. Moją najcenniejszą własnością. – Ucałował ją w czubek nosa, po czym wycofał się. – Muszę porozmawiać z Timem o jego nowych zadaniach w związku z nadzorem nad Amelią.

Uśmiech, który posłała mu w odpowiedzi, należał do widoków, które chciałby zachować w pamięci na zawsze.

– Jesteś taki cudowny, że ubiegasz moje myśli i zamiary. Dzięki temu nigdy nie muszę się w nic wtrącać.

– Ale ja – tak – odparował – i bardzo sobie to cenię – dokończył głosem niskim i obiecującym. – Już niedługo pokażę ci jak bardzo.

Maria, przechodząc obok niego, powiodła opuszkami palców po jego dłoni, po czym ich ręce się rozłączyły.

– Do zobaczenia na kolacji, Tim – rzekła, przemykając obok wchodzącego do gabinetu olbrzyma.

– Tak jest, jaśnie pani.

Tim posłał Christopherowi lekko drwiący uśmiech.

– Znam to spojrzenie. To nam nie zajmie dużo czasu, prawda?

– Nie. W istocie, to potrwa bardzo krótko. Chcę, abyś śledził pannę Benbridge.

– Słyszałem o wczorajszej nocy. Nie obawiaj się. Będzie w dobrych rękach.

– Nie prosiłbym cię, gdybym nie był tego stuprocentowo pewien.

– Christopher poklepał go po ramieniu i wycofał się z pokoju. – Do zobaczenia na kolacji.

– Cholerny szczęściarz – rzucił Tim w ślad za nim.

Christopher uśmiechnął się i biegiem ruszył po schodach.

## ROZDZIAŁ 3

---

*Francja, miesiąc wcześniej*

– A więc – rzekł Simon Quinn, odkładając widelec – już czas.

– Otóż to.

I w ocenie Colina Mitchella nie było nawet o moment za wcześnie. Czekał na ten dzień całe lata. Teraz, kiedy wreszcie nadszedł, siedzenie z godnością przy stole wydawało mu się niemal niemożliwe. Już za kilka godzin miał wyruszyć do Anglii, do miłości swego życia. Pragnął się tam znaleźć jak najszybciej. Przy niej.

Wokół trwały hulanka i swawola. Colin, choć urodził się w hałaśliwym i chaotycznym obozie cygańskim, zdecydowanie wolał spokojne wieczory. To Quinn wyciągał go w miejsca pełne harmidru i wrzawy. Uważał, że uniemożliwiają podsłuchiwanie i umacniają ich starannie wypracowaną pozę znudzenia i nonszalancji. Colin podejrzewał jednak, że jego upodobanie ma zupełnie inne podstawy. Quinn nie był człowiekiem szczęśliwym i zdecydowanie łatwiej było mu pozorować zadowolenie, gdy dookoła panowała atmosfera wesołej zabawy.

Mimo wszystko jednak miejsce, w którym właśnie siedzieli, należało do tych, które Colin tolerował lepiej od innych. Wnętrze było czyste, dobrze oświetlone, a jedzenie – wyśmienite. Ze

wspartego na drewnianych belkach sufitu zwieszały się potężne żyrandole, a w powietrzu unosił się zapach apetycznych dań i perfum dorodnych dziewczek, które obsługiwały do stołu. Chrapliwy śmiech i nakładające się na siebie głosy wielu rozmówców konkurowały z grającą w kącie orkiestrą, hałas zapewniał im więc względną prywatność. Wyglądali jak dwóch starannie ubranych dżentelmenów, którzy wybrali się na wieczorny posiłek.

– Myślałem sobie, że może już wyrosłeś z uczuć do swojej pięknej Amelii – rzekł Quinn, w którego głosie pobrzmiwał jeszcze nieznacznie irlandzki akcent. Podniósł do ust kieliszek wina i posłał Colinowi badawcze spojrzenie znad jego brzegu. – Zmieniłeś się bardzo od tamtego dnia sprzed lat, kiedy zjawiłeś się na moim progu, szukając jej.

– To prawda. – Colin wiedział, że Quinn z niechęcią myślał o jego wyjeździe. Był zbyt cennym graczem w gierkach Quinna. Mógł zmienić się w kogokolwiek i w przebraniu wystąpić gdziekolwiek. Budził zaufanie mężczyzn, a kobiety nie mogły się mu oprzeć. Te spostrzegawcze istoty szybko wyczuwały, że jego serce jest dla nich zamknięte i tym bardziej próbowały je zdobyć. – Ale to jedyna rzecz, która jest we mnie stała.

– Ale może ona się zmieniła. Była dziewczynką, kiedy ją zostawiłeś.

– Ona była inna już wtedy, kiedy jeszcze ją znałem. – Wzruszył ramionami. – Co tylko pogłębiło moje uczucia. – Jak mógł mu opisać jej barwną osobowość, którą odkrył w niej przed laty?

– Jaki czar musiała posiadać, żeby cię tak omotać? Contessa cię uwielbia, a mimo to nie jest dla ciebie niczym więcej jak tylko rozrywką.

Colin, ujrawszy przed oczami postać ślicznej Francesci, uśmiechnął się.

– To ja nie jestem dla niej niczym więcej jak rozrywką. Ta gra sprawia jej sporo przyjemności. Nigdy nie wie, kto pojawi się u jej drzwi, za jakim skryję się przebraniem. Ma nierozsądne

upodobania, dlatego jej odpowiadam, ale wszystko ogranicza się do sypialni. Jest zbyt dumna, by przyjąć i zaakceptować mężczyznę mojego pochodzenia w jakiegokolwiek innej funkcji niż ta, którą obecnie spełniam.

Pewnego razu, podczas balu, na polecenie Quinna Colin został zmuszony do wejścia do pierwszego lepszego pokoju. Pokój ten zajmowała właśnie Francesca, która odpoczywała tam od tłumy i poprawiała urodę. Colin skłonił się, uśmiechnął i zaczął zrzucać z siebie perukę, ubranie, i wywracać specjalnie uszyty strój na lewą stronę. Contessa uznała nagłą przemianę siwowłosego jegomościa w czerni w czarnowłosego hultaja w perłowym stroju za wielce zabawną. Z ochotą przystała na udział w fortelu, wychodząc do holu z ręką na jego ramieniu, co skutecznie zdezorientowało dwóch gniewnych, nachmurzonych dżentelmenów, którzy na niego czyhali.

Tamtej nocy zabrała go do swego łóżka i nie wypuszczała go stamtąd przez ostatnie dwa lata. Nie troszczyła się, że czasem wyjeżdżał do pracy i znikał na całe tygodnie, a nawet miesiące. Ich romans opierał się na wygodzie i obopólnym zrozumieniu.

*Zazdroszczę ci czasem kobiecie, która ma taką władzę nad twoim sercem,* powiedziała kiedyś do niego.

Colin prędko skierował jej uwagę na inne sprawy. Nie był w stanie myśleć o Amelii, przebywając w towarzystwie innej kobiety. Czuł się wtedy tak, jakby ją zdradzał, z doświadczenia wiedział bowiem, że Amelię by to zraniło.

– Amelia posiada taki sam czar wobec mnie, jak jej siostra w stosunku do ciebie – odparł Colin, patrząc w rozszerzone oczy Quinna. – Być może, jeśli wytłumaczyłbyś mi, dlaczego wciąż wzdychasz do Marii, łatwiej byłoby ci odpowiedzieć sobie na pytanie o moje uczucia do Amelii.

Usta Irlandczyka wykrzywiły się w pogardliwym uśmiešku.

– Punkt dla ciebie. Chcesz do niej wrócić jako Colin Mitchell czy pod którymś ze swych pseudonimów?

Colin westchnął ciężko i rozejrzał się po sali jadalnej – po licznych gościach i obsłudze, która bez skrępowania okazywała im nadmierną wręcz życzliwość. Dla Amelii stanowił część jej przeszłości... martwą część jej przeszłości. Był przyjacielem z dzieciństwa, który wyrósł na młodego człowieka, wielbiącego ją każdą myślą, każdym oddechem. Ona darzyła go podobnym uczuciem – tą samą dziką, nasyconą, niepowstrzymaną młodzieńczą pasją. Próbował zachować dystans, próbował ją odepchnąć, próbował przekonać sam siebie, że oboje wyrosną z tych niemożliwych do spełnienia mrzonek. Jako że był Cyganem, chłopakiem stajennym w majątku jej ojca, nie mieli szansy na wspólną przyszłość.

Koniec końców, nie zdołał zachować dystansu. Ojciec Amelii, zmarły wicehrabia Welton, w pełni zasługiwał na miano najgorszego z potworów. Wykorzystywał Amelię, by szantażować jej siostrę. Wydawał oszalałymi piękną Marię za poszukujących dobrej partii arystokratów tylko po to, by mordować ich z myślą o spadku. Kiedy w wyniku machinacji Weltona Amelia znalazła się w niebezpieczeństwie, Colin ruszył jej na ratunek, ryzykując własne życie. Został postrzelony i uznany za zmarłego.

Jak wstaje się z grobu? I czy, jeśli mu się to udało, Amelia przyjmie go z powrotem do swego życia w charakterze kochanka i męża, o czym marzył przez lata?

– Jeśli mnie przyjmie, zostanie hrabiną Montoya – rzekł, wymieniając tytuł, który nadał sobie specjalnie ze względu na nią. W ciągu minionych lat najpierw wypracował, a potem umocnił swój wizerunek arystokraty pod przebraniem księcia, nabywając posiadłości i gromadząc majątek. Nie mógł przecież pozwolić, by wyszła za zwyczajnego Colina Mitchella. Zasługiwała na więcej. – Ale być może w jej sercu Colin zawsze będzie na pierwszym miejscu.

– Będzie mi cię brakowało – wyznał Quinn, a spojrzenie jego niebieskich oczu stało się zamyślane. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak sobie bez ciebie poradzę.

Przedstawiciele angielskiej korony powierzali Quinnowi zadania, których wykonania odmawiali wszyscy co ostrożniejsi współpracownicy. Oficjalnie, podobnie zresztą jak Colin, Quinn nie figurował w żadnych spisach urzędników, dzięki czemu ani jeden, ani drugi nie musieli przestrzegać zasad, obowiązujących przedstawicieli królestwa. W zamian za swe nieoficjalne i potajemnie świadczone usługi zatrzymywali większość łupów. W ten sposób obaj zdobyli znaczne bogactwa.

– Jakoś sobie poradzisz – rzekł Colin z uśmiechem. – Zawsze sobie jakoś radzisz. Masz przecież Cartlanda. Pod wieloma względami jest o niebo lepszy ode mnie. Potrafi tropić lepiej niż pies. Jeśli coś zaginie, on jeden z pewnością potrafi to odnaleźć.

– Mam swoje przemyślenia co do niego. – Quinn oparł łokcie na drewnianych, rzeźbionych podłokietnikach fotela i splótł palce.

– Doprawdy? Nigdy mi o nich nie wspominałeś.

– Byłeś wtedy jeszcze moim pracownikiem. Dopiero teraz rozmawiam z tobą jak z przyjacielem, z którym łączy mnie wspólna przeszłość.

Choć dla Colina argument nie był logiczny, przemilczał go.

– Co cię mianowicie gnębi?

– Wokół Cartlanda za często zdarza się śmierć.

– Sądziłem, że to zaplanowane.

– Czasami, owszem – przyznał Quinn. – Ten człowiek jest pozbawiony wyrzutów sumienia, które gnębią większość ludzi po dokonaniu zabójstwa.

– Masz na myśli, że gnębią mnie – powiedział ironicznie Colin.

Quinn uśmiechnął się, czym zwrócił na siebie uwagę kobiety siedzącej przy sąsiednim stoliku. Jego uśmiech natychmiast zmienił się z pełnego rozbawienia w pełen zmysłowych obietnic. Colin odwrócił twarz, by ukryć rozbawienie. Zdumiewało go, że



mężczyzna, którego uroda była obiektem nieustannych westcheń, mógł skrywać tak wielką tajemnicę, jaką było źródło utrzymania.

– Ty nigdy nie miałeś przyjemności z tej części naszej pracy – ciągnął Quinn.

Colin uniósł kielich, udając toast, po czym jednym szybkim ruchem wychylił jego rubinową zawartość.

– Zawsze się bałem, że każde życie, które zakończę, w jakiś sposób się mnie uczepi, będzie mnie dręczyć, a w końcu sprawi, że dla Amelii stanę się całkowicie niewłaściwy.

– Jakież to romantyczne – zadrwił łagodnie Quinn. – Jedną z cech, które zawsze najbardziej podziwiałem u Marii, była jej umiejętność przetrwania w rynsztoku. Nie potrafiłbym spędzić życia z kobietą nieskałaną niczym śnieżnobiała lilia. Ciężar tej maski szybko by mnie zmęczył.

– Więc teraz zakładasz, że człowiek, z którym siedzisz przy stole to prawdziwy Colin, a ten, który tęskni za Amelią to maska. A być może jest właśnie na odwrót.

Oczy Quinna nagle zwały się pod śmiało wygiętymi brwiami.

– Więc nie odsłaniaj się tak szybko. Przeciagnij fortel trochę dłużej.

Colin spiął się, wzmógł czujność. Odstawił pusty kielich i wyteżył słuch.

– Co masz na myśli?

Dla Quinna gotów był zrobić wszystko, ale nieoczekiwany zew niebezpieczeństwa w jego głosie wytrącił go z równowagi. Bagaze miał już spakowane i załadowane na statek. Za kilka godzin wejdzie na pokład, by na nowo zacząć swoje prawdziwe życie – to samo, które przerwał sześć lat wcześniej, by stać się człowiekiem zamożnym. Utytułowanym, uprzywilejowanym, majątnym.

Godnym Amelii Benbridge.

– Mam wieści, że Cartland często widuje się z ludźmi agenta generalnego, Talleyranda-Perigolda.

Colin aż gwizdnał.

– Cartland to jeden z największych bezbożników, jakich znam.

– I właśnie dlatego jego znajomość z takim samym bezbożnikiem, agentem generalnym, budzi niepokój. Chcę dziś wieczorem przeszukać jego kwatery – oznajmił Quinn – podczas gdy ty jeszcze tu jesteś i zatroszczysz się o moje bezpieczeństwo. Chcę po prostu, żebyś go zatrzymał, jeśli wcześniej wróci.

– Wie, że wypływam o świcie, więc nabierze podejrzeń, jeśli mnie zobaczy.

– Działaj więc w ukryciu. Najprawdopodobniej nie przysporzy ci zmartwienia. Nie jest znany z samotniczego trybu życia.

Colin skinął głową. Przemyślał zaproponowany przez przyjaciela scenariusz krok po kroku i nie znalazł w nim nic, co mogłoby zakłócić jego wyjazd z Francji. Poświęci tylko kilka godzin, a jednocześnie złagodzi swe poczucie winy, że opuszcza Quinna. Cartland w nocy nie sypiał dłużej niż on sam w ciągu dnia. Była więc spora szansa, że Colin posiedzi w powozie, obserwując tylko drzwi tej czy innej tawerny, po czym prosto stamtąd ruszy na nabrzeże.

– Pomogę ci, oczywiście – odparł zgodnie.

– Doskonale. – Quinn skinął na służącą, by dołąła mu wina. – Będę ci zobowiązany.

– Nonsens. – Colin machnął ręką. – I tak nigdy nie zdołam odwdziżyć ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– Oczekuję zaproszenia na ślub.

– Otrzymasz je w pierwszej kolejności.

Quinn podniósł napełniony kielich i wzniósł toast.

– Za piękną pannę Benbridge.

Colin, którego oczekiwanie wręcz rozpierało, chętnie go spełnił.

– O co ci chodzi? – mruknął do siebie Colin kilka godzin później, kiedy wtapiając się w mrok ciemnej uliczki, podążał w bezpiecznej odległości za Cartlandem.

Mężczyzna godzinę wcześniej opuścił dom kochanki i od tego czasu przechadzał się, wydawałoby się, bez celu. Ponieważ zaś zmierzał mniej więcej w kierunku swej kwatery, Colin szedł za nim. Nie mógł pozwolić, by Cartland wrócił i przyłapał Quinna na penetrowaniu swego domu.

Noc była przyjemna, a niebo, z wyjątkiem kilku chmurek, czyste. Pełna tarcza księżycy wisiała nisko, oświetlając jasno wszystko, co nie znajdowało się w cieniu budynków. Mimo sprzyjających okoliczności Colin znacznie bardziej wolałby być teraz w swej kajucie, by wyspać się, zanim o brzasku stanie na dziobie i głęboko wciągnie rześkie, morskie powietrze.

Cartland skręcił za róg, a Colin został w tyle, w myśli odliczając czas, kiedy będzie mógł bezpiecznie wychylić się zza węgła i kontynuować swą niespieszną przechadzkę.

Ruszył naprzód, ale prawie od razu stanął, zdziwiony. Oto miał przed sobą prywatne podwórko. Stał na nim Cartland, pogrążony w dyskusji z kimś, kto najwyraźniej na niego czekał. Wejście na posesję zdobiły dwie latarnie na ceglanych słupkach. Poza tym przed domem był tylko nieduży, idealnie przystrzyżony trawnik z małą fontanną.

Colin cofnął się i szczerzej otulił peleryną, by jego sylwetki nie dało się rozpoznać w ciemności. Choć niełatwo mu było przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt i stu kilogramach wagi pozostać niewidzialnym, to świetnie opanował sztukę ukrywania się i był w tym bardzo sprawny.

Co dziwne, podczas gdy Colin odziedziczył mocną budowę ciała po rodzicach – pracownikach fizycznych, to Cartland, który mógł pochwalić się bardziej wyszukaniem pochodzeniem, był równie słusznej postury. Parał się pracą tylko dlatego, że jego ojciec zbankrutował, ale stawiał sprawę jasno i wyraźnie, że pewne zadania leżą poniżej jego godności. Zabijanie do nich nie należało. Akurat z wykonywania tej powinności Cartland czerpał

przyjemność, zdaniem Colina – nawet za dużą. Dlatego na ogół nie utrzymywał z nim kontaktu, chyba że był do tego zmuszony.

Przylegając plecami do wilgotnej kamiennej ściany, Colin podchodził do rozmawiających coraz bliżej, z nadzieją że usłyszy coś, co pomoże mu wyjaśnić charakter tej schadzki.

– ...możesz przekazać agentowi generalnemu...

– ...zapomnij o swoim domu! Nie jesteś...

– ...dopilnięję tego, Leroux, pod warunkiem że dostanę odpowiednie wynagrodzenie...

Debata stawała się coraz bardziej ożywiona – Cartland gestykulował żywo jedną ręką, a jego rozmówca zaczął się nerwowo przechadzać. Odgłos jego kroków na bruku zagłuszył stąpanie Colina, pozwalając mu w ten podejść jeszcze bliżej. Wieczorowy strój Cartlanda okrywała krótka peleryna, spięta wysadzaną drogo-cennymi kamieniami broszą, która pobłyskiwała w świetle latarni. Drugi mężczyzna był z gołą głową, bez płaszcza i znacznie niższy. Był też bardzo zdenerwowany.

– Nie wywiązałeś się ze swojej części umowy! – rzucił Leroux. – Jak śmiesz żądać ode mnie więcej pieniędzy, jeśli nie wykonałeś nawet zadania, za które już ci zapłaciłem!

– Bo zapłaciłeś mi za mało – oznajmił pogardliwie Cartland, którego rysy skrywało rondo trójkątnego kapelusza.

– Poinformuję agenta generalnego o twoich absurdalnych żądaniach i doradzę mu, aby znalazł sobie do pracy kogoś bardziej godnego zaufania.

– Och, doprawdy? – W tonie Cartlanda zabrzmiało samozadowolenie, które zaniepokoiło Colina, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, było już za późno. W świetle księżyca błysnęło ostrze, by w ułamku sekundy zniknąć głęboko w brzuchu Leroux.

Rozległ się bolesny jęk, a potem bulgotanie gęstej cieczy.

– Możesz przekazać mu ode mnie coś jeszcze – sapnęła Cartland, wyciągając ostrze i chowając je z powrotem na miejsce. – Nie

jestem byle sługusem, którego można odstawić na drugi plan, kiedy przestanie być potrzebny.

Nagle z mroku wyskoczyła czarna postać i rzuciła się na Cartlanda, strącając mu z głowy kapelusz. Ostrze wyślizgnęło się z miejsca, gdzie było ukryte, i z brzękiem upadło na bruk. Leroux, przyciskając ręce do krwawiącej rany, osunął się na kolana.

Przetaczając się i wijąc po ziemi, wybawiciel walczył zajadle. Zadawane przez niego ciosy odbijały się echem od ścian budynków. Słysząc było darcie materiału i jadowite słowa, aż wreszcie Cartland wziął górę. Przyszpilił przeciwnika do ziemi i sięgnął po leżący kilkadziesiąt centymetrów dalej nóż.

– Cartland! – Colin porzucił zamiar dalszego ukrywania się i biegiem ruszył na miejsce bójki, w pędzie odrzucając pelerynę za ramię, by obnażyć rękojeść małego miecza.

Zdumiony Cartland odsunął się od ofiary. Na jego twarzy malowała się żądza krwi, a oczy były zimne i mroczne. Leżący pod nim mężczyzna skorzystał z momentu nieuwagi napastnika i zadał mu szybki, mocny cios pięścią w skroń. Cartland zatoczył się w bok.

Colin przebiegł między słupami, wyznaczającymi wejście na teren posiadłości i wysunął ostrze z pochwy.

– Odpowiesz za to! – krzyknął.

– Na pewno nie przed tobą! – odparł Cartland, usiłując go kopnąć.

Colin zrobił unik i natarł, zadając Cartlandowi pchnięcie w ramię. Ten zaryczał jak ranne zwierzę i z wściekłości zaczął na osłep wymachiwać rękami.

Colin okrążył go i odwrócił głowę, by zerknąć na nieszczęsnego Leroux. Jego otwarte, nic niewidzące oczy wskazywały na to, że już nie żył.

Było więc za późno. Mężczyzna, który miał dojście do Talleyranda-Perigolda, był martwy.

Colina znów uderzyło złowieszcze przecucie.

Rozkojarzony, nie przewidział ciosu, zadanego w tylną część kolana, który powalił go na ziemię. Instynktownie przetoczył się na bok, unikając w ten sposób kolejnego ataku ze strony Cartlanda. Wpadł na ciało zabitego i kałużę krwi, która wciąż powiększała się wokół.

Cartland chciał sięgnąć po nóż, wytracony mu wcześniej z ręki, ale Colin dopadł doń pierwszy i celnym odrzutem odepchnął przedmiot dalej po nierównym bruku ulicy. Próbował się podnieść, gdy z pobliskiej uliczki dały się słyszeć czyjeś zaniepokojone okrzyki. Wszyscy trzej odwrócili głowy.

Jeszcze chwila, a zostaną nakryci.

– Potrzask! – syknął Cartland, zrywając się jednym ruchem. Chwiejnie podbiegł do niskiego kamiennego murka i przesadził go skokiem.

Colin też już był na nogach. Rzucił się naprzód.

– Stać! – krzyknął ktoś z oddali.

– Szybciej! – ponaglił niedoszły wybawca Leroux, biegnący obok niego.

We trzech pędzili teraz drogą inną niż ta, którą przyszedł tu Colin... Tamta z chwili na chwilę zapełniała się przedstawicielami władz z wysoko uniesionymi latarniami w rękach.

– Stać!

Kiedy dobiegli do większego traktu, Colin rzucił się w lewo, w stronę oczekującego na niego powozu. Drugi mężczyzna wybrał kierunek w prawo. Po hałaśliwej bójce na małym podwórku cisza i spokój nocy wydawały mu się nienaturalne, a rytmiczne dudnienie własnych kroków – głośniejsze niż w rzeczywistości.

Kluczył między różnymi budynkami, po labiryncie ulic, wybierając te, w których najmniej spodziewał się pogoni.

Dotarł wreszcie w okolice domu kochanki Cartlanda i dopadł swojego stangreta, który na jego widok wyprostował się na koźle i zwolnił hamulec.

– Do Quinna – zażądał Colin, wskazując do powozu. Kiedy ruszyli, skulił ramiona, zerwał z siebie przesiąkniętą krwią pelerynę i rzucił ją na podłogę. – Do diabła! – zaklął.

Jak to możliwe, że takie proste zadanie wymknęło mu się spod kontroli?

*Nie pozwól, by Cartland za prędko wrócił do domu.* Cholernie proste zadanie. Nie powinno wiązać się z byciem naocznym świadkiem morderstwa i koniecznością użycia broni.

Gdy tylko powóz zajechał pod dom Quinna, Colin wyskoczył. Zaczął walić pięścią w drzwi, klnąc siarczyście przez cały czas, kiedy się nie otwierały.

Wreszcie uchyliły się i stanął w nich lokaj w nieładzie, z cienką świecą w ręku.

– Chcę się widzieć z Quinnem. Teraz.

Jego niecierpiący zwłoki ton był jasny i bezdyskusyjny. Służący cofnął się i pozwolił mu przejść, po czym wskazał mu drogę do niższego salonu. Colin został sam. Chwilę później pojawił się zarumieniony Quinn w kolorowym, jedwabnym szlafroku.

– Już dawno wysłałem po ciebie człowieka. Ponieważ nie dostałem odpowiedzi, myślałem, że wszedłeś na pokład swojego statku i poszedłeś spać.

– Jeśli masz tam na górze kobietę – wycodził Colin przez zęby – to uważaj, bo cię chyba zabiję.

Quinn zlustrował go baczным spojrzeniem – od stóp do głów.

– Co się stało? – zapytał.

Colin przez jakiś czas przechadzał się w tę i z powrotem przed ogniem, płonącym w palenisku, po czym zrelacjonował przyjacielowi wydarzenia ostatnich godzin.

– Jasna cholera. – Quinn przecesał palcami swe kruczoczarne loki. – Będzie zdesperowany. Będzie musiał uciekać i przed nami, i przed nimi.

– Nie ma żadnych „nas” – warknął Colin i wskazał na duży zegar, stojący w rogu. – Mój statek odpływa za kilka godzin. Gdyby

mnie dzisiaj schwytano, moja podróż mogłaby się opóźnić o wiele tygodni, albo nawet miesięcy, dopóki nie wyjaśniłoby się tej całej historii.

Rozległo się walenie w drzwi. Obaj zamarli. Wstrzymali oddech. Pojawił się służący.

– Tuzin uzbrojonych mężczyzn – zaanonsował. – Przeszukali powóz i coś w nim znaleźli.

– Moją pelerynę – odpowiedział ponuro Colin – przesiąkniętą krwią Lerouxa.

– To, że tu po ciebie przyszli, oznacza, że Cartland zrobił z ciebie kozła ofiarnego – rzekł wściekle Quinn. Z zewnątrz dochodziły odgłosy wydawanych komend.

– Wyjdź do nich – rozkazał lokajowi. – I przetrzymaj ich tak długo, jak zdołasz.

– Tak jest, proszę pana. – Lokaj odszedł, zamykając za sobą drzwi salonu.

– Przykro mi, przyjacielu – mruknął Quinn, po czym podszedł do zegara i przesunął go na bok, odsłaniając uchylny panel w ścianie. – Tędy dostaniesz się do stajni. Na nabrzeżu możesz mieć kłopoty, ale jeśli uda ci się wejść na pokład, zrób to. Ja tu wszystko załatwię i zadbam o twoje dobre imię.

– Jak? – zapytał Colin, spieszenie podchodząc do sekretnego przejścia. – Cartland musiał jakoś współpracować z Francuzami. Muszą mu choć trochę ufać.

– Znajdę jakiś sposób, nie martw się. – Quinn położył mu rękę na ramieniu. Z holu dochodziły już głosy. – A teraz – pędem.

Colin czym prędzej przeszedł przez wąskie drzwi, które natychmiast się za nim zamknęły. Zegar został przesunięty na dawne miejsce – świadczyło o tym głośnie szuranie. Więcej nic już nie słyszał, bo biegł na oslepek ciemnym tunelem. Ręce rozstawił szeroko na obie strony, by po omacku wyczuwać drogę.

Serce mu łomotało, oddychał ciężko i próbował nie poddawać się narastającej z każdą sekundą panice. Nie dlatego że go goniono,



lecz dlatego że nigdy dotąd tak niewiele dzieliło go od odzyskania Amelii. Czuł, że była już niemal w zasięgu ręki i wiedział, że jeśli nie zdoła wsiąść na statek, utraci ją raz jeszcze. Ledwie udało mu się przeżyć ten pierwszy raz. Wątpił, czy zdoła przeżyć drugi.

Tunel zrobił się wilgotny. Zaczęło w nim cuchnąć. Colin dobiegł do końca korytarza, który okazał się ślepy, i siarczyście zaklął. Nagle dotarły do niego ledwie słyszalne odgłosy spłoszonych koni. Podniósł głowę. Nad sobą zauważył zarys przykrywy. Nogą wymacał mały stołeczek. Przyciągnął go bliżej i stanął na nim.

Cichutko uniósł klapę – tylko tyle, by zobaczyć leżące na niej źdźbła słomy. W stajni panował spokój, choć wrażliwe zwierzęta już wyczuły, że coś się dzieje, i poruszały się nerwowo. Zdecydowanym ruchem otworzył klapę na całą szerokość, wspiał się do stajni i zamknął za sobą przejście. Złapał pierwsze lepsze ogłowie i konia, a potem otworzył drzwi stajni.

Wyprowadził wierzchowca na dwór. Z szeroko otwartymi oczami i wytężonym słuchem wypatrywał i nasłuchiwał pogoni.

– Ty, tam! Stój! – rozległ się głos z lewej.

Colin zaczerpnął dwie garści jedwabistej grzywy i podciągnął się na koński grzbiet.

– Dalej! – ponaglił konia, wbijając mu pięty w boki. Wypadli na uliczkę.

Poranny wiatr szarpnął jego warkoczem. Colin pochylił się nisko nad końską szyją i pędził, oddychając równie ciężko jak wierzchowiec. Żołądek ze zdenerwowania zacisnął mu się w twardy węzeł. Jeśli uda mu się bezpiecznie dotrzeć na statek, to zdarzy się cud. Był już tak blisko tego, by zostawić za sobą dotychczasowe życie. Tak blisko.

Przygalopował jak najbliżej nabrzeża, po czym zeskokczył z konia. Puścił zwierzę luzem, a pozostały dystans przebył pieszo, przeciskając się między skrzyniami i beczkami. Ciało mimo chłodnego wiatru wiejącego od oceanu i braku ciepłej bielizny pokryło mu się potem.

Tak blisko.

Później nie pamiętał już chwili, kiedy wchodził po trapie i schodził pod pokład, do kajuty. Nigdy jednak nie zapomniał tego, co zastał w środku.

Otworzył drzwi na oścież. Wszedł. Widok, który się przed nim ukazał, sprawił, że zabrakło mu tchu.

– Ach, więc jesteś – mruknął obłudny głos nieznajomego.

Colin zamarł w bezruchu na progu i przyglądał się wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, który trzymał nóż na gardle jego lokaja. Jeden ze sługusów Cartlanda, a może pacholek Francuzów.

Tak czy inaczej, był w potrzasku.

Służący wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami znad krawatki, którą zakneblowano mu usta. Był przywiązany do krzesła, trząsł się, a o tym, jak bardzo był przerażony, świadczył ostry zapach moczu.

– Czego chcesz? – zapytał Colin, podnosząc obie ręce w górę na znak, że jest chętny do współpracy.

– Masz iść za mną.

Serce mu zamarło. Amelia. Jej obraz niknął mu przed oczami. Błądł z każdą sekundą.

Skinął głową.

– Oczywiście.

– Doskonale.

Zanim zdążył mrugnąć, napastnik poruszył się, odchylił głowę służącego do tyłu i poderżnął mu gardło.

– Nie! – Colin wyrwał się naprzód, lecz było już za późno. – Boże drogi, dlaczego? – krzyknął. Do oczu napłynęły mu łzy bezradności i niezrozumienia.

– A dlaczegoż by nie? – odparował zabójca, wzruszając ramionami. Miał małe, bladoniebieskie oczy jak dwa kryształki lodu. Ogorzała cera i wczorajszy zarost sprawiały, że robił wrażenie brudnego, choć jego prosty strój wyglądał na czysty. – Proszę, idź przodem.

Colin, potykając się, wycofał się przez drzwi kajuty. Towarzyszyło mu wewnętrzne przekonanie, że nie przeżyje tej nocy. Odczuwał głęboki smutek, lecz nie z powodu prawdopodobieństwa utraty życia – tego, które prowadził. Nie mógł odżałować, że utraci to życie, o którym marzył. Życie z Amelią.

Trzęsącymi się rękami chwycił poręcz schodów, prowadzących w górę na pokład. Straszliwy łomot i chrapliwy jęk zza pleców wystraszyły go tak, że podskoczył i odwrócił się zbyt szybko. Potknął się i wylądował na siedzeniu na drugim schodku od dołu.

U jego stóp leżał zaś jego napastnik – twarzą w dół, a z tyłu głowy w szybkim tempie rósł mu olbrzymi guz.

Colin oderwał wzrok od leżącego na brzuchu ciała. Stwierdził, że stoi przed nim ten sam mężczyzna, który wcześniej, na podwórzu, rzucił się na Cartlanda. Był dość niski i korpulentny, dobrze umięśniony, ubrany w nierzucający się w oczy strój w wielu odcieniach szarości. Rysy miał nijakie, a ciemne oczy – znużone i otoczone zmarszczkami.

– Ocaliłeś mi życie – rzekł. – Byłem ci więc winien przysługę.

– Kim jesteś? – zapytał Colin.

– Mam na imię Jacques.

Po prostu imię. Nic więcej.

– Dziękuję, Jacques. Jak mnie znalazłeś?

– Poszedłem za nim – rzekł, trącając czubkiem buta bezwładne ciało. – Dalszy pobyt we Francji grozi panu niebezpieczeństwem, *monsieur*.

– Wiem o tym.

Mężczyzna skłonił się lekko.

– Jeśli ma pan przy sobie cokolwiek drogiego, to sugerowałbym, by zaproponował pan to kapitanowi jako zachętę, by natychmiast postawił żagle. Ja zajmę się ciałami.

Colin zdołał wydobyć z siebie ciężki oddech. Jednocześnie starał się zwalczyć nadzieję, która z powrotem zaczęła się w nim tlić

nikłym płomieniem. Szanse, że ostatecznie stanie na angielskiej ziemi, nie były duże.

– Proszę iść – ponaglił go Jacques.

– Pomogę ci – powiedział i z trudem podniósł się na nogi. –

A potem zsiądziesz ze statku, nim ktokolwiek zacznie cię ze mną kojarzyć.

– Na to już za późno. – Francuz utkwiał w nim szczere spojrzenie.

– Zostanę przy panu, dopóki nie załatwi pan swoich spraw, a sprawa śmierci mojego pana nie zostanie wyjaśniona.

– Dlaczego? – zapytał zwyczajnie Colin, zbyt zmęczony, by się spierać.

– Proszę w tej chwili zorganizować wypłynięcie z portu – powiedział Jacques. – Podczas podróży będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowę.

Trudno w to uwierzyć, ale nie minęła godzina, a byli na otwartym morzu. Ale Colin Mitchel, który stał na spowitym morską mgiełką dziobie, nie był tym samym mężczyzną, który jadł pożegnalną kolację ze swym przyjacielem Quinnem.

Ponieważ teraz jego głowa była dużo warta. Mógł za nią zapłacić cenę życia.

## ROZDZIAŁ 4

---

Ogrodzenie znajdowało się w linii prostej przed nią. Amelia upewniła się, że strażnik jest wystarczająco daleko, by ją widzieć, i ruszyła w tamtą stronę. Nie zauważyła ukrytego za grubym pniem drzewa mężczyzny. Przeraziła się, kiedy złapało ją czyjeś silne ramię, a duża dłoń przykryła jej usta. Jej krzyki zdusiła ciepła ręka.

– Ciii... – szepnął Colin, przyciskając ją do pnia swym silnym ciałem.

Amelia, z walącym w piersi sercem, zaczęła okładać go pięściami. Była wściekła, że ją tak przestraszył.

– Przestań – rozkazał i odciągnął ją od pnia, by nią potrząsnąć i wbić w nią spojrzenie swych świdrujących, ciemnych oczu. – Przepraszam, że na ciebie tak napadam, ale nie dajesz mi wyboru. Nie chcesz mnie widzieć, nie chcesz ze mną rozmawiać.

Przestała się szarpać, dopiero kiedy przyciągnął ją do siebie i ciasno objął. Nie była przyzwyczajona do takiej bliskości jego potężnego, wysokiego ciała.

– Uwaga, odsłaniam ci usta. Bądź cicho albo sprowadzisz tu strażę.

Puścił ją i odsunął się od niej tak szybko, jakby wydawała przykrą woń lub coś równie nieprzyjemnego. Amelia natomiast

w tej samej chwili zatęskniła za zapachem koni i ciężko pracującego mężczyzny, który roztaczał wokół siebie Colin.

Na jego kruczonych włosach i przystojnej twarzy igrały cętki słońca. Ze złością stwierdziła, że na ten widok żołądek jej się zacisnął, a serce zaczęło łomotać w piersi. Colin w beżowym kubraku i brązowych bryczesach roztaczał wokół siebie aurę prawdziwej męskości. Bardzo niebezpieczną aurę.

– Chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro – odezwał się schrypniętym, poważnym tonem.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

Westchnął ciężko i przeczesał włosy palcami.

– Ona nic dla mnie nie znaczy.

Amelia zorientowała się, że nie przeproszał już za to, że przeraził ją na śmierć.

– Och, jak cudownie. – Nie była w stanie ukryć goryczy. – Co za ulga – usłyszeć, że to, co złamało mi serce, dla ciebie było bez znaczenia.

Skrzywił się i wyciągnął do niej zniszczone pracą ręce.

– Amelio, nie rozumiesz. Jesteś zbyt młoda, żyjesz pod kloszem.

– Tak, no cóż, znalazłeś sobie kogoś starszego, kto nie żyje pod kloszem, i kto cię rozumie. – Ruszyła z miejsca i minęła go. – I ja znalazłam sobie kogoś starszego, kto mnie rozumie. Wszyscy są szczęśliwi, więc...

– Więc co?

Zdziwił ją jego niski, złowieszczy ton. Kiedy mocną ją złapał, krzyknęła.

– Kto to? – Na jego twarzy malowało się takie napięcie, że znów się przestraszyła. – Ten chłopak znad strumienia? Benny?

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – odburknęła. – Przecież ty masz ją.

– Czy to dlatego tak się ubrałaś? – Lustrował ją rozognionym spojrzeniem. – To dlatego spinasz teraz włosy do góry? Dla niego?

Ponieważ uważała okazję za wystarczająco godną, włożyła jedną ze swych najpiękniejszych sukienek – ciemnoniebieską, upstrzoną maleńkimi, haftowanymi, czerwonymi kwiatuśkami.

– Tak! On nie widzi we mnie dziecka.

– Bo sam nim jest! Całowałaś się z nim? Dotykał cię?

– Jest zaledwie rok młodszy od ciebie – odparła z uniesioną wysoko brodą. – To džentelmen. Nigdy nie dałby się przylapać za składem, jak kocha się z dziewczyną.

– To nie było kochanie się – odparł wściekłym tonem Colin, łapiąc ją za ramiona.

– Dla mnie – było.

– Bo się na tym nie znasz. – Palcami nieustannie ugniał jej skórę, jakby nie był w stanie jej normalnie dotknąć, a równocześnie – oderwać od niej rąk.

– A ty, jak sądzę, znasz się?

W odpowiedzi na pogardliwe pytanie mocniej zacisnął szczękę.

Och, jak to bolało. Świadomość, że jest ktoś, z kim się kochał.

Jej Colin.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? – Próbowała się wyrwać, ale bezskutecznie. Trzymał ją mocno. Musiała się od niego odsunąć. Nie mogła oddychać, kiedy jej dotykał, z ledwością dawała radę myśleć. Jej przeczulone zmysły przenikały tylko ból i głęboki smutek.

– Zapomniałam o tobie, Colin. Nie wchodziłam ci w drogę. Dlaczego znowu mnie nękaś?

Położył jej rękę na szyi u nasady włosów i przyciągnął ją bliżej. Jego pierś tuż przy jej ciele unosila się w ciężkim oddechu, co przedziwnie wpływało na jej piersi, które nabrzmiały i zaczęły boleć. Nie miała pojęcia, jak jej ciało zareaguje na dalsze próby uwolnienia się z uścisku, przestała więc walczyć.

– Widziałem twoją twarz – powiedział szorstko. – Wiem, że cię zraniłem. Nigdy nie miałem tego zamiaru.

*Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugła gwałtownie, by je powstrzymać.*

*– Amelio – prosił z bólem, przyciskając policzek do jej policzka.*

*– Nie płacz. Nie zniosę tego.*

*– Więc puść mnie. I trzymaj się ode mnie z daleka. – Z trudem przelknęła ślinę. – A jeszcze lepiej byłoby, gdybyś poszukał lepszej pracy, w innym majątku. Potrafisz ciężko pracować.*

*Drugim ramieniem oplótł jej talię.*

*– Chcesz mnie odprawić?*

*– Tak – wyszeptała, zaciskając w pięściach jego kubrak. – Tak, tego właśnie bym chciała. – Już wolę to, niż widywać cię w towarzystwie innej.*

*Ocierał się o nią mocno.*

*– Hrabia... To musi być lord Ware. Do diabła z nim.*

*– Dla mnie jest bardzo miły. Rozmawia ze mną, uśmiecha się, kiedy mnie widzi. Dzisiaj ma zamiar po raz pierwszy mnie pocałować. A ja...*

*– Nie! – Colin odskoczył do tyłu. Jego tęczywki niemal zniknęły, ustępując miejsca rozszerzonym źrenicom, które przypominały czarne jeziora bólu. – On może mieć wszystko, czego ja nigdy nie będę posiadał, łącznie z tobą. Ale, na Boga, tego nie może mi odebrać.*

*– Czego?*

*Nie odpowiedział. Zamiast tego przyłgnął ustami do jej ust, co zaskoczyło ją tak bardzo, że nie była zdolna się poruszyć. Nie rozumiała, co się dzieje, dlaczego Colin tak się zachowuje, dlaczego nagle do niej podchodzi, akurat tego dnia, i dlaczego całuje ją tak, jakby był spragniony jej smaku.*

*Przechylił głowę, dokładniej przyciskając wargi do jej warg, a kciukami delikatnie naciskając na żuchwę, by szerzej rozwarła usta. Zadrżała gwałtownie, przeszzyta pełną pożądania tęsknotą, niepewna, czy śni, czy postradala rozum. Posłusznie otworzyła*



usta. Z ust Colina wydobył się słaby jęk, miękki jak mokry ak-samit, i wślizgnął się do jej wnętrza.

Przerazona, zamarła. A potem zaczął do niej mruczeć – jej najdroższy Colin, pieściliwie gładząc opuszkami palców jej kości policzkowe.

– Proszę, pozwól mi – szeptał. – Zaufaj mi.

Amelia wspięła się na palce, wpijając się w niego całą sobą, wsuwając dłonie w jego jedwabiste loki. Sama, nie mając wprawy, mogła tylko poddać się jego prowadzeniu i pozwolić mu delikatnie żywić się z jej ust, nieśmiało dotykając językiem jego języka.

Wydał jęk, przesycony pragnieniem i pożądaniem. Oparł ręce z tyłu jej szyi i ustawił ją pod lepszym kątem. Ich usta przywarły do siebie mocniej i Amelia zaczęła reagować z większą intensywnością. Całym jej ciałem wstrząsały dreszcze, które przechodziły ją niczym fale gęsiej skórki. Gdzieś na dnie żołądka czuła narastające pragnienie, przemieszane z lekkomyślnością i odrobiną nadziei.

Jedna z jego rąk ześlizgnęła się z szyi w dół i zaczęła pieścić jej plecy wzdłuż linii kręgosłupa, po czym spoczęła na jej pośladku i mocno go przycisnęła, tym samym unosząc ją lekko i jeszcze mocniej wgniatając w ciało Colina. Gdy poczuła jego twardość, gdzieś w środku, nisko w głębi, zaczął rozpierać ją dziwny ból.

– Amelio... najdroższa. – Błądził wargami po jej wilgotnej twarzy, scalowując z niej łzy. – Nie powinniśmy tego robić.

Lecz całował ją dalej, całował i wciskał w nią swoje biodra.

– Kocham cię – wyszeptala gwałtownie. – Kocham cię już od tak dawna...

Przerwał jej, wgniatając w nią swe wargi. Jego pożądanie wzrastało, a ręce nie przerywały wędrówki po jej plecach i ramionach. Kiedy zabrakło jej tchu, oderwała od niego usta.

– Powiedz mi, że mnie kochasz... – błagała, oddychając ciężko.  
 – Musisz. Och, Colin... – Ocierała o niego swą zapłakaną twarz. –  
 Byleś dla mnie taki okrutny, taki niedobry...

– Nie mogę z tobą być. Nie powinnaś mnie pragnąć. Nie  
 możemy...

Colin, przeklinając jadowicie, odsunął się od niej.

– Jesteś za młoda, by mnie w ten sposób dotykać. Nie. Nic nie  
 mów, Amelio. Jestem tylko służącym. I zawsze nim pozostanę,  
 podczas gdy ty zawsze będziesz córką wicehrabiego.

Oplótł ją ramionami. Drżała na całym ciele, jakby w ten upa-  
 lany dzień przeszywały ją fale chłodu. Czowała się tak, jakby jej  
 skóra zrobiła się za ciasna, a usta napuchły i swędziały.

– Ale kochasz mnie, prawda? – zapytała piskliwym, cichym  
 głosem mimo starań, by być silną.

– Nie pytaj mnie o to.

– Nie możesz mi dać chociaż tyle? Jeśli nie możemy być razem,  
 jeśli nigdy nie będziesz mój, czy nie możesz mi przynajmniej pow-  
 iedzieć, że do mnie należy twoje serce?

Jęknął.

– Myślałem, że będzie najlepiej, jeśli mnie znienawidzisz. – Za-  
 cisnął oczy i podniósł twarz w górę, prosto w niebo. – Miałem  
 nadzieję, że tak się stanie. Wtedy mógłbym przestać marzyć.

– Marzyć o czym? – Odrzuciła ostrożność i podeszła do niego,  
 by wsunąć mu palce pod ubranie i położyć je na twardych mięs-  
 niach jego brzucha.

Złapał ją za nadgarstek i spojrzał na nią lodowato.

– Nie dotykaj mnie.

– Czy twoje marzenia są podobne do moich? – zapytała  
 miękko. – Czy w nich całujesz mnie tak jak przed chwilą i mówisz  
 mi, że kochasz mnie bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek innego  
 na świecie?

– Nie – warknął. – Moje marzenia nie są słodkie, romantyczne  
 i dziewczęce. To są męskie marzenia, Amelio.

– O tym, co będziesz robił z tamtą dziewczyną? – Jej dolna warga zadrżała, więc Amelia przygryzła ją, by nie zdradzała targających nią emocji. W jej głowie kołatały się bolesne wspomnienia, potęgując jeszcze stan niepokoju, w jaki wprawiły ją nieznanne dotąd pragnienia własnego ciała i pożądliwe błagania serca.

– O niej też marzysz?

Colin znów chwycił ją za nadgarstek.

– Nigdy.

Pocałował ją, tym razem lżej i delikatniej niż przedtem, lecz z nie mniejszą pasją. Jego usta muskały ją niczym skrzydła motyla, jego język zanurzał się w niej, a potem wycofywał. Pocałunek ten przepelniały cześć i uwielbienie, a samotne serce Amelii chłonęło go niczym wysuszona pustynia chłonie krople deszczu.

Obejmując dłońmi jej twarz, powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

– To właśnie znaczy kochać się, Amelio.

– Powiedz, że jej nie całujesz w ten sposób! – krzyknęła cicho, wbijając mu przez kubrak paznokcie w plecy.

– Nie całuję nikogo. I nigdy nie całowałem. – Oparł czoło o jej czoło. – Tylko ciebie.

Amelia przebudziła się nagle. Serce waliło jej na wspomnienie młodszej namiętności i tęsknoty. Odrzuciła pościel, usiadła i czekała, aż chłodne, nocne powietrze dotrze przez cieniutką koszulę do wilgotnej od potu skóry. Uniosła rękę i przycisnęła drżące palce do ust, by zmniejszyć mrowienie nabrzmiałych warg.

Sen był niesamowicie realny. Wyobrażała sobie, że wciąż może smakować Colina – za jego odurzającym, niepowtarzalnym smakiem tęskniła do tej pory. Od lat nie nawiedzały jej już takie wspomnienia. Myślała, że powoli bledną, odchodzą w niepamięć, a ona sama – leczy rany. W końcu.

Dlaczego akurat dziś? Czy dlatego że ostatecznie zgodziła się rozpocząć przygotowania do ślubu? Czy wspomnienie o Colinie obudziło się po to, by przypomnieć o sobie i zażądać, by nie puszczała miłości swego życia w niepamięć?

Zamknęła oczy. Natychmiast stanęła jej przed nimi biała maska, a pod nią – bezwstydnie zmysłowe oczy.

Montoya.

Jego pocałunek również spowodował mrowienie. Całego ciała – od czubka głowy po koniuszki stóp.

Musi go odnaleźć. I na pewno jej się to uda.

– I co pisze?

Colin dokładnie złożył list i schował go do szuflady biurka.

Spojrzał na Jacques'a.

– Uważa, że Cartland przewodzi jakiejś bandzie tu, w Anglii.

– Nie wydaje mi się, żeby chciał dowiedzieć cię z powrotem do Francji żywego. – Jacques podszedł do okna i odepchnął jego przeszklone skrzydło na bok, by wyrzeć na podjazd przed domem.

Kamieniczka, którą wynajmowali, była bardzo zadbana. Była usytuowana niedaleko miasta – na tyle blisko, żeby zapewnić wygodę komunikacyjną, lecz jednocześnie na tyle daleko, by nikt niepożądany nie miał szansy ich łatwo odnaleźć. Odległość pozwalała im także stwierdzić, czy są śledzeni – tak jak Colin kilka dni wcześniej. Tamtej nocy, kiedy tańczył z Amelią i pocałował ją.

– Dobrze, że za dnia nie wychodzisz z domu – rzekł Jacques i odwrócił się twarzą do Colina. – Bo jesteś popularny jak cholera, ze wszech stron nie dają ci spokoju.

Colin potrząsnął głową, zamknął oczy i wygodnie oparł się o krzesło.

– Postąpiłem niebywale głupio, odnajdując ją. Tym samym ściągnąłem na siebie uwagę St. Johna, a on nie spocznie, dopóki nie dowie się, dlaczego jestem nią tak żywo zainteresowany.

– To śliczna kobieta – stwierdził Jacques. W jego głosie zadźwięczała charakterystyczna dla Francuzów, niepowtarzalna nuta, świadcząca o tym, że potrafią docenić prawdziwe piękno.

– Tak, jest piękna.

Więcej niż piękna. Mój Boże, jak to możliwe, aby kobieta była tak doskonała? Oszalającą zielone oczy, otoczone smolistoczarnymi rzęsami. Usta stworzone do całowania. Mleczna, śmietankowa cera, i w pełni dojrzałe kształty dorosłej kobiety. A wszystko to otoczone aurą nieuświadomionej zmysłowości, której nigdy nie mógł się oprzeć.

Teraz skłonny był się przyznać, że wybrał się na bal z nadzieją, że ją zobaczy i stwierdzi, iż jego fascynacja nie ma uzasadnienia. Z nadzieją, że ze względu na długą rozłąkę jego serce miłowało ją za bardzo. Z nadzieją, że we wspomnieniach wyolbrzymiał sobie jej urok.

– Ale nie dlatego ją kochasz – mruknął Jacques.

– Nie – zgodził się Colin – nie dlatego.

– Nieczęsto można spotkać kobietę, której duszę przepelnia taka tęsknota. Choć patrzyłem na nią tak samo jak ty, wcale nie zwróciła na mnie uwagi.

To była jego wina. Wiedział o tym. Częste spojrzenia na jej profil tylko podsycaly w nim pragnienie, by stanąć z nią twarzą w twarz. *Spójrz na mnie*, ponaglał ją w myśli. *No, spójrz!*

I spojrzała – śledzona z taką natarczywością, nie była w stanie odeprzeć ciekawości.

Kontakt wzrokowy dotknął go do żywego, przeszył odległość między nimi niczym piorun i ugodził go w samo serce. Wyczuwał ją – tę tęsknotę duszy, o której wspomniął Jacques. Wywoływała w nim instynktowną potrzebę, by ją zaspokoić – niezależnie od tego, co było obiektem tej tęsknoty. Czego chciała czy raczej potrzebowała.

– Mógłbyś ją odebrać tamtemu mężczyźnie – stwierdził Jacques.

Colin też to wiedział. Wyczuwał, że się wahała – kiedy tańczyli, i potem znowu, kiedy ją pocałował.

– Żałuję, że tamtej nocy zgodziłem się śledzić Cartlanda – warknął Colin. Frustracja, która go gnębiła, była tak silna, że aż skręcało go od środka. W duszy słyszał jej głos, zachrypnięty od wzywania go po imieniu, i jej satynową skórę, pokrytą warstewką potu.

Wbiły się w nią z siłą, jakiej świat nie widział i dałby jej rozkosz, o jakiej istnieniu nawet nie miała pojęcia...

– Żadne komplikacje w naszym życiu nie zdarzają się bez powodu – rzekł Jacques, wracając do biurka i zajmując miejsce naprzeciw Colina. – Ja na przykład przez całe życie nie ruszylbym się z Francji, gdyby moim przeznaczeniem nie był przyjazd tutaj, w ślad za tobą.

Colin wypchnął z głowy niewybredne myśli i otworzył oczy.

– Dobry z ciebie człowiek, Jacques. Nie każdy poczuwa się do lojalności swemu pracodawcy po jego śmierci.

– Pan Leroux ocalił życie mojej siostrze, a przez nią – siostrzenicy – rzekł Jacques cicho. – Nie mógłbym odejść ze świadomością, że jego zabójca nie poniósł jeszcze kary.

– A jaką karę mu zgotujemy?

Francuz uśmiechnął się, a jego ostre rysy złagodniały.

– Chętnie bym go zabił, ale to źle wpłynęłoby na twoją sytuację. Jestem twoim jedynym świadkiem, więc beze mnie byłoby ci niebywale trudno udowodnić swą niewinność.

Colin nie odpowiedział. Jacques i tak bardzo mu już pomógł. Nie miał prawa prosić o więcej.

– W takim razie musi się przyznać. – Jacques wzruszył ramionami. – A ja z przyjemnością zrobię, co trzeba, by go do tego nakłonić.

Colin skinął głową i spojrział w stronę okna. Kilka godzin temu zapadła już noc. Wkrótce wyjdzie z domu i zacznie dyskretnie

rozpytywać o Cartlanda, by znaleźć go, zanim tamten zdąży go ubiec. Najpierw jednak trochę odpocznie.

– Położę się na parę godzin, a potem wyruszę i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. Na pewno język się komuś rozwiąże, bez obaw. Muszę tylko znaleźć takiego.

– A może powinieneś nawiązać kontakt z człowiekiem, dla którego pracowałeś tutaj, kiedyś – zaproponował ostrożnie Jacques. – Z tym zwierzchnikiem Quinna.

Colin nie poznał lorda Eddingtona, nigdy też nie zamienił z nim ani słowa, ani do niego nie pisał. Kontaktowali się między sobą tylko i wyłącznie poprzez Quinna i o ile Colinowi było wiadomo, Eddington nie znał nazwisk ludzi, którzy dla Quinna pracowali. Nie było więc szans, by udowodnić, że Colin jest zaufanym człowiekiem.

– Nie. To niemożliwe – odparł ponuro. – Nie znamy się nawet.

Francuz mrugnął – najwyraźniej wiadomość ta zdumiała go tak bardzo, że odruchowo zareagował we własnym języku.

– *Vraiment?*

– Naprawdę.

– No, więc.... To wyklucza tę możliwość.

– Tak. Niestety, wyklucza. – Colin wstał i rozprostował się. –

Pogadamy jeszcze, jak wstanę.

Jacques skłonił głowę na znak zgody i poczekał, aż Colin wyjdzie z pokoju. Następnie podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyciągnął z niej białą maskę, przysłaniającą pół twarzy.

Colin nie miał już zamiaru brać udziału w balach czy maskaradach, a więc fakt, że trzymał tę maskę w szufladzie, wskazywał, że stanowiła dla niego dużą wartość emocjonalną. Jacques przyglądał się swemu nowemu przyjacielowi w towarzystwie panny Benbridge i wiedział już, ile dla niego znaczy ta kobieta.

Postanowił więc mieć na nią oko i dopilnować, by – o ile to możliwe – była bezpieczna. Z bożą pomocą Jacques dokończy

dzieła, Cartlanda spotka to, na co zasłużył, a Colin odzyska ukochaną kobietę.

W dzieciństwie Amelia nauczyła się obcować z olbrzymami.

Wtedy żyły oczywiście tylko w jej wyobraźni. A człowiek, który właśnie przed nią stał, był całkiem rzeczywisty. Wiedziała jednak, że należał do tego samego gatunku olbrzymów, który żył w jej głowie – dobrych i łagodnych, choć z wierzchu pozornie szorstkich i budzących grozę.

– To szantaż! – zawołał Tim, pochylając się nad nią.

Amelia położyła rękę na szyi, by rozmasować miejsce, które wciąż bolało ją od wytężonego odwracania głowy i oglądania się za siebie.

– Nie – zaprzeczyła. – Niezupełnie. Szantaż daje ci tylko jedno wyjście. A ja proponuję ci kilka do wyboru.

– Nie podobają mi się te propozycje panienki. – Skrzyżował ramiona na potężnej jak beczka piersi.

– Nie mam ci tego za złe. Mnie samej nie bardzo się podobają.

Podeszła do niskiego, szerokiego parapetu, wyłożonego miękkimi poduchami. Salon na górze był wypełniony ludźmi St. Johna. Część grała w karty, inni rozmawiali, co chwila wybuchając śmiechem, a jeszcze inni, zmęczeni całodziennymi obowiązkami, zapadali w drzemkę, kiedy tylko i gdzie usiedli.

– O ileż byłoby wszystkim łatwiej, gdyby ten człowiek po prostu wyjawiał swoje zamiary. – Amelia potrząsnęła spódnicą sukni z żółtej jedwabnej tafty i wygodnie – na ile było to możliwe w wieczorowym stroju – usadowiła się na siedzisku przy oknie. – Ponieważ jednak tego nie zrobił, musimy zgadywać. Ja nie jestem za dobra w domyślaniu się, Tim. Nie mam do tego cierpliwości.

Spoglądając na niego spod rzęs, posłała mu piękny uśmiech.

Tim prychnął i nachmurzył się.

– Nie ma panienka innych rzeczy, o które mogłaby się martwić? Na przykład o suknię ślubną i tak dalej?



– Nie. Szczerze mówiąc, nie.

W rzeczywistości powinna być pochłonięta planowaniem nadchodzących wydarzeń. Od świtu do nocy nie powinna mieć czasu ani głowy na nic innego. Małżeństwo, które miała zawrzeć, było najgłośniejszym i najbardziej wyczekiwany wydarzeniem sezonu. Wiedziała, że jeśli mądrze wszystko rozegra, ślub będzie wspinała okazją, by zacząć budować swój wizerunek jako markizy.

Zamiast tego całkowicie pochłaniały ją myśli o tajemniczym adoratorze. Kiedy coś ją intrygowało, potrafiła być bardzo wytrwała. Obiecała sobie, że najpierw pozna motywy nieznanego, a dopiero potem skoncentruje się na pilniejszych sprawach.

Tak, to zdecydowanie była kwestia przedślubnej tremy. Potrzeba popełnienia ostatniego małego grzeszku. Pożegnania z zachciankami dzieciństwa.

Potrząsnęła głową. Potrafiła wymienić setki powodów swojego zainteresowania tajemniczym, zamaskowanym Montoyą. Wciąż jednak nie знаła jego tożsamości.

– Cóż, niech panienka przypadkiem nie próbuje prowadzić żadnych poszukiwań – oznajmił ponuro Tim. – Przynajmniej nie na mojej warcie.

– Dobrze – zgodziła się pogodnie. – W takim razie zawiadom mnie, gdy tylko go znajdziesz.

– Nie ma mowy. – W głosie Tima zadźwięczała surowa, uparta nuta, brzmiąca znacznie groźniej niż intencje, które miała wyrażać. Tego wieczora mężczyzna miał na sobie zielone, wełniane spodnie i czarną kamizelkę, wykończoną zieloną nitką. Był to najbardziej barwny strój, w jakim Amelia go kiedykolwiek widziała. Gęste, szpakowate włosy zebrał w warkocz, a jego hiszpańska bródka była schludnie przystrzyżona.

Amelia doceniała ten wysiłek. Wiedziała, że Tim zadbał o wygląd tylko i wyłącznie przez wzgląd na nią – pragnął, aby była z niego dumna, kiedy będzie jej strzegł podczas dzisiejszego balu w Rothschild. Sam oczywiście nie weźmie w nim udziału, będzie ją tylko

bacznie obserwował spod ściany. Mimo to dołożył jednak wszelkich starań, aby wyglądać jak należy.

Była z niego dumna.

– Dobrze, dobrze – westchnęła ciężko i dramatycznie. – W takim razie będę szukać go na własną rękę, a ciebie ciągać wszędzie za sobą, ponieważ masz być moją niańką.

Tim wydał pomruk niezadowolenia, a kilka głów obróciło się w ich stronę.

– Dobrze – warknął. – Powiem panience kiedy, ale nie – gdzie i jak. Ale powinna panienka zapomnieć o tym człowieku. Nie będzie więcej zwracał panience głowy. Mogę to panience obiecać.

– Doskonale. – Poklepała miejsce obok siebie i postanowiła nie poruszać więcej drażliwego tematu. Wkrótce spotka się z Montoyą sam na sam. Nieważne, czy wciąż będzie wtedy pod opieką St. Johna, czy poza zasięgiem jego wpływów. Po prostu musiała. Coś nie pozwalało jej zostawić tej sprawy.

– Siadaj i opowiedz mi o Sarah. Zamierzasz wkrótce zrobić z niej przyzwoitą kobietę?

Podłoga zadrżała od ciężkich kroków Tima. Kiedy usiadł, siedzisko na parapecie zaprotestowało skrzypnięciem. Amelia uśmiechnęła się.

– Twoja matka była mocnej budowy?

W odpowiedzi posłał jej zaraźliwy uśmiech.

– Nie. Była drobniutka, ale ja też.

Zaśmiała się i widząc, że się zarumienił, zmieniła temat.

– Więc jak się mają sprawy z Sarah?

Sarah od dawna była służącą Marii – dyskretną i w pełni oddaną. Tim od lat miał do niej słabość, ale nigdy nie sprawiał wrażenia, aby było mu spieszno do ołtarza.

– Nie będzie mnie chciała – odparł ponuro.

Amelia zamrugnęła, nie rozumiejąc.

– Dlaczego miałyby cię nie chcieć?

– Twierdzi, że moja praca jest zbyt niebezpieczna. Nie chce zostać samotną wdową z dziećmi. Byłoby jej za ciężko.

– Och. – Amelia zmarszczyła brwi. – Szczerze mówiąc, nie rozumiem tego. Miłość jest zbyt cenna, by ją trwonić. Czekać na właściwy moment, właściwe miejsce... One mogą nigdy nie nadejść, a wtedy okaże się, że nie wykorzystałeś nawet tej odrobiny szczęścia, która była ci dana.

Tim, milcząc, wpatrywał się w nią.

– Nie lekceważ moich słów tylko dlatego, że jestem młoda – ostrzegła.

– Życie jeszcze nie powaliło panienki na łopatki.

– Ale powstrzymało mnie od tego, czego najbardziej pragnęłam.

– To zupełnie inna sprawa: patrzeć na coś przez szybę, a mieć to w rękę, a potem stracić. – Patrzył na nią życzliwie. – Niech paniienka lepiej przestanie tęsknić za tym swoim koniuszym. Hrabia to dobry człowiek, że przymyka oko na to. – Tim omiółł pokój szerokim gestem ręki.

Amelia westchnęła.

– Tak, wiem. Naprawdę go kocham. Ale to nie to samo.

– Gdyby ten Cygan żył, już dawno wyrosłaby paniienka ze słabości do niego.

– Nie sądzę – sprzeciwiła się, mając przed oczami postać roześmianego Colina, w którego ciemnych oczach błyszczały radość życia i żar uczucia. Tylko się całowali, nic więcej, ale była między nimi duża namiętność. Pragnienie. Przekonanie, że ich wzajemne uczucie może się rozwinąć i dopiero osiągnąć stan oślepiającej doskonałości – doskonałości ponad granice wytrzymałości.

Poczucie... oczekiwania... nie opuszczało jej. Poczucie niespełnienia. Niewykorzystanych możliwości.

Do czasu kiedy nie pocałował jej Montoya.

Wtedy wszystko w niej zawrzało. Co prawda na moment, ale wystarczająco długi, by przebudzić wszystko, co od dawna tkwiło

w niej w uśpieniu. Właśnie *tego* nie potrafiła wyjaśnić. Nikomu, nawet sobie samej. Zastanawiała się, co takiego – jeżeli w ogóle cokolwiek – łączyło te dwie postaci, które ją fascynowały. Przyznanie się do fascynacji tym, co zabronione, tym, czego mieć nie mogła, a raczej – nie powinna, budziło niepokój.

W obfitych fałdach spódnicy ręka Amelii ścisnęła sekretne zawiniątko, które nosiła przy sobie, w nadziei że uda jej się znów spotkać z Montoyą.

– Przyszedł hrabia Ware – oznajmił od progu kamerdyner.

Tim wstał i wyciągnął do niej rękę.

– To dobry człowiek – powtórzył.

Skinęła głową, wsunęła liścik do kieszeni, po czym położyła palce na jego dłoni.

Człowiek w białej masce ją śledził.

Maska była ta sama, ale mężczyzna, który ją nosił – nie. Ten był niższy i bardziej krępy, a jego strój, choć w kolorystyce równie surowy jak strój Montoi, był zdecydowanie gorszej jakości.

Kim był? I dlaczego się nią interesował?

Amelia była markotna, ale starała się nie okazywać tego po sobie. Choć wiedziała, że Montoya mógł do niej podejść z zupełnie innego powodu niż zainteresowanie jej osobą, to postanowiła myśleć, że zrobił to z powodów osobistych. Jego żal po stracie ukochanej tak bardzo przypominał jej własną sytuację. Czowała, że coś ich łączy. Uczucie, które wcześniej towarzyszyło jej tylko w stosunku do Ware'a i Colina.

Czy to wszystko było więc nieprawdą?

Nagle poczuła się bardzo samotna i bardzo naiwna. W sali balowej panował tłok, hrabia, którego trzymała pod rękę, był uroczy i oddany, ktoś coś do niej mówił, ale Amelia czuła się tak, jakby była samotną wyspą na ogromnym morzu.

– Źle się czujesz? – szepnął Ware.

Potrząsnęła głową. Starła się nie spoglądać w stronę mężczyzny w białej masce, ale na próżno – ciekawość była silniejsza. Przeklinowała się za to, że szuka Montoi. Gdyby go nie szukała, mogłaby dalej fantazjować o przyczynach jego zainteresowania. Teraz, kiedy jej nim nie obdarzał, towarzyszyło jej dotkliwe poczucie straty.

– Przejdziemy się? – zaproponował Ware. Pochylił się nad nią, przybierając pozycję na tyle intymną, że aby nie wywołać poruszenia, musiał złagodzić ją uśmiechem i mrugnięciem oka w stronę dżentelmenów, obok których stali. – Rozmowa z lordem Reginaldem zawsze działa na mnie usypiająco.

Amelia z trudem przywołała na twarz uśmiech, ale czuła, że kąciki ust samoistnie jej opadają. Odwróciła oczy od mężczyzny w masce, który przyglądał jej się z dość bliska, i napotkała pełen niepokoju wzrok Ware'a.

– Bardzo chętnie, milordzie.

Ten przeprosił towarzystwo i zaczął powoli wyprowadzać ją z sali. Zawsze kiedy osłaniał ją i wspierał, jej serce wypełniało się wdzięcznością. Modliła się, by uczucie to przerodziło się w miłość i miała nadzieję, że do tego dojdzie, kiedy już skonsumują swoje małżeństwo. Wiedziała, że również pod tym względem może liczyć na troskę i opiekę hrabiego.

Zerknęła na niego, a on podchwycił jej spojrzenie i przytrzymał je.

– Wszystko, co dla ciebie robię, słodka Amelio, robię dla tych nielicznych chwil, kiedy na mnie patrzysz – jak teraz.

Oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok, by spojrzeć na mężczyznę w masce, który w ślad za nią poruszał się wokół sali, dla bezpieczeństwa trzymając się po przeciwległej stronie jej obwodu.

– Wybaczysz mi na chwilę? – zapytała Ware'a z uśmiechem.

– Ale tylko na chwilę.

Minęła ich jakaś dama, lustrując wysoką sylwetkę Ware'a spojrzeniem pełnym aprobaty.

– Lepiej nie prowokuj, diable – rzuciła mu zaczepnie Amelia.

– Robię to tylko dla ciebie – powiedział, mrugnął, cofnął się o krok i pocałował jej odzianą w rękawiczkę dłoń.

Słyszając to ewidentne kłamstwo, wywróciła oczami, po czym zaczęła się oddalać. Kierowała się w stronę holu, z którego można było wejść do pokojów do odpoczynku. Nie spieszyła się – chciała być pewna, że łatwo będzie ją śledzić. Prześlizgnęła się przez pełen gości hol. Z otwartych drzwi sali balowej dochodziła muzyka. W kinkietach wiszących szeregiem na ścianie, migotały świece. Czowała się bezpieczna.

Wzięła głęboki oddech, odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z nim.

Zatrzymał się nie więcej niż dwa metry za nią. Amelia uniosła brew i gestem kazała mu podejść bliżej. Uśmiechnął się i uczynił to, ale przystanął w dyskretnej odległości.

– Pańska maska... – zaczęła.

– Jego maska – poprawił ją z wyraźnym francuskim akcentem.

– Dlaczego to robi? Chodzi mu o mnie czy o St. Johna?

– Nie wiem, kim jest St. John.

Amelia wahała się chwilę, zastanawiając się w duchu, jak postąpić. W końcu sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła liścik, który tam ukryła, i podała go nieznanemu.

Francuz przyglądał się jej z lekko pochyłoną na bok głową. Wziął od niej zawiniątko i uklonił się z galanterią.

– *Mademoiselle*.

– Proszę mu to przekazać – rzekła, po czym minęła go z dumnie uniesionym podbródkiem i wróciła do Ware'a.

## ROZDZIAŁ 5

---

– Na miłość boską! Po co tam szedłeś?

Colin przechadzał się niespokojnie w tę i z powrotem przed kominkiem w gabinecie. Jego głos przypominał głuchy warkot.

– Bo poszedłem – odparł swobodnie Jacques.

– Bo poszedłeś?! Bo poszedłeś! – wykrzyknął Colin, spoglądając na przedmiot, który trzymał w ręku – miniaturowy portrecik Amelii, przeznaczony tylko i wyłącznie dla oczu kochanka.

W negliżu – z jednym ramieniem prowokacyjnie nagim prawie po samą pierś, z rozpuszczonymi, nieuczesanymi włosami, z czerwonymi, lekko rozchylonymi wargami. Jakby przed chwilą ktoś namiętnie się z nią kochał.

Po co powstał ten portret? Na pewno nie z myślą o nim. Musiał być zamówiony wiele miesięcy temu.

– Wyglądała przepięknie, *monsieur*.

Colin zatrzymał się przy kominku i ciężko wsparł o gzyms. Żałował, że jej nie widział.

– Jakiego koloru miała suknię?

– Żółtego.

– Podeszła do ciebie?

– W pewnym sensie. – Jacques w swobodnej pozie, zarzucając jedno ramię za plecy, usiadł na sofie. Poza ta zupełnie nie współgrała ze wzburzeniem Colina. – Podziwiam ją.

Colin gwałtownie wypuścił powietrze.

– Jasna cholera. Chciałem za wszelką cenę trzymać się na dystans.

– A po co? Dla jej bezpieczeństwa? Bardzo jej pilnują. – Francuz zabębnił palcami o drewnianą ramę kanapy. – Ciekawe dlaczego?

– Jej siostra i mąż siostry to znani przestępcy. Boją się, że ktoś użyje Amelii przeciwko nim. Ja zresztą też się tego boję – rzekł Colin, po czym oddalił się od kominka i ciężko opadł na fotel przy biurku.

– Myślałem, że jej ojciec był wysoko postawionym człowiekiem.

– Tak, wicehrabia. – Jacques uniósł brwi, a Colin mówił dalej. – Jego chciwość była prawie tak wielka, jak jego okrucieństwo. Nie widział nic poza własnymi zachciankami i pragnieniami. Poślubił piękną wdowę tylko po to, by mieć dostęp do jej córki, a siostry Amelii. Wysłał Marię do najlepszych szkół, a potem sprzedawał za żonę mężczyznom, których następnie zabijał, by zagarnąć ich majątek.

– *Mon Dieu*. – Palce Jacques'a znieruchomiały. – Dlaczego nie uciekła?

– Bo lord Welton więził Amelię i w ten sposób szantażował Marię, zmuszając ją do współpracy.

Rysy Francuza wyostrzyły się.

– Mam nadzieję, że spotkała go należyta kara. Niewiele jest rzeczy, które wywołują u mnie gorszą nienawiść niż zbrodnie dokonane na własnej rodzinie.

– Jaśnie pan stanął przed sądem i został powieszony. Starając się o uwolnienie siostry, Maria poznała Christophera St. Johna – znanego pirata i przemytnika. Wspólnymi siłami udało im się uwolnić Amelię i udowodnić, że Welton był wplątany w zabójstwa dwóch poprzednich mężów Marii.

Colin przecesał włosy ręką.



– Cała historia jest oczywiście znacznie bardziej skomplikowana, ale wystarczy powiedzieć, że St. John i jego żona mają licznych wrogów.

– Wziąwszy pod uwagę przeszłość panny Benbridge, jak również jej dzisiejszą sytuację, wydaje mi się jeszcze bardziej dziwne to, że do mnie podeszła.

– Amelia nigdy nie robiła tego, czego od niej oczekiwano. – Wrócił wzrokiem do miniatury, którą wciąż trzymał w ręku. Stanowiła pokusę nie do odparcia. Musiał znaleźć jakiś sposób, by ją zignorować.

– Co ci dała?

– Zaproszenie. Osobistą prośbę, by spotkać się z nią na wieczorze muzycznym u Fairchildów. Czyli kolejną szansę, by ją zobaczyć i porozmawiać.

– Wybierzesz się?

– Myślę, że najlepiej bym zrobił, wyjeżdżając z miasta – odparł, zastanawiając się nad zmianą miejsca pobytu. Mógłby udać się do Bristolu, skąd wywodził się Cartland i sprawdzić, czy nie dowie się tam czegoś interesującego. Niemożliwe, by człowiek pokroju Cartlanda miał krystalicznie czystą przeszłość. Z pewnością znajdzie się coś, co pomoże wywabić go z ukrycia. – Nie możemy ryzykować zbyt długiego przebywania w jednym miejscu.

– A ja właśnie zaczynałem uczyć się z całego serca nie nienawidzić Londynu – odparł Jacques drwiąco.

Colin wiedział, że Francuz, choć mężnie próbuje to ukryć, uważa Anglię za odpychającą i tęskni za powrotem do domu.

– Nie musisz ze mną jechać. – Colin uśmiechnął się, by złagodzić szorstkie słowa. – Szczerze mówiąc, wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego tu jesteś.

Jacques wzruszył krzepkimi ramionami.

– Niektórzy rodzą się po to, by rządzić. Ja narodziłem się po to, by służyć. – Wstał. – W takim razie idę pakować nasze rzeczy.

– Dziękuję – odparł Colin i zacisnął w pięści drogocenny wizerunek Amelii, po czym odłożył go do szuflady, obok maski. – Zaraz ci pomogę.

Wstając z fotela, powtórzył sobie w duchu, że nie może zrobić dla Amelii więcej, niż trzymać się od niej na dystans.

Nie udało mu się jednak odwrócić myśli od małego portreciku, który wciąż stał mu przed oczami i gnębił tak dokuczliwie, że Colin nie wiedział, jak to znieśie.

Amelia zawsze była znana ze swoich wędrówek. Jej niezwykle dzieciństwo sprawiło, że nienawidziła samotności, a zarazem jej pragnęła. Nigdy nie mogła długo usiedzieć w miejscu, wymyślała najrozmaitsze powody, by zostać samą, nawet podczas bardzo kameralnych przyjęć. Ware rozumiał jej niespokojną duszę i potrzebę częstej zmiany otoczenia, dlatego nie wahał się co rusz proponować jej przechadzki dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Kiedy więc poprosiła o chwilę samotności, by skorzystać z pokoju wypoczynkowego, Ware nie przywiązał do tego większej wagi, tak samo zresztą jak lady Montrose, która pełniła funkcję przyzwoitki Amelii. Oboje z uśmiechem skinęli głową i pozwolili jej pójść, dokąd chciała.

Jeśli Montoya się pojawi...

Szybkim krokiem zeszła po schodach. Słyszac zbliżające się głosy, w obawie że mogłaby się na kogoś natknąć, wślizgnęła się do dogodnie usytuowanej wnęki. Z walącym sercem przeczekwała, aż goście wyjdą.

Czy się pojawi? Czy znajdzie sposób? Jego obecność na balu maskowym świadczyła, że cieszy się wysoką pozycją społeczną. By otrzymać zaproszenie na dzisiejszy wieczór, wystarczyło przy jakiejś okazji zostać przedstawionym lady Fairchild. Niestety, kiedy zapytała o Montoyę, odpowiedziało jej tylko zdziwione spojrzenie.

A więc nie został zaproszony.

Co jednak nie oznacza, że go tu nie będzie.

Jeśli zainteresowanie, jakie jej okazywał, miało związek z St. Johnem, to na pewno miał swoje sposoby, by dostać się do domu i znaleźć nieuczęszczany prywatny salonik. Ostatecznie nie była zdecydowana, czy lepiej byłoby, gdyby przyszedł, czy żeby nie przychodził. Biorąc pod uwagę dom, w którym przyszło jej mieszkać oraz mężczyznę, którego miała poślubić, nie mogła sobie pozwolić na żadne kłopoty. Niemniej jednak jej nieroztropne serce ignorowało całą sytuację i koncentrowało się tylko i wyłącznie na swoich pragnieniach. Nie była pewna, jak postąpi, jeśli on odpowie na jej zaproszenie. Wiedziała tylko, że chce, aby to zrobił.

Na samą myśl o tym poczuła, że przepelnia ją ekscytujące oczekiwanie. Starannie wybrała strój na ten wieczór – suknię z grubego, ciemnoszafirowego adamaszku, z gorsetem, rękawami i halkami zdobionymi srebrną koronką. Z szafirami we włosach, w naszyjniku i pierścionkach wyglądała na starszą i bardziej światową, niż była naprawdę.

Gdyby jeszcze czuła się tak samo w środku. Ale nie – czuła się tak jak kiedyś – przepelniona pragnieniem spotkania z Colinem i żadna emocji, które tylko on w niej rozbudzał. Sądziła, że już nigdy tak się nie poczuje. Doświadczyć tego samego w związku z nieznanym w masce było przeżyciem zarazem przerażającym, jak i ekscytującym.

Doszła w końcu do małego saloniku. Dowiedziała się o nim od Sarah, której kuzyn pracował w rezydencji Fairchildów. Służąca przekazała tę informację Amelii, by ta w razie potrzeby wiedziała, gdzie szukać odpoczynku i spokoju.

Przystanąła na chwilę z ręką na klamce. Odetchnęła, by uspokoić napięte do granic możliwości nerwy. Wydawało się to niemożliwe, więc zaniechała wysiłków. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Kotary były rozsunięte. Przez okno do pokoju wpadała wąska smuga srebrzystego księżycowego światła.

Zaczekała tuż za drzwiami, by przyzwyczaić oczy do mroku. W oczekiwaniu wstrzymała oddech i wyteżyła słuch, chcąc słyszeć

coś więcej niż pulsowanie własnej krwi. Miała nadzieję, że Montoya jest w środku i za chwilę się do niej odezwie.

Nie słyszała jednak nic poza tykaniem zegara na kominku.

Amelia podeszła do okna i odwróciła się, by przyjrzeć się pokojowi. Dwie sofy, szeszlony, dwa fotele, stoliki różnej wielkości... Sprzętów było sporo. Montoi ani śladu.

Westchnęła i niespokojnie przesunęła rękami po obfitych fałdach spódnicy. Może przyszedł wcześniej, a może on miał problemy z dostaniem się do środka. Wyjrzała przez okno – nagle przestraszyła się, że Montoya czeka na dworze. Tam jednak również go nie było.

Zaczeka kilka minut. Tyle może przecież poświęcić.

Zaczęła niespokojnie przechadzać się w tę i z powrotem. Zegar tykał. Serce jej trochę zwolniło, a oddech odzyskał naturalny rytm. Na ramionach czuła ciężar rozczarowania – tak samo w kącikach ust. Kiedy upłynęło dziesięć minut, stwierdziła, że dłużej zwlekać nie ma sensu. Chętnie poczekałaby całą noc, gdyby nie ci, którzy w obawie że przytrafiło jej się coś złego, zaraz zaczną jej szukać.

Podeszła do drzwi.

– Cóż... a więc już nic nie powinno mnie odciągać od planowania ślubu – mruknęła.

– Z myślą o kim powstała ta miniatura?

Amelia zamarła z ręką na klamce. Zadrżała, kiedy mroczny, głęboki głos otoczył ją niczym ciepły uścisk. Nagie części jej ciała pokryły się gęsią skórką, a wargi rozwarły się w niemym okrzyku. Z szeroko otwartymi oczami powoli odwróciła się w stronę pokoju. Dopiero wtedy w odległym kącie ujrzała nikły blask białej maski i krawatki. Montoya znów ubrany był na czarno, dzięki czemu w nieoświetlonym pokoju stał się zupełnie niewidoczny.

– O lordzie Ware – odparła, zdziwiona nagłym pojawieniem się zjawy, a głównie świadomością, że przez cały czas był w pokoju. Obserwował ją. Po co mu ta maska? Dlaczego chce się ukryć?

– Po co została namalowana? – zapytał szorstko. – To nie typowy podarek dziewiczej narzeczonej dla przyszłego pana młodego.

Postąpiła krok w jego kierunku.

– Proszę tam stać i odpowiedzieć na moje pytanie.

Amelia zmarszczyła czoło, słysząc taką bezceremonialność.

– Chciałam, by spojrzął na mnie inaczej.

– Będzie mógł na panią spoglądać, jak będzie mu się podobało.

Na panią, nie na pani podobiznę. – W jego tonie zabrzmiała gorycz. Słyszając ją, Amelia nieco złagodniała i powiedziała coś, czego w przeciwnym razie na pewno nie ośmieliłaby się ubrać w słowa.

– Chciałam, by zobaczył, że również tę stronę mojej osoby jestem chętna z nim dzielić – przyznała.

Wyczuła, że jej rozmówca napiął się, wzmagając czujność.

– Czyżby w to wątpił?

– Czy musimy o nim mówić? – Tupnęła niecierpliwie nogą. – I tak mamy bardzo mało czasu, którego większość spędził pan, chowając się przede mną tam, w rogu.

– Nie mówimy o nim – odparł jadowniczo – ale o tym, dlaczego podarunek tak intymnej natury, przeznaczony dla narzeczonego, znalazł się w moim posiadaniu. Czyżby chciała pani, abym i ja spojrzął na nią inaczej?

Amelia złapała się na tym, że nerwowo przestępuje z nogi na nogę i splata ręce za plecami.

– Sądzę, że pan już patrzy na mnie inaczej – wymamrotała – i bez tego.

W ciemności błysnął uśmiechem.

– Więc jeśli ja, nieznajomy, postrzegam panią jako istotę zmysłową, dlaczego pani przyszły mąż miałby mieć z tym jakiegokolwiek trudności?

Wstrzymała oddech, w duszy analizując jego wnikliwość.

– Czego pan ode mnie oczekuje? Czuję się skrępowana, dyskutując o tak intymnych sprawach.

– A wysyłając mi swoją prowokacyjną podobiznę, nie czuła pani skrępowania?

– Jeśli tak bardzo pana nurtuje, proszę mi ją zwrócić. – Wyciągnęła rękę.

– Nigdy! – warknął. – Nigdy jej nie oddam.

– Dlaczego? – zapytała, unosząc brew. – Czyżby chciał pan ją wykorzystać przeciwko mnie?

– Wtedy musiałbym pokazać ją innym.

A więc zaborczość. Jasna i wyraźna. Chciał ją mieć na wyłączność. Amelia poczuła zarazem zdziwienie i zadowolenie.

– Dlaczego lord Ware nie postrzega pani tak, jak chciałaby pani być postrzegana? – zapytał, podchodząc w końcu bliżej.

Jego wysoka sylwetka wysunęła się z mroku i zatrzymała w świetle księżyca. Jej serce zabiło szybciej. W jego sposobie poruszania było coś drapieżnego, a równocześnie eleganckiego – kiedy stawiał swe zdecydowane kroki, ogon fraka falował za nim dostojnie. Biła z niego prymitywna siła – choć w ryzach, w cywilizowanym odzieniu. To właśnie ona potęgowała jego urok, sprawiała, że Amelia chciała ujrzeć go wolnym, nieujarzmionym. Miał surowe rysy, a usta wyrzeźbione jakby specjalnie do pocałunków.

Tego właśnie pragnę – zdała sobie nagle sprawę. Dlatego chciałam go znowu zobaczyć.

By osiągnąć ten cel, musiała być wobec niego uczciwa.

– Znamy się od dawna.

– Czyż nie łączy was związek miłosny? – zapytał, zatrzymując się o kilkadziesiąt centymetrów od niej.

– Nie odpowiem na to pytanie.

– A ja nie powinienem tu przychodzić. Nie powinna pani mnie do tego nakłaniać.

– Śledził mnie pan.

Potrząsnął głową.

– Nie. Jacques zrobił to na własną rękę. Wyjeżdżam z miasta. Potrzebuję dystansu, póki ta sprawa nie posunie się dalej.

– Jak może pan wyjechać? Nie nękają pana wspomnienia naszego tańca w ogrodzie? – Sięgnęła ręką do szafirów przy szyi. – Ani pocałunku?

– Nie mogę przestać o nim myśleć. – Nagłym ruchem przycisnęła ją do siebie, jakby pękły krępujące go więzy. – Za dnia. I w nocy.

Czuła, jak usta płoną jej pod jego spojrzeniem. Oblizwała dolną wargę i głęboko wciągnęła zapach jego skóry. Pachniała egzotycznie – ostro, samczo. W odpowiedzi coś się w niej instynktownie poruszyło.

– Proszę to zrobić – jęknęła. Jej pierś unosiła się w przyspieszonym oddechu, napierając na jego brzuch.

Montoya zaklął szeptem.

– Nie kocha go pani.

– Chciałabym go kochać. – Dłonie Amelii niepewnie wślizgnęły się pod frak i spoczęły na jego biodrach. Miał rozgrzaną, rozplamiioną skórę – ciepło biło z niej nawet przez ubranie.

– Czy pani serce jest już zajęte?

Rozedrgana, wypuściła powietrze.

– W pewnym sensie.

– Czemu ja?

– A czemu ta maska? – odparowała. Nienawidziła uczucia, że obnaża się, odpowiadając na jego pytania.

Wpatrywał się w jej zadartą do góry twarz.

– Nie życzyłaby sobie pani widzieć mojego oblicza.

Jego ostateczny ton wzbudził w niej niepokój. Niepewność była tak silna, że puściła go i próbowała się wycofać. On jednak nie zwalniał uścisku.

– Wyjaśnijmy wszystko od razu – rzekł i wyciągnął rękę, by stwardniałymi palcami delikatnie pogładzić jej policzki. – Czego pani ode mnie chce?

– Czy pan zainteresował się mną ze względu na St. Johna?

Montoya potrząsnął głową.

– Miałem zupełnie proste motywy. Zobaczyłem piękną kobietę. Straciłem nad sobą panowanie, więc nie zważając na maniery, zacząłem się w nią wpatrywać, co wyprowadziło ją z równowagi. Chciałem więc przeprosić. To wszystko. – Mówiąc to, położył dłonie na jej plecach i gładził pociągłymi ruchami w dół, wyginając ją coraz bardziej ku sobie.

Był taki twardy, taki silny, że Amelia pragnęła przywrzeć do niego całym ciałem, tak by nic ich nie dzieliło. Do tej pory taką bliskość przeżywała tylko z jednym mężczyzną w życiu. Jeszcze niedawno powiedziałaaby, że już nigdy nie będzie potrafiła jej przeżywać. Dziś wiedziała już, że to nieprawda.

Jakie to niezwykle, że znalazła Montoyę.

Lub – właściwie – że to on ją znalazł.

– Tamtej nocy... Rozpoznał pan, że ktoś nadchodzi – przypomniała mu.

– Tak. – Zacisnął usta. – Jestem naznaczony nieczystą przeszłością. Dlatego nie powinna była pani mnie wzywać.

– Nie musiał pan przecież przychodzić. – Nieczysta przeszłość, dzięki której rozpoznał sygnały, jakie zlekceważyłaby większość arystokratów. *Kim mógł być?*

Kącik jego ust drgnął w rozbawieniu. Dotknęła go opuszką palca. Ani przez otwory w masce, ani na skórze przy ustach nie widziała żadnych deformacji twarzy. Tylko ciemne, egzotyczne, nieco skośne oczy i usta jakby stworzone do grzechu. Ich kształt, wypukłość i twardość były bliskie doskonałości. Amelia z łatwością mogła sobie wyobrazić, że całuje go godzinami i nigdy się nie nudzi. Sądziła, że zniosłaby wszystkie inne jego defekty.

Dotknęła brzegu maski.

– Proszę pozwolić mi na siebie spojrzeć.

– Nie! – Szorstko odepchnął jej rękę, po czym znowu ją pochwyił i ucałował wierzch dłoni. Dotyk jego ust pozostawił po sobie mrowienie – nawet przez rękawiczkę. – Proszę mi zaufać. Trudno byłoby pani przyjąć prawdę.



– Czy to dlatego nie będzie pan o mnie zabiegał?

Montoya znieruchomiał.

– Czy życzyłyby pani sobie, abym to robił?

– Czy czuje pan to samo wobec innych kobiet? – Opuściła wzrok na jego szyję, kiedy z trudem przełykał ślinę. – Ja czułam to samo tylko wobec jednego mężczyzny, ale straciłam go – tak samo jak pan stracił ukochaną.

Gwałtownie wzmocnił uścisk i przycisnął usta do jej czoła.

– Już przedtem wspominała pani o utraconej miłości – wychrypiął.

– Czasem czuję się tak, jakbym utraciła jakąś część siebie. To nie do zniesienia. Nie rozumiem, czemu po tylu latach wciąż żywię wobec niego tak silne uczucie, jakby mógł wrócić, jakbym wciąż, gdzieś w głębi serca, czekała na jego powrót.

– Czy ja go pani przypominam?

Potrząsnęła głową.

– Był żywiołowy i niepohamowany, pan jest bardziej powściągliwy, ale... w jakiś pierwotny sposób. – Uśmiechnęła się, zażenowana. – Wiem, to brzmi niedorzecznie.

– Moja dzika natura budzi się w odpowiedzi na panią – wyjął, pocierając szczęką o jej skroń. Był tak blisko, że jego zapach oszalał ją i przyprawiał o zawrót głowy. Przepęniała ją radość – gorąca i słodka. Uczucie, że wreszcie po latach odrętwienia znowu żyje. Zalewało ją poczucie winy, obciążała świadomość, że zdradza Ware'a, ale nie mogła zrobić nic, by zwalczyć swoją fascynację Montoyą. Pociąg do niego był zbyt silny. Zbyt uderzający do głowy, zbyt toksyczny.

– Byłabym skłonna zbadać to dokładniej... – zaproponowała nieśmiało.

– Czyżby składała mi pani propozycję, panno Benbridge? – zapytał z głębokim, mrukliwym śmiechem, który uwielbiała w nim od chwili, kiedy usłyszała go po raz pierwszy. Był to ten rodzaj śmiechu, który próbuje się wywołać, by móc go znów usłyszeć.

Odruchowo zaczęła szukać w głowie anegdot, które mogłaby mu opowiedzieć, by go rozweselić.

– Chcę pana znów zobaczyć.

– Nie. – Położył rękę z tyłu jej szyi i przytulił jej policzek do swojej piersi, owijając wokół niej całe swe potężne ciało. W jego objęciach czuła się bezpiecznie. Ciepło. Błogo. Cudownie. Czy dwoje ludzi może przytulać się godzinami? Wyrwało jej się szydercze prychnięcie. Godziny pocałunków i przytulania. Chyba postradała zmysły.

– Czy było to prychnięcie? – zapytał prowokacyjnie.

Zarumieniła się.

– Proszę nie próbować zmieniać tematu.

– Powinniśmy się rozstać – rzekł, wzdychając, jak się wydawało, z żalem. – Już i tak zbyt długo nie bierze pani udziału w zabawie.

– Dlaczego nic pan nie mówił, kiedy weszłam do tego pokoju?

Monotyta próbował się wycofać, ale trzymała go mocno. Przyszło jej do głowy, że jej bliskość też silnie na niego działała. Czuła, że gra biały toczy walkę wewnętrzną, w której pragnienie, by trzymać ją w objęciach, zmagają się z chęcią, by ją odepchnąć. Wydawało się, że ta ostatnia słabnie, kiedy tylko Amelia jest blisko.

Posłała mu prawdziwie kobiecego uśmiechu.

– Nie mógłby pan przecież tak po prostu pozwolić mi odejść, prawda?

– Czyżby przemawiała przez panią próżność?

– A przez pana – chęć uniknięcia odpowiedzi?

Żołądek jej zatrzepotał na widok cienia dołeczka w policzku.

– W innych okolicznościach nie powstrzymałoby mnie od tego, by panią posiąść.

– Och? – Spojrzała na niego spod rzęs. – Czy wówczas zabrałby się pan do tego z należnymi honorami, czy uwodził mnie podobnie jak teraz?

– Słodka... – znowu się zaśmiał. – Jedyłą osobą, która tu uwodzi, jest pani.

– Czy naprawdę? – Jej piersi stały się ciężkie i obrzmiałe i w niewygodny sposób wciskały się w jego tors. W ustach jej zaschło, a wnętrza dłoni pokryły się cienką warstwą potu. Czuła się uwodzona. Czyżby jego ciało również reagowało na jej obecność?

– Co takiego panu robię?

– Czemu pani pyta? – Odpowiedział pełnym uroku uśmiechem.

– A więc może pani robić więcej?

– Mogłabym. Życzyłby pan sobie tego?

– Kiedy nauczyła się pani tak flirtować?

– Chyba zawsze potrafiłam – odparła, trzepocząc skromnie rękami.

Montoya zamyślił się.

– Jak ten Ware sobie z panią radzi? – Złapał ją za nadgarstki i zdjął jej ręce ze swojej talii.

– Słucham? – Amelia ze zmarszczonym czołem patrzyła, jak oddala się od niej i zbliża do drzwi.

– Figlarna z pani istotka. – Z dłonią zaciśniętą na klamce przyglądał jej się zmrużonymi oczami.

– Nie jestem żadną istotką. – Uniosła ręce w geście protestu.

– Jeśli nie będzie się pani ostro pilnować, czekają pani poważne kłopoty.

Hardo uniosła brew.

– Pilnowano mnie całe życie.

– A mimo to znalazła się pani tutaj, kusząc nieznanomych skandalicznym obrazkiem i składając bardzo niestosowne propozycje.

– Nie musiał pan przychodzić! – Zirytowana jego pełnym potępienia tonem, tupnęła obutą w pantofelek nogą.

– To prawda. I więcej tego nie zrobię.

Ten ton brzmiał znajomo. Przypominał jej Colina. Do tej chwili – nie. Różnili się od siebie sylwetką, mówili z innym akcentem, nawet stąpali z innym rodzajem zdecydowania. Colin lekko kulał – jakby chciał jeszcze bardziej zaznaczyć swą obecność. W sposobie

chodzenia Montoi zaznaczała się jakaś ponętność, bardziej powściągliwa forma uwydatnienia swej dominacji.

Ale nie różnili się, jeśli chodzi o upór i determinację, by ją od siebie odsunąć. Jako młoda dziewczyna mogła to tylko znosić. Teraz jednak sprawy miały się inaczej.

– Jak pan sobie życzy – rzekła i ruszyła w jego stronę, celowo kołysząc biodrami. – Jeśli tak łatwo jest panu odejść i tak po prostu mnie zostawić, najlepiej będzie, jeśli pan to zaraz zrobi.

– Nie mówiłem, że mi łatwo – odgryzł się.

Amelia nakryła dłonią jego dłoń, spoczywającą na klamce.

– Do widzenia więc, hrabio Montoya.

Odwrócił głowę, a ona zdecydowanym ruchem wyrwała się do przodu i przycisnęła wargi do jego ust. Zamarł, a ona skorzystała z okazji, by lekko przechylić głowę i pogłębić pocałunek. Jego oddech stał się ciężki, a skóra – gorąca. Mimo to nie poruszył się. Nie wiedziała, co robić dalej. Pocałunek bez jego udziału wydawał się niezręczny. Przyszło jej do głowy, że może jednak rzeczywiście wyobrażała sobie za dużo.

Zamknęła oczy i pozwoliła ponieść się instynktowi. Lekko oparła ręce na jego ramionach i wyczuła, że wstrząsnął nim dreszcz. Polizowała jego dolną wargę – jęknął. Jej żołądek zaczął skręcać się jak szalony z ekstazy, a jednocześnie strachu. A co, jeśli ktoś ich przyłapie? Jak się wytłumaczy?

W tamtej chwili nie zważała jednak na nic – za dużo przyjemności sprawiało jej to, że tajemniczy nieznajomy się jej poddaje. Nie zrobił nic, by jej pomóc, ale równocześnie nic, by ją powstrzymać. Wyciągnęła ręce do góry i z tyłu, za jego plecami, ściągnęła rękawiczkę, po czym nagą dłonią objęła jego szyję u nasady. W tej samej chwili, gdy zetknęła się ze sobą ich obnażona skóra, musiał się poddać – nie miał innego wyjścia. Natychmiast otworzył usta, do których Amelia wsunęła język, kosztując jego smak niczym ulubiony specjał. Pociągnęła go lekko za warkocz. Stęknął.

Nie mogąc oprzeć się pokusie, posuwistymi ruchami języka zaczął masować jej język – biele, umiejętnie, tak że jęknęła w jego usta. Ten ledwie słyszalny odgłos podziałał na niego niczym smagnięcie biczem. Zaczął poruszać się tak szybko, że ledwie rejestrowała, co robi. Zanim zdążyła się orientować, stała przyciśnięta do drzwi przez mierzącego metr osiemdziesiąt podnieconego samca, który całował jej plecy – zaborczo i żarliwie.

– Do diabła – przeklął ochrypłym szeptem. – Nie możesz być moja.

– Nie chcesz nawet spróbować!

– Nie robię nic innego, tylko próbuję. Nic. Nie zmienia to faktu, że ze względu na okoliczności jestem dla ciebie niebezpieczny i nieodpowiedni.

Montoya objął dłonią nasadę jej szyi, przechylił nieco głowę i łapczywie wpił się ustami w jej usta, składając na nich mroczny, przesycony zmysłowością pocałunek. Cudowny. Przyłgnęła plecami do drzwi i chłonęła wszystko, co jej dawał. Każde pchnięcie języka, każdy ruch zębów, każdą pieśczętą pięknie wykrojonych warg. Brała to wszystko i cichutkim jęczeniem, które doprowadzało go do jeszcze większej pasji, błagała o więcej.

Rozdzielała ich maska, rozdzielały wieczne tajemnice. Rozdzielała ich bariera, stojąca między dwiema obcymi sobie osobami, których nie łączyło nic poza tą jedną, ulotną chwilą. Mimo to Amelia czuła, że coś ich wiąże – jakaś nić, która splata ich ze sobą.

Czy to zwykłe pożądanie? Jak to możliwe, skoro nigdy nawet nie widziała go bez maski? A jednak, to dudnienie w jej żyłach, ból w piersiach, wilgoć między nogami... Pożądanie również tam było – stanowiło część większej całości.

– Amelio – wyszeptał chrapliwie, a jego ciepły oddech owiał jej wilgotną skórę. Rozchylonymi ustami wodził po całej jej twarzy – od szczęki po kości policzkowe. A potem wyżej. – Chciałbym

zdrzeć z siebie ubranie, położyć na łóżku i całować całe twoje ciało.

Zadrzała – słysząc ton, jakim wypowiedział jej imię, i wyobrażając sobie sceny, o których mówił.

– Muszę wyjechać z miasta, albo to się stanie, a jeśli się do tego posuniemy, nie będę mógł rościć do ciebie żadnych praw. Nie w mojej sytuacji.

– Kiedy? – W tej chwili, trawiona nieodpartym pragnieniem i niezaspokojonym, cielesnym pożądaniem, zgodziłaby się na wszystko, byle tylko znowu go zobaczyć.

– Masz Ware’a, łączy was długoletnia zażyłość, a on może dać ci wszystko, czego ja nie mogę.

– Może moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

– Nie znasz mnie wystarczająco dobrze, by to proponować.

– Ale chcę cię znać – mruknęła gardłowo. Nigdy jeszcze nie słyszała tego brzmienia własnego głosu. Montoya też na niego zareagował – natychmiast owinął się wokół niej jeszcze ciaśniej. – I chcę, abyś ty poznał mnie.

Odsunął się od niej i wtedy zdała sobie sprawę, że ta maska ją pociąga. Podnieca. Uznała to za dziwne, ale prawdziwe. Nie czuła niepokoju, wręcz przeciwnie – spokój. Uważała, że zachowała się zbyt otwarcie, a maska osłaniała zarówno jego, jak i ją.

– Jediną rzeczą, jaką powinnaś o mnie wiedzieć – wychrypiał – jest to, że są ludzie, którzy chcieliby mnie widzieć martwym.

– Takie stwierdzenie mogłoby odstraszyć inne kobiety – odparła, nachylając ku sobie jego twarz – ale ja obracam się w towarzystwie ludzi, którzy zmagają się z tym samym problemem. Można więc śmiało porównać nasze okoliczności.

– Nie zmienisz mojej decyzji – burknął, smakując jej rozchylone wargi. Jego ciało całkowicie przeczyło jego słowom.

– Próbowałam wyjść z tego pokoju, ale mnie zatrzymałeś.

– Sama mnie pocałowałaś! – rzucił oskarżycielsko.

Amelia wzruszyła ramionami.

– Twoje usta stały mi na drodze. Nie mogłam ich ominąć.  
– Sprawiasz kłopoty. – Schylił głowę i pocałował ją po raz ostatni. Delikatniej. Z ociąganiem. Podkurczyła palce stóp w pantofelkach. – A teraz musimy się rozstać, zanim nas przyłapią.

Skinęła głową. Wiedziała, że ma rację, rozumiała, że jej nieobecność za bardzo się przedłużyła.

– Kiedy cię znowu zobaczę?

– Nie wiem. Być może dopiero po twoim ślubie. A może nigdy.

– Dlaczego? – To pytanie zadawała sobie bez końca przez cały wieczór, a i tak nie mogła znaleźć odpowiedzi. Czyż nie rozumiał, że to bezcenne czuć, że przy drugiej osobie zaczyna się żyć naprawdę? Wcześniej, zanim go poznała, nie zdawała sobie sprawy, że trwa w uśpieniu.

– Ponieważ lord Ware może dać ci wszystko, czego ja dać ci nie zdołam.

Już miała odpowiedzieć, kiedy poruszyła się klamka. Amelia wstrzymała oddech. Zamarła. Montoya – nie.

Szybkim ruchem oderwał się od niej i, jak wcześniej, wtopił w mroczny zakątek pokoju. Ona chwiejnie odeszła od drzwi, które w tej samej chwili otworzyły się za jej plecami. Amelia odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z przybyłymi.

– Mój panie – wyszeptała, dygając.

Ware z chmurnym czołem wkroczył do pokoju.

– Co tu robisz? Przeszukałem cały dom. – Przyglądał się jej badawczo, po czym mocno zacisnął szczękę. – Masz mi coś do powiedzenia, prawda?

Skinęła głową i wysunęła do niego drżącą rękę. Ujął ją i wyprowadził Amelię z pokoju, zatrzymując się na chwilę w drzwiach, by jeszcze raz dokładnie zlustrować pomieszczenie. Nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, wyprowadził ją poza zasięg działania Montoi, w przyszłość. W przyszłość, która wydawała się Amelii znacznie mniej uporządkowana niż kilka dni wcześniej.

## ROZDZIAŁ 6

---

– To cała prawda – powiedziała Amelia, bawiąc się łyżeczką do herbaty.

Hrabia Ware przykrył niespokojne palce narzeczonej dłonią.

– Nie musisz się denerwować – mruknął, w myślach rozważając wszystko, co mu przed chwilą powiedziała.

– Więc nie jesteś zły? – W jej zielonych, szeroko otwartych oczach malowały się zdziwienie i obawa.

– Nie jestem zadowolony, ale zły też nie. – Uśmiechnął się smętnie i rozparł wygodnie na krześle.

Siedzieli na patio przed domem St. Johna i popijali herbatę, jak to mieli w zwyczaju przed przejażdżką konno po parku. Godziny dzielące hrabiego od rozmowy z Amelią upłynęły mu na niespokojnym oczekiwaniu. Wiedział, jak wygląda kobieta po ekscytującej schadzce, więc kiedy okazało się, że zeznania Amelii pokrywają się z jego podejrzeniami, z przykrością musiał je potwierdzić.

– Nie wiem, co robić – powiedziała żałośnie. – Obawiam się, że straciłam grunt pod nogami.

– A ja obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc – przyznał. – Łączy nas przyjaźń, kochanie, ale ja jestem przede wszystkim mężczyzną. Trudno mi przyjąć fakt, że do tego nieznanomego czujesz coś, czego nie czujesz do mnie.



Jej spoczywająca na stole ręka przekręciła się i mocno ujęła jego dłoń. Równocześnie policzki Amelii okryły się rumieńcem, z którym było jej bardzo do twarzy.

– W tej chwili nie znoszę siebie samej. Jesteś mi bardzo drogi, Ware. Zawsze byłeś, a ja wciąż nie zachowuję się tak, jak na to zasługujesz. Modlę się, by twoje serce zechciało mi wybaczyć.

W zamyśleniu spoglądał na „ogród” za domem. Słowo to zupełnie nie oddawało charakteru przestrzeni wokół rezydencji St. Johna. Surową płaszczyznę ogromnego trawnika zdobiły jedynie rabaty niskich kwiatów.

– Przebaczam ci – rzekł. – I podziwiam twoją uczciwość. Wątpię, abym sam, będąc na twoim miejscu, zdobył się na taką szczerłość. Nie mogę jednak mieć narzeczonej, która pozwala sobie na podobne zachowanie, zwłaszcza w miejscach publicznych.

Skinęła głową, przywołując na twarz minę skarconej uczennicy. Ware najwyraźniej nie znajdował przyjemności w besztaniu.

– Będziesz musiała zdecydować – raz na zawsze – czy chcesz mnie poślubić, czy nie, Amelio. Jeśli postanowisz kontynuować nasze przygotowania, musisz działać w dobrej wierze i odpowiednio się prowadzić. – Ware wstał z fotela i poruszał barkami, by rozluźnić napięte mięśnie. – Do diabła, nie lubię uczucia, że wychodzisz za mnie, bo ktoś cię do tego przymusza!

Amelia również wstała. Spódnica jej muślinowej sukni w kwiaty opadła i ułożyła się wdzięcznie wokół jej nóg.

– A więc jednak jesteś zły. – Wyciągnęła przed siebie delikatną rączkę, by gestem powstrzymać go od odpowiedzi. – Nie. Rozumiem. Masz prawo być zły. Gdybyś ty tak postąpił, ja byłbym na ciebie równie wściekła.

Wypuściwszy głośno powietrze, podeszła do marmurowej balustrady, otaczającej patio i oparła o nią ręce. Ware stanął obok niej, plecami do trawnika.

Wyglądała tego popołudnia uroczo – jak co dzień. Ciemne włosy, ułożone w pozornie bezładne, sprężyste loki, tańczyły wokół jej

ramion. Cerę miała mlecznobiałą, oczy jasnozielone, a usta – rubinowe niczym ciemne wino. Zażartował kiedyś, że jest jedyną kobietą, o której myśli prozą poetycką, a ona zawtórowała mu śmiechem, zachwycona jego, jak to nazywała, „fantazyjnością”. Tylko przy niej potrafił jednak być romantyczny.

– Czy, jeśli się pobierzemy – wymamrotała – zamierzasz dochować mi wierności?

– To będzie zależało od ciebie – odparł, ostrożnie dobierając słowa. – Jeśli poprzestaniesz na leżeniu i modlitwie o szybki finał, zapewne nie będę w stanie dochować ci wierności. Lubię seks, Amelio. Uwielbiam go. Za nic na świecie – nawet dla żony – nie zrezygnowałbym z przyjemności uprawiania go.

– Och – westchnęła i odwróciła wzrok.

Powiał lekki wietrzyk, przesuwając po wrażliwej, nagiej skórze Amelii między szyją a ramieniem jeden z jej ciasno zwiniętych pukli. Zadrzała – nie z zimna, lecz na skutek doznania. Ware zauważył to, ponieważ zwracał uwagę na wszystko, co się z nią działo. Katalogował swe spostrzeżenia, by zrobić z nich użytek w przyszłości. Amelia była istotą wyczuloną na dotyk. Podobało mu się to, lecz na razie starał się nie nadużywać swego odkrycia. Kiedy będzie już należeć do niego, nauczy ją, jak wykorzystać tę cechę. Sam na sam z nim.

Teraz musiał przemyśleć wiele spraw.

– Myślę, że będzie nam ze sobą dobrze – rzekł, gładząc jej spoczywające na poręczy palce. – Sądzę, że seks między nami ma szansę stać się czymś więcej niż małżeńskim obowiązkiem, ale tylko pod warunkiem że całkowicie się przede mną otworzysz. Że odrzucisz wstyd i ograniczenia. Jeśli nasze małżeńskie łóżko będzie dla mnie atrakcyjne, nie pójdę szukać przyjemności gdzie indziej. Nie należę do mężczyzn żadnych wiecznych podbojów i nieustannych zdobyczy. Chcę się po prostu pieprzyć i czerpać z tego zadowolenie. Jeśli mogę to mieć z jedną kobietą, to tym lepiej w mojej ocenie. Mniej wysiłku dla mnie.

Wulgarnie słowo wywarło na niej szokujące wrażenie, widział to, ale właśnie ono najlepiej oddawało sposób, w jaki lubił uprawiać seks, i najlepiej, by Amelia dowiedziała się o tym już teraz. Z nim nie czekają jej niezdarne obmacywanki i pochrząkiwania w ciemności. Z nim będzie kochać się przy pełnym świetle, zarumieniona, spocona i przez wiele godzin.

– Czy właśnie na tym polega namiętność w sypialni? – spytała, jak się wydawało, ze szczerą ciekawością w głosie. – Czy przypomina ona zwierzęcą chuć, puszczonej luzem? Czyżby w procesie tym nie grało roli nic innego?

Zanim pojął pytanie, minęła chwila.

– Nawiazujesz do spojrzeń, jakie wymieniają między sobą twoja siostra i St. John? Lub do tego, jak Westfieldowie na siebie patrzą?

– Tak. Są... nieprzyzwoite, ale romantyczne.

– Nie jesteś jedyną, która dostrzega takie uczucie i pragnie, by stało się jej udziałem – Uśmiechnął się, widząc jej pytające spojrzenie.

– A ty?

Ware wzruszył ramionami, po czym skrzyżował ręce na piersi i oparł się biodrem o balustradę.

– Zdarza się, że tak. Ale nie szukam go ani nie cierpię z powodu jego braku. Myślę jednak, że ty – owszem.

Jak zwykle ucziwa, kiwnęła głową.

– Zaczynam dostrzegać, że szczerść w zabieganiu o względy twego serca nie należała do najlepszych pomysłów – myślał na głos. – Wyszedłem z założenia, że nieszczęśliwe zakończenie twojego pierwszego romansu sprawi, iż docenisz bardziej... stabilny związek. Ale ty pragniesz czegoś wręcz przeciwnego, prawda?

Odepchnęła się od balustrady i zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem, jak to miała w zwyczaju, kiedy była zdenerwowana. Przypominała wtedy zamkniętego w klatce, znudzonego, krążącego niespokojnie kota.

– Sama nie wiem, czego chcę, i w tym problem – odparła i spojrzała na niego takim wzrokiem, że zamarł.

– Ja jestem zadowolony. Nie potrzebuję niczego więcej.

– Czyżbyś naprawdę był zadowolony? – rzuciła mu wyzwanie. – Czy po prostu przyjmujesz, że mężczyzna z twoją pozycją nie może liczyć na nic więcej niż przyjaźń?

– Znasz odpowiedź.

– Kogo byś poślubił, jeśli nie mnie?

– Nie mam pojęcia i nie mam zamiaru o tym myśleć bez potrzeby. Sugerujesz, że rozważam inne kandydatki?

Amelia zatrzymała się i wydała z siebie odgłos, który do złudzenia przypominał mruknięcie małego kociaka.

– Chcę szaleć na *twoim* punkcie! Dlaczego to nie ja mam dokonać wyboru?

– Może twoim problemem jest zły gust? – Roześmiał się, kiedy wystawiła do niego język, a potem zniżył głos i wpatrzył się w nią oczami o ciężkich, opadających powiekach.

– Jeśli to maska cię tak podnieca, mogę wkładać taką samą do łóżka. Takie figle mogą być nawet zabawne.

Zrobiła wielkie oczy, a on łobuzersko mrugnął.

Amelia, najeżona, oparła rękę na biodrach, a potem przechyliła głowę i spytała:

– A może ta cała tajemnica tak bardzo mnie intryguje? Czyż nie to właśnie sugerujesz, mój panie?

– Jest to możliwe. – Uśmiech na twarzy Ware'a zbladł. – Zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej o twoim tajemniczym adoratorze. Zobaczmy, czy uda nam się go zdemaskować.

– Po co?

– Ponieważ on nie jest dla ciebie, Amelio. Jakiś cudzoziemski hrabia? Zawsze brakowało ci rodziny. Nie wyprowadziłabyś się przecież, by mieszkać gdzieś z dala od siostry – teraz, kiedy wreszcie jesteście razem. Pomyśl więc tylko, jaka przyszłość czeka

cię przy tym człowieku? Nie negujmy też możliwości, że zależy mu, aby, uwodząc ciebie, zadać mi cios.

Znowu zaczęła krążyć. Śledził za nią wzrokiem, podziwiając wrodzony wdzięk jej ruchów i urocze falowanie spódnicy sukni wokół jej długich nóg.

– Wszyscy wokół wydają się wierzyć, że Montoya nie jest zainteresowany mną, ale innymi osobami, które są ze mną powiązane. Muszę przyznać, że nie jest to dla mnie miłe, kiedy ludzie, którzy twierdzą, że mnie kochają, uważają za niemożliwe, by mężczyzna pragnął mnie tylko i wyłącznie ze względu na mnie samą.

– Ja uważam to za znacznie bardziej niż prawdopodobne, Amelio. Czuję to. Nie powinnaś brać mojej kurtuazji za brak pożądania. Gdybyś to robiła, byłabyś w błędzie.

Odetchnęła ciężko i powiedziała:

– St. John też próbuje go znaleźć.

Spodziewał się tego.

– Gdyby człowiek ten obracał się wśród pospólstwa, St. John mógłby liczyć na sukces. Ale sama mówiłaś, że hrabia jest kulturowy i doskonale ubrany. Wszystko wskazuje więc na to, że bliższe niż środowisko pirata są mu moje kręgi. A więc moje poszukiwania mogą okazać się bardziej owocne.

Amelia znów mu przerwała.

– A co zrobisz, jeśli go odnajdziesz? – W jej głosie zabrzmiało nieco więcej niż odrobina podejrzania.

– Pytasz, czy go skrzywdzę? – Pytanie nie było zabawne, wiedziała bowiem, że Ware doskonale włada szablą. – To możliwe.

Jej piękną twarz wykrzywił grymas.

– Nie powinnam była ci nic mówić.

Ware wyprostował się i podszedł do niej.

– Cieszę się, że wyznałaś mi prawdę. To byłaby nieodwracalna strata dla naszego związku, gdybyś próbowała mnie okłamać w poczuciu winy. – Wyciągnął do niej rękę, równocześnie głęboko wciągając niewinny zapach wiciokrzewu. Już od dawna

podejrzewał, że jej ciało przypomina kwiat, który najbardziej ukochała – jest wonne i słodkie, a smakuje – jak miód.

Wziął jej twarz w obie dłonie i obrócił ją tak, by musiała spojrzeć mu w oczy. Gdy tylko to zrobiła, poczuł, że tonie w zielonej głębi jej oczu. Zauważył też w nich jakiś nowy, nieznanym dotąd błysk.

– Nie zmienia to jednego – wiedział, że należysz do mnie i, nie zważając na to, zrobił, co chciał. Dla mnie to poważna zniewaga, kochanie. Tobie mogę wybaczyć, jemu – nie.

– Ware... – wyszeptła rozchyłonymi wargami, a w miękkim, popołudniowym świetle pojawił się nad nimi obłoczek pary.

Ware pochylił się nad nią, by złożyć na jej ustach pocałunek. Kiedy zrozumiała jego zamiar, wstrzymała oddech.

– Dzień dobry, mój panie.

Oderwali się gwałtownie od siebie. Na patio wkroczyła siostra Amelii z mężem, a tuż za nimi – pokojówka z tacą, zastawioną nowym serwisem do herbaty.

– Co za piękny dzień – rzekł pirat swym charakterystycznym, ochrypłym głosem. – Pomyśleliśmy, że przyłączymy się do was i posiedzimy trochę na słońcu.

Ware zrozumiał ostrzeżenie. Skinął nieznacznie głową i cofnął się jeszcze o krok. Była lady Winter skwitowała jego spostrzegawczość uśmiechem. Był to sypialniany uśmiech – z rodzaju tych, jakimi kobieta darzy kochanka po spełnieniu. Jeśli chodzi o panią St. John, to nie umiała uśmiechać się inaczej. W dużej mierze temu właśnie zawdzięczała swe powołanie.

– Będziemy zaszczyceni – odparł Ware, prowadząc Amelię z powrotem do stolika.

Pozostałą część popołudnia spędził na pustej, nic nieznaczącej pogawędce z St. Johnami, a później, podczas przejażdżki – na błahych rozmowach z Amelią. W głębi duszy był jednak całkowicie pochłonięty opracowywaniem strategii łowów. Tych na łaski Amelii oraz tych na zamaskowanego mężczyznę, który próbował mu je zagarnąć.

– Jest pan pewien, że ten człowiek nazywa się Simon Quinn?  
– Uhm – odparł karczmarz, zamaszycie stawiając na barze jeszcze jeden kufel.

– Dziękuję. – Colin wziął napój i odszedł do stolika w rogu. Niepokoiły go informacje o tym, że ktoś go śledzi. Niepokój ten wzmógł się jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że ktoś rozpytuje o niego, podszywając się pod Quinna. Mógł to być Cartland lub któryś z jego ludzi, choć właściciel gospody był przekonany, iż człowiek ten nie mówił z francuskim akcentem.

Colin nie mógł zrobić nic poza tym, by, stosując techniki nierzucania się w oczy, które świetnie opanował, usiąść i po prostu czekać. Mężczyźnie jego postury nie było wprawdzie łatwo stać się niewidocznym, ale, jeśli osunął się nisko na krzesło, by zatuszować wzrost i szerokość barów, mógł przynajmniej próbować. Rozpuścił też włosy, dzięki czemu sprawiał wrażenie nieokrzesanego typa.

Zresztą, nie trzeba było wielkich zabiegów, by wmieszać się w tłum – już sama karczma stwarzała ku temu idealne warunki. Oświetlenie było tu na tyle skąpe, by ukryć liczne niedociągnięcia, a przede wszystkim – brud. Ciemne meble z orzecha – okrągłe stoliki i krzesła o toczonych oparciach przydawały wnętrzu mrocznego charakteru. Powietrze wypełniał zapach piwa, a z kuchni dobiegało skwierczenie tłuszczu. Goście wchodzili i wychodzili. Niektórzy byli tu stałymi bywalcami – Colin rozmawiał z nimi już przy poprzednich wizytach.

Dawno temu, jeszcze w poprzedniej odsłonie swego życia, często bywał w podobnych miejscach ze swym wujem, Pietro. Tamte leniwe popołudnia upływały mu na wysłuchiwanie mądrości życiowych tego dobrego, porządnego człowieka. Colin tęsknił za nim, często o nim myślał i był ciekaw, jak mu się wiedzie. Siła charakteru i honor – cechy, z których przez minione lata Colin niejednokrotnie zrobił użytek, rozwinęły się w nim właśnie dzięki wujowi.

Ręka Colina, leżąca na stoliku, zacisnęła się w pięść.

Nadejdzie dzień, kiedy znów się spotkają, a wtedy pokaże wujowi, jak bardzo wziął sobie do serca jego dawne nauki. Wybawi Pietra od życia na służbie i zapewni mu wszelkie wygody. Życie było takie krótkie. Pragnął, by ukochany opiekun mógł czerpać z niego jak najwięcej.

– ...wieczór – odezwał się czyjś głos z boku, wrywając Colina z zamyślenia.

Obok niego stał starszy jegomość, który większą część życia spędził w karczmach i gospodach przy tej ulicy, proponując towarzystwo każdemu, kto zechciał postawić mu kufel piwa lub coś do jedzenia. Od czasu do czasu zdarzyło mu się też usłyszeć coś wartego sprzedania. Colin gotów był za to zapłacić, a ów jegomość – dobrze o tym wiedział.

– Siadaj – odparł Colin, wskazując na krzesło po drugiej stronie stolika.

Mijały godziny. Colin wykorzystał je na rozmowy z ludźmi, których poznał podczas swych poprzednich wizyt w karczmie. Wiedział, że wielu z wdzięcznością przyjmie parę monet za przekazanie ustnej czy pisemnej wiadomości. W ich relacjach nie znalazł niestety niczego interesującego o Cartlandzie. Tym niemniej chętnie stawiał kufel piwa każdemu, kto zechciał z nim pogawędzić. Wiedział, że towarzystwo stałych bywalców pomaga mu jeszcze lepiej wtopić się w tłum.

Nagle – istnym cudem – w falującej, czarnej pelerynie do karczmy wkroczył człowiek, którego Colin pragnął ujrzeć najbardziej na świecie. Simon Quinn zatrzymał się przed barem i zamienił kilka słów z karczmarzem, po czym odwrócił się w stronę sali i na widok gestykulującego do niego z kąta Colina zrobił wielkie oczy.

– Na Boga – rzekł Quinn, podszedł i odpiął nabijaną szlachetnymi kamieniami zapinkę w kształcie żaby, która przytrzymywała mu pelerynę u szyi. – Szukałem cię po całym Londynie, prawie już umarłem z głodu, a ty cały czas podziewasz się tuż obok mojej kwatery?



– Cóż – uśmiechnął się Colin – przynajmniej przez kilka ostatnich godzin.

Quinn zaklął pod nosem i, najwyraźniej znużony, opadł na krzesło po przeciwnej stronie stołu. Po chwili postawiono przed nim kufel, a potem – pełny talerz. Kiedy ochłonął, powiedział:

– Przywożę i dobre, i złe wieści.

– Ciekawe, dlaczego nie jestem zdziwiony? – odparł chłodno Colin.

– We Francji spotkała mnie zdrada.

Colin skrzywił się.

– Cartland nas wszystkich wydał? – zapytał.

– Na to wygląda. Domyślam się, że dzięki temu udowodnił swą lojalność.

– Ten człowiek jest lojalny tylko wobec samego siebie.

– To prawda. – Quinn nadział na widelec kawał mięsa, podniósł go do ust i zaczął ze złością przeżuwać.

– A więc to są złe wiadomości. A dobre?

– Zdołałem uzyskać dla wszystkich, w tym i dla ciebie, obietnicę ułaskawienia.

– Jak to możliwe, jeśli na ciebie również polują?

Quinn uśmiechnął się ponuro.

– Leroux był ważny dla ambasadora i to na tyle, by sprawa ujęcia jego zabójcy miała większe znaczenie niż rozprawienie się z angielskimi szpiegami. Pozwolono mi na wyjazd, pod warunkiem że przywiożę zabójcę – kimkolwiek by nie był. Jako zapewnienie mojego powrotu zatrzymali sobie innych, których Cartland też zdradził.

Colin wyprostował się.

– Na Boga... w takim razie musimy się spieszyć.

– Tak jest. – Quinn dopił piwo. – W dodatku jest sporo komplikacji. Po pierwsze, muszę nakłonić lorda Eddingtona, by wypuścił francuskiego szpiega, którego przetrzymuje w niewoli. Po drugie,

muszę sprawić, by członek grupy Cartlanda o nazwisku Depardue zareczył, że Cartland przyznał się do morderstwa.

O ile pierwsze zadanie wydawało się niewykonalne, to drugie – niezmiernie trudne. Colin miał jednak zamiar wykorzystać wszelkie szanse, i to bez narzekania.

*Chcę cię poznać*, powiedziała Amelia. Gdyby tylko pojawiła się szansa na spełnienie jej życzenia.

– Wydajesz się dziwnie zadowolony – zauważył Quinn – choć nie powiedziałem jeszcze wszystkiego.

– Widziałem się z Amelią – wyznał Colin. Trzymałem ją w ramionach, dotykałem jej i smakowałem.

Quinn zamarł z widelcem przy ustach.

– I?

– To skomplikowane, ale jest nadzieja.

Quinn odłożył sztućce i gestem poprosił barmana o jeszcze jedno piwo.

– I jak zareagowała na twoje powstanie z grobu?

Colin z łobuzerskim uśmiechem wyjaśnił mu, jak rozegrał tę sprawę.

– Maską? – zapytał Quinn. – Spośród wszystkich postaci, w które mógłbyś się wcielić, wybrałaś zwyczajną maskę?

– Na początku – tak, bo w sam raz nadawała się na bal maskowy. Potem włożył ją Jacques i dlatego Amelia podeszła do niego. Wobec tego uznałem, że trzeci raz również warto z niej skorzystać – biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

– Przypomina swoją siostrę bardziej, niż się spodziewałem. – Wargi Quinna wygięły się w lekkim uśmiechku, z którym zawsze wspominał imię Marii. – Ale nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że jest nadzieja. Amelia nie ma pojęcia, kim jesteś.

– To rzeczywiście pewien problem – przyznał Colin.

– Pewien? Przyjacielu, ty jesteś mistrzem niedopowiedzeń. Wierz mi, ona nie weźmie tego za dobrą monetę, tylko za brak uczucia z twojej strony. Kiedy odkryje, że nie dochowałaś jej

wierności, mimo że przez cały czas umierałeś z tęsknoty, będzie miała dowód, że jej nie kochasz.

Colin westchnął i ciężko opadł na oparcie krzesła.

– Przecież to był *twój* plan! Sam twierdziłeś, że aby móc ją uszczęśliwić, najpierw sam muszę stać się człowiekiem mającym.

– I ją, i siebie. Bo wiedziałem, że jeśli przyjdiesz do niej jako służący, zawsze będą gnębiły cię wątpliwości. – Quinn uśmiechnął się do usługującej dziewczki, która przyniosła mu kolejny kufel piwa, po czym rozsiadł się wygodniej i przez dłuższą chwilę nie spuszczał wzroku z Colina. – Słyszałem, że jest zaręczona z hrabią Ware'em.

– Jeszcze nie.

– A więc może zostać markizą. Pomimo skandalicznej przeszłości ojca i reputacji siostry. Całkiem niezłe osiągnięcie.

Colin rozejrzał się po sali. Badawczym spojrzeniem przyglądał się po kolei każdemu, kto w niej siedział.

– Tak, ale ona go nie kocha. Wciąż kocha mnie. A właściwie chłopaka, którym kiedyś byłem.

Ze schodów, prowadzących do pokojów gościnnych na górze, zeszła piękna blondynka. Ubrana w suknię w kolorze głębokiej purpury z czarną wstążką i czarną kameliową broszą przy szyi, przypominała Colinowi lalkę. Jej delikatne rysy i drobna sylwetka budziły instynkt opiekuńczy, a oczy o ciężkich, opadających powiekach i pełne, czerwone wargi budziły w głowie namiętne myśli.

Kiedy odwróciła głowę i wbiła spojrzenie prosto w niego, unióśł brwi. Uśmiechała się do niego tak, że zmarszczył czoło i z ciekawością śledził jej ruchy, kiedy się zbliżała. W końcu zatrzymała się tuż za Quinnem. Colin podniósł się z krzesła.

Nieznajoma oparła ręce na szerokich ramionach Irlandczyka.

– Powinieneś był mnie uprzedzić, że wróciłeś, *mon amour* – odezwała się z wyraźnym francuskim akcentem.

Quinn rzucił Colinowi zagadkowe, a równocześnie poirytowane spojrzenie. Sam nie wstał, złapał tylko blondynkę za rękę, okręcił ją i pociągnął na krzesło, które podsunął stopą nieco bliżej. Znając

zamiłowanie Quinna do kobiet, zdumiewał jego oczywisty brak zainteresowania tą ślicznotką. W bliskim kontakcie jej uroda zyskiwała jeszcze bardziej – bladoniebieskie oczy otaczały długie, grube, brązowe rzęsy i szlachetnie wygięte brwi.

– To on? – zapytała, przyglądając się Colinowi z aprobatą. Quinn warknął.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając równe, białe zęby. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Jestem Lysette Rousseau. A pan jest *monsieur* Mitchel, *oui*?

Colin zerknął na Quinna, który zaklął pod nosem i wrócił do posiłku.

– Być może – odparł ostrożnie.

– Doskonale. Jeśli pojawi się potrzeba pana zabić, łatwiej będzie to zrobić, kiedy twarz jest przypisana do nazwiska.

Zamrugął i zapytał:

– Co pani do diabła powiedziała?

– Prowokacyjna dziwka – mruknął Quinn. – On jest niewinny.

– Każdy tak mówi – odparła słodko.

– W tym przypadku to prawda – sprzeciwił się Quinn.

– To też każdy to mówi.

– Bardzo przepraszam – wtrącił się Colin, spoglądając raz na jedno, raz na drugie. – O czym wy mówicie?

Quinn machnął w stronę Lysette widelcem.

– To dodatek do mojej gwarancji. Ma wrócić do Francji albo z Cartlandem, albo z tobą, albo ze mną.

– Albo z wyznaniem – mruknęła. – Wystarczy mi wyznanie któregośkolwiek z was, obojętnie. Widzicie? Nietrudno mnie zadowolić.

– Boże – jęknął Colin, i opadając z powrotem na krzesło, zlustrował Francuzkę badawczym spojrzeniem. Dopiero teraz zauważył w jej oczach i układzie ust swego rodzaju zaciętość, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi. – Jak ty znajdujesz te swoje *femmes fatales*, Quinn?

– To one mnie znajdują – stęknął poirytowany Quinn, zapalczywie wbijając zęby w ziemniaka.

– Widzisz same złe strony tej sytuacji – odezwała się Lysette, gestem przywołując służącą. – Siedzimy tu we troje i wszyscy poszukujemy tej samej osoby. Jestem tu po to, by wam pomóc.

Quinn rzucił jej złowrogie spojrzenie.

– Jeżeli sądzisz, że trzymanie mi szabli nad głową budzi moje pozytywne myślenie, to się grubo mylisz.

Colin nie pozwolił jej za szybko zmienić tematu.

– Jak możesz nam pomóc? – chciał wiedzieć.

– Na wiele sposobów – odparła i zamówiła wino u szynkarki, która właśnie podeszła. – Pomyśl tylko, w ile miejsc ja mogę pójść, a ty – nie. Ilu jest ludzi, którzy zechcą ze mną rozmawiać, a z tobą – nie. I ile chwytów, które dla ciebie jako mężczyzny są nieosiągalne, ja mogę zastosować. Cóż! To całe morze możliwości! – Uniosła delikatną dłoń do kameliowej broszy przy szyi. Colin nie mógł sobie wyobrazić, by była zdolna kogokolwiek zabić.

– Jaki twój udział w tej sprawie ma związek z Depardue? – zapytał.

Przez jej twarz przemknął cień.

– Jeśli on to rozwiąże, oszczędzi mi kłopotu.

– Ambasador jest zdecydowany nie pozostawiać nic przypadkowi – wyjaśnił Quinn. – Depardue nie spuszcza z oczu Cartlanda. Lysette nie spuszcza z oczu mnie. Wykonują tę samą usługę. Ona jest dodatkową... gwarancją.

Colin się skrzywił.

– Nie mogę sobie wyobrazić, by Depardue z zadowoleniem przyjął choćby wspomnienie o tym, że może nam się nie powieść. – Przeniósł wzrok na Lysette. Ciekawiło go, czym dała się skusić do odegrania tej roli. – Czemu to robisz?

– Mam swoje powody. Udzielę ci króciutkiej porady – zaczęła, wpatrując się w niego świdrującym wzrokiem. – Jeśli chodzi

o mnie, nie ufaj niczemu z wyjątkiem tego, że chcę, aby zabójcę Leroux dosięgła ręka sprawiedliwości.

Colin ostro wypuścił powietrze i zabębnił palcami o blat stołu.

– Nie podoba mi się to. Ściga mnie Cartland, a mamy pośród nas węża.

Quinn pokiwał głową.

Lysette wydeła wargi i przyjęła od służącej kielich z winem.

– Wolalabym już być Ewą niż wężem.

– Ewa była kusicielką – rzekł Quinn.

Colin zakrztusił się, nigdy przedtem nie słyszał bowiem, by Irlandczyk niezyczliwie odezwał się do kobiety.

– Co udało ci się dotąd osiągnąć? – zapytała, lekceważąc grubiaństwo Quinna i kierując uwagę na Colina.

– Spędzam całe dni na unikaniu Cartlanda i każdego, kto mówi z francuskim akcentem, noce zaś spędzam na poszukiwaniu go.

– To najbardziej absurdalny plan, jaki w życiu słyszałam – zakpiła.

– A więc, co byś proponowała? – zapytał buntowniczo. – Bo ja nie wiem.

– W takim razie musisz się dowiedzieć. – Lysette upiła maleńki łyk krwistoczerwonego wina i oblizła wargi. Usiadła z wyprostowanymi plecami i dumnie uniesionym podbródkiem, co świadczyło o jej wysokim pochodzeniu i nienagannym wychowaniu. – Nie możesz poszukiwać go z ukrycia, bo wtedy robisz dokładnie to, czego Cartland się po tobie spodziewa. Czemu nie skontaktujesz się z człowiekiem, dla którego obaj pracujecie? On na pewno znalazłby sposób, by pomóc wam szybko i gładko uporać się z tą sprawą.

– To nie leży w sferze jego zainteresowań – sprostował Quinn. – Sami odpowiadamy za realizację własnych zadań. I gdybyśmy zostali złapani, sami musielibyśmy za to zapłacić. Twoja sytuacja wygląda pewnie podobnie.

Przez chwilę wydawało się, że piękne rysy Francuzki przyćmił cień zdenerwowania. Wrażenie szybko jednak minęło, a na jej twarz znów wypłynął słodki, beztroski uśmiech.

Colin nie mógł nic na to poradzić, ale jego myśli cały czas krążyły wokół Lysette i ryzyka, jakie niesła ze sobą jej obecność. Była taka drobna i kobieca, ale z opowiadań o siostrze Amelii wiedział, że wyglądem może być bardzo złudny.

– Ma pani inne sugestie, *mademoiselle*? Może uważa pani, że powinienem szukać przy świetle dziennym?

– Masz zamiar dalej nosić tę maskę? – zapytał Quinn, odsuwając w końcu talerz na środek stołu.

– Po co miały to robić? – Zmierzyła Colina badawczym spojrzeniem od czubka głowy, przez wyciągnięte nogi po obute stopy. – To wstyd przysłać taką urodę. – Uśmiechnęła się kusząco. – Osobiście wolałabym zawsze widzieć ją w pełnej krasie.

Quinn prychnął.

– Teraz widzisz, kochanie. Dlatego właśnie nie jesteś Ewą. Brakuje ci intuicji, by rozpoznać zajętego mężczyznę.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz zawiązać sobie oczy – rzuciła, mrugając do Colina – i zwracać się do mnie, jak tylko zechcesz.

Colin roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni.

– Lepiej na nią uważaj – ostrzegł go Quinn.

– To zadanie pozostawię tobie. Rano wyjeżdżam do Bristolu. Przeszłość Cartlanda może mieć wpływ na jego obecne działania. Mam nadzieję, że znajdę tam coś, co da mi jakąkolwiek przewagę.

– Dobrze główkujesz. – Quinn wydał wargi i zamyślił się. – My z Lysette zostaniemy i będziemy rozpytywać tu, na miejscu.

– Nie będę czuła się dobrze, jeśli puścimy go samego – rzekła Lysette, a w jej głosie zabrzmiała stalowa nieugiętość.

– Przywykniesz – rzekł Quinn, z charakterystyczną dla siebie bezczelną gracją wyciągając się na krzesło. Ciało zwrócił nieco na bok, przewiesił ramię przez toczone oparcie, i szeroko rozstawił nogi.

– Jesteś taki przystojny – skrzywiła się – że czasem trudno mi cię nie lubić.

Quinn uśmiechnął się.

– A więc wszystko ustalone. Mitchell poszuka gdzie indziej. Ja i ty będziemy pracować wspólnie tu, w mieście.

– A może ja wolałabym zamiast tego jechać z nim – zaproponowała z uśmiechem, którego nie odzwierciedliły jednak jej piękne oczy.

– Och, doprawdy? – Słyszając w głosie Quinna przesadne zadowolenie, Colin znowu się roześmiał. – To cudownie. Przynajmniej dla mnie, oczywiście nie dla Mitchella. Przykro mi, stary. – Wzruszył ramieniem i położył dłoń płasko na stole.

Zanim któryś z nich zdążył się zorientować, Lysette była już na nogach, a porzucony przy talerzu nóż Quinna tkwił wbity w blat... dokładnie pomiędzy jego swobodnie rozpostartymi palcami.

Quinn zamarł i z niedowierzaniem przyglądał się, jak mało brakowało, by stracił palec lub nawet dwa.

– Do ciężkiej cholery.

Pochyliła się nad nim.

– Nie kpjij sobie ze mnie i nie ceń mnie tak nisko, *mon amour*. Niemądrze ze mną zadzierać.

Colin wstał.

– Dziękuję bardzo za propozycję towarzystwa ze strony twojej znajomej – rzekł szybko – ale z całym szacunkiem muszę odmówić.

Lysette przyglądała mu się spod wpełprzymkniętych powiek.

– Możesz mi wierzyć lub nie – rzekł – ale zapewniam, że mam wszelkie powody ku temu, by oczyścić swoje imię, a żadnych – by uciekać.

Nie poruszyła się przez dłuższą chwilę. W końcu jeden z kącików jej ust drgnął nieznacznie.

– Masz tu kobietę.

Nie odpowiedział, ale wyjaśnienie nie było już potrzebne.



Machnęła na niego lekceważąco wdzięcznym ruchem nadgarstka.

– Daleko nie zajedziesz. Powodzenia.

Colin skłonił się szybko, sięgnął do kieszeni i rzucił na stół kilka monet.

– Będę się za ciebie modlił – rzekł do przyjaciela, a przechodząc, ścisnął go za ramię.

W odpowiedzi Quinn posłał za nim siarczyste przekleństwo.

## ROZDZIAŁ 7

---

Budynek był niewielki, ale ładny, w porządnej dzielnicy. Hrabia Ware nabył go trzy lata wcześniej i od tamtego czasu rzadko zdarzało się, by stał pusty.

Tej nocy okna na dole były ciemne, ale za szybą na poddaszu mrugała świeca. Hrabia włożył klucz do zamka, otworzył drzwi i wszedł do środka. Domem zajmowało się dwoje służących – zaufane i dyskretne małżeństwo. O tej porze dawno już spali, więc Ware, który niczego od nich nie potrzebował, postanowił ich nie budzić.

Odwiesił na wieszak kapelusz, a potem płaszcz. Pod płaszczem miał ubranie wieczorowe, które, z uwagi na to, że uczestniczył w nieprzerwanym ciągu balów i przyjęć, włożył po raz drugi z rzędu. Ten wieczór upłynął jednak inaczej. Amelia była inna. On był inny. Coś się między nimi zmieniło. Ujrzała go w nowym świetle, a on również spojrzał na nią inaczej.

Wszedł na górę i przystanął pod drzwiami, spod których na podłogę padała smuga światła. Wziął głęboki oddech i odczekał chwilę, sycąc się przyjemnym pulsowaniem krwi w żyłach i uczuciem rosnącego podniecenia. Potem przekręcił gałkę i wszedł. Jego ciemnowłosa, ciemnooka kochanka czytała spokojnie w łóżku.

Podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Oddech jej przyspieszył, a usta rozchyliły się nieznacznie. Książka, zamknięta

zdecydowanym ruchem, huknęła. Ware kopnięciem zamknął za sobą drzwi.

– Mój panie – wyszeptała Jane i odrzuciła narzutę, odsłaniając kształtną figurę. – Miałam nadzieję, że dziś mnie odwiedzisz.

Ware uśmiechnął się lekko. Była go spragniona, a to oznaczało, że może liczyć na szybki i ostry pierwszy raz. Potem przestaną się śpieszyć, ale wstępne igraszki będą zbędne. Całkiem dobrze współgrało to z jego nastrojem.

Zapragnął tej oszałamiająco pięknej wdowy w tej samej chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Gdy skończyła się jej umowa z lordem Rileyem, Ware zaanektował ją natychmiast, zanim ktokolwiek zdołał go uprzedzić. Z początku jego zainteresowanie wyraźnie jej schlebiali, potem wykazywała już tylko entuzjazm. Byli do siebie wyśmienicie dopasowani, a seks przynosił obojgu równą przyjemność.

Jednym ruchem zrzucił z siebie płaszcz, a ona rozwiązała pasek szlafroka. Nie minęła chwila, a już był głęboko w niej. Leżała z biodrami na skraju materaca, a on, oparty stopami o podłogę, mocnymi ruchami wbijał się w jej wijące się ciało. Czuł ulgę. W szaleństwie zmysłów z głowy wywietrzały mu frustracja i niepokój.

Nie na długo jednak.

W godzinę później leżał na plecach z jedną ręką pod głową. Nocne powietrze przyjemnie chłodziło jego wilgotną, spoconą skórę.

– Było cudownie – mruknęła Jane głosem ochryplym od namiętych krzyków. – Kiedy jesteś poirytowany, robisz się taki prymitywny.

– Poirytowany? – Zaśmiał się i przyciągnął ją bliżej.

– Tak. Od razu wiem, kiedy coś cię gnębi – odparła, wodząc ręką po jego klatce piersiowej.

Ware wpatrywał się w ozdobne stiuki na suficie i znowu przyszło mu do głowy, jak bardzo pasuje do niej ten pokój, utrzymany

w różowo-kremowym kolorycie, ze złotymi zdobieniami. Sam ją prosił, by nie liczyła się z kosztami, tylko brała pod uwagę własne upodobania. Doświadczenie wielu poprzednich kochanek nauczyło go, że gust kobiety w zakresie wystroju wewnątrz wiele o niej mówi.

– Czy musimy rozmawiać o nieprzyjemnych rzeczach?

– Moglibyśmy spróbować zmienić twoją irytację w uczucie potwornego zmęczenia – rzuciła prowokacyjnie, unosząc głowę, by zobaczyć jej ciemne, roześmiane oczy. – Wiesz, że nie będę narzekać.

Odgarnął z czoła kosmyki wilgotnych włosów.

– Tak, podoba mi się ten pomysł.

– Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że będzie to rozwiązanie jedynie tymczasowe. Jako kobieta mogłabym pomóc ci rozwiązać problem, który cię gnębi. Jak rozumiem, ma on kobiecą naturę.

– Już mi pomagasz – mruknął ochryple.

Uniosła sceptycznie brwi, ale nie naciskała.

Ware odetchnął ciężko i, ufając Jane jako przyjaciółce i powiernicze, wyjawiał jej swoje myśli. Była cudowną kobietą – jedną z najcudowniejszych, jakie znał. Nie należała do osób skłonnych krzywdzić innych lub szukać korzyści cudzym kosztem.

– Zdajesz sobie sprawę, że mężczyznę mojej pozycji rzadko postrzega się jako mężczyznę? – zapytał. – Widzą we mnie ziemię, pieniądze i prestiż, lecz na ogół nic więcej.

Słuchała spokojnie, lecz czujnie.

– Młodość spędziłem w hrabstwie Lincoln. Wpojono mi, że mam uważać się za Ware'a, nie za człowieka. Poza powinnościami wynikającymi z tytułu nie miałem żadnych innych zainteresowań, żadnych celów. Wyszkolono mnie tak dobrze, że nigdy nie zdarzyło mi się nawet pomyśleć, że mógłbym pragnąć czegoś tylko dla siebie. Czegoś, co nie miałooby związku z pozycją i tytułem, tylko ze mną samym.

– Musiałeś wieść bardzo samotne życie.

Wzruszył ramionami i włożył sobie pod głowę jeszcze jedną poduszkę.

– Nie miałem pojęcia, że może być inaczej.

Zamilkł. Po chwili ponagliła go, pytając:

– Aż do...?

– Aż do dnia, kiedy podczas obchodu majątku natknąłem się na chłopaka, który miał zamiar łowić ryby w moim strumieniu.

Jane uśmiechnęła się i wyslizgnęła z jego ramion, a potem z łóżka, przywdziała porzucony szlafrok, po czym podeszła do stolika i naalała trunku do kieliszka.

– Kim był ten chłopak?

– Służącym w majątku sąsiada. Czekał na panienkę, u której ojca pracował. Byli jakoś zaprzyjaźnieni, co mnie bardzo zaintrygowało.

– Jak i owa panienska. – Wprawnym, okrężnym ruchem ręki ogrzewała brandy nad płomieniem świecy.

– Tak – przytaknął. – Była młoda, dzika i wolna. Panna Ben-bridge pokazała mi, że świat widziany oczami osoby, która nie musi spełniać niczyich oczekiwań, wygląda zupełnie inaczej. Poza tym zupełnie zlekceważyła mój tytuł i odnosiła się do mnie tak samo jak do tego chłopaka – z wesołą serdecznością.

Jane usiadła na brzegu łóżka i upiła łyżeczek alkoholu, po czym przekazała mu kieliszek.

– Myślę, że bym ją polubiła.

– Tak – odparł z uśmiechem. – A ja sądzę, że ona polubiłaby ciebie.

Nigdy nie miały się poznać, ale to nieważne.

– Podziwiam cię, że chcesz się z nią ożenić – rzekła – mimo wszystkich niecnych czynów jej ojca.

– Jak mógłbym jej nie chcieć? To właśnie ona nauczyła mnie, że jestem wartościowy sam w sobie. Tak więc moja arystokratyczna arogancja została wyciszona przez arogancję osobistą.

Jane zaśmiała się i zwinęła na jego nogach.

– Jak to dobrze dla nas wszystkich.

Ware przeczesał ręką rozpuszczone włosy.

– Nigdy nie zapomnę popołudnia, kiedy z charakterystyczną dla siebie niewinnością powiedziała, że jestem diabelnie przystojny, i dlatego właśnie czasem ona przerywa to, co mówi, w pół zdania. Nigdy i od nikogo nie słyszałem niczego podobnego. I wątpię, aby ktokolwiek coś podobnego wobec mnie czuł. Zdarzało się, że mój rozmówca zaczynał się jąkać – ale nie z podziwu, a z onieśmienia.

– Ja ci mówię, że jesteś przystojny, mój panie – powiedziała, a iskierki w jej oczach potwierdzały prawdę jej słów. – Niewielu może pochwalić się urodą większą niż twoja.

– Być może to prawda. Nie porównuję się z innymi mężczyznami, więc nie wiem. – Pił dużymi haustami. – Sądzę jednak, że moja atrakcyjność wzrasta, jeśli sam w nią wierzę.

– Pewność siebie to potężne narzędzie – zgodziła się.

– Ponieważ nie miała wobec mnie żadnych oczekiwań, mogłem być przy niej sobą. Po raz pierwszy w życiu mówiłem coś, nie zważając na ograniczenia, jakie narzucały mi tytuł i pozycja. Na niej ćwiczyłem zaloty, wypowiadałem na głos słowa, których przedtem nie ośmieliłbym się powtórzyć nawet w myśli. – Przeniósł wzrok w nogi łóżka, a potem na płonący w kominku ogień. – Wydaje mi się, że dzięki temu, że ją poznałem, jestem tym, kim jestem.

Wodząc opuszkami palców po jego nagim udzie, spytała:

– Czujesz, że jesteś jej coś winien?

– Częściowo tak, ale nasz związek nigdy nie był jednostronny.

Wspólnie ćwiczyliśmy rozmowy, sposób poruszania się. Ja miałem w tym doświadczenie, a ona wychowywała się pod kloszem.

– Więc nadałeś jej ogłady.

– Tak. Zyskaliśmy na tym oboje.

– A teraz należy do ciebie – powiedziała dosadnie Jane – ponieważ pomogłeś ją stworzyć.

– Ja – zaczął Ware ze zmarszczonym czołem. Czy to właśnie było przyczyną jego niezadowolenia? Czyżby wykazał się zaborczością?

– Nie jestem pewien, czy o to chodzi. Ona kiedyś była zakochana – przynajmniej tak twierdzi – i wciąż za nim tęskni. Nie mam do niej o to żalu. Przyjmuję to.

– Być może lepszym słowem byłoby „doceniam”? – uśmiechnęła się łagodnie Jane. – Nie może przecież zalać cię morzem uczuć, jeśli przeznacza je dla innego.

Wychylił resztę brandy i jego żołądek wypełnił ogień, po czym włożył jej kielich do ręki, prosząc w ten sposób o więcej.

– Jeśli to prawda, to dlaczego tak bardzo drażni mnie jej fascynacja innym mężczyzną?

Wzięła kielich i zapytała, unosząc brwi:

– Drażni? Czy wywołuje twoją zazdrość?

Ware roześmiał się.

– Może i jedno, i drugie? Po trochu? – Lekceważąco machnął ręką. – A może to po prostu kwestia urażonych męskich uczuć? Bo do mnie nic takiego nie czuła? Nie wiem na pewno. Wiem tylko tyle, że znowu zacząłem w sobie wątpić. I zastanawiać, czy decyzja, aby dać jej czas i miejsce na wygojenie ran, była słuszna czy błędna.

Jane zatrzymała się w pół drogi do stolika z alkoholami.

– Kim jest ten drugi mężczyzna?

Ware wyjaśnił.

– Rozumiem. – Powtórnie wypełniła kieliszek i ogrzała jego zawartość nad świecą, po czym wróciła do łóżka. – Wiesz, że bardzo kochałam mojego zmarłego męża.

Ware skinął głową i klepnął materac obok siebie. Zwinęła się w kłębek, obnażając gibkie nogi. – Ale kusilo mnie, by wyjść za innego, którego nie kochałam.

– Żartujesz – prychnął. – Kobiety nie chcą nic prócz oddania i wyznawania niesłabnących uczuć.

– Jesteśmy również pragmatyczne. Jeśli zaproponujesz pannie Benbridge wszystkie praktyczne korzyści, których pragnie,

a których ten drugi nie może jej zapewnić, będzie skłaniała się, by wybrać ciebie.

– Już jej mówiłem, że cudzoziemski tytuł tamtego będzie od niej wymagał rozłąki z siostrą.

– Wyraziłeś to werbalnie, owszem. A teraz pokaż w praktyce, jakie będzie to trudne. Zabierz ją, niech obejrzy twój majątek, kup dom gdzieś niedaleko miejsca, w którym mieszka jej siostra. Idź w tym kierunku. A później zastanów się nad jej upodobaniem do tajemniczości i romantyczności. Zabaw się tym. W ten sposób łatwo ją uwiedziesz. Potrafisz to robić, a ona jest na to podatna. Kwiaty, podarunki, skradzione pocałunki. Twój rywal musi pracować w ukryciu. Ty nie masz ograniczeń.

– Hm...

– To może być zabawne i dla ciebie. Może okazać się szansą, by dowiedzieć się o sobie więcej, niż wiesz teraz.

Wyciągnął rękę i złączył palce z jej palcami.

– Jesteś taka mądra.

Uśmiechnęła się ujmująco.

– Jestem kobietą.

– Tak, jestem tego świadom bardziej niż kiedykolwiek – odparł, wyciągając rękę, by odstawić kieliszek na stolik, po czym przyciągnął ją pod siebie. Pocałował, a potem sięgnął ustami niżej, by zębami odsunąć poję szlafroka, a potem wziąć do ust jej sutek.

– Och, lubię to – westchnęła.

Uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Dziękuję za pomoc.

– Wiesz, że moje motywy nie są całkowicie altruistyczne. Być może, próbując dalej uwodzić pannę Bendbridge, znów się kiedyś zdenerwujesz. Bo uwielbiam cię, kiedy przestajesz się kontrolować.

– Flirciara – warknął, a ją przeszedł dreszcz.

Co nakłoniło Ware'a do tego, by do świtu, ku uciechu obojga, odgrywać rolę prymitywnego kochanka.



Amelia wyjrzała za róg domu, ze zmartwienia przygryzając dolną wargę. Rozglądała się już za Colinem na podwórzu między stajniami, a kiedy stwierdziła, że jest puste, odetchnęła z ulgą. Ze stajni dobiegały męskie głosy – śmiech i podśpiewywanie. Stąd wiedziała, że Colin z wujem są przy ciężkiej pracy, co oznacza, że ona może bezpiecznie wyjść z domu i udać się do lasu.

Sztukę stosowania podstępów i wybiegów opanowała już całkiem dobrze, pomyślała, przesuając się zwinnie między drzewami, by nie zostać dostrzeżoną przez żadnego ze strażników. Zmierzala ku ogrodzeniu majątku. Od fatalnego popołudnia, kiedy przyłapała Colina z tą dziewczyną za składem, minęły już dwa tygodnie. Przez ten czas unikała go i nie chciała z nim rozmawiać, nawet kiedy poprosił kucharza, by ją przyprowadził.

Może nadzieja, że nigdy więcej go nie zobaczy, była głupia – zwłaszcza że ich życia tak ciasno się ze sobą splatały. Jeśli tak, to postępowała niemądrze. Choć myślała o Colinie nieustannie, to z bólem i smutkiem potrafiła dać sobie radę, tylko pod warunkiem, że go nie widywała. Nie widziała powodów, by się spotykali, rozmawiali, przyznawali się do swojej znajomości. Do powozu wsiadła tylko raz, w czasie przeprowadzki do nowego domu, i nawet wtedy rozmawiała tylko z Pietro – stangretem.

Dojrzawszy przerwę w ogrodzeniu – tę, której wypatrywała, Amelia lekko przesadziła płot i pobiegła w stronę strumienia. Znalazła tam hrabiego Ware'a bez płaszcza i peruki, z podwiniętymi rękawami koszuli. W ciągu ostatnich tygodni skóra tego młodego arystokraty, który porzucił ślęczenie nad księgami dla zabaw na świeżym powietrzu, złapała już trochę słońca. Ze związanymi w warkocz ciemnobrązowymi lokami i uśmiechniętymi, chabrowymi oczami hrabia był całkiem przystojny. Szlachetne rysy jego twarzy zdradzały błękitną krew, która płynęła w żyłach jego przodków od wielu stuleci.

Na widok hrabiego serce Amelii nie zaczynało trzepotać. Nie czuła też, jak przy Colinie, bólu w dziwnych miejscach, co nie

zmieniało faktu, że Ware niewątpliwie był pełen uroku, uprzejmy i atrakcyjny. Ten zestaw cech Amelia uznała za wystarczający, by hrabia został odbiorcą jej pierwszego pocałunku. Panna Pool kazała jej wprawdzie czekać, aż pojawi się odpowiedni młody człowiek, ale Colin już się pojawił i zamiast jej wybrał inną.

– Dzień dobry, panno Benbridge – rzekł hrabia, witając ją idealnym ukłonem.

– Milordzie – odparła, unosząc lekko skraj sukni przed dygnięciem.

– Mam dziś dla ciebie niespodziankę.

– Och, naprawdę? – Jej oczy rozszerzyły się w oczekiwaniu. Uwielbiała podarunki i niespodzianki, bo rzadko je otrzymywała. Przez całe jej dzieciństwo ojciec nie zwracał sobie głowy takimi sprawami jak urodziny i inne okazje do obdarowywania.

Ware uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tak, księżniczko – odparł i podał jej ramię. – Chodź ze mną. Amelia lekko oparła palce na jego ramieniu, w duszy ciesząc się, że ma okazję przećwiczyć przy kimś dobre maniery. Hrabia z życzliwością i cierpliwością wskazywał jej błędy i poprawiał ją. Dodał jej oglady i pewności siebie. Nie czuła się już jak dziewczynka, która udaje, że jest damą, ale jak dama, która cieszy się młodością.

Wspólnie opuścili miejsce spotkania i ruszyli brzegiem strumienia ku większej polance. Tam Amelia z zachwytem odkryła rozciągnięty na trawie pled. Na jego brzegu stał kosz, wyładowany pięknie pachnącymi tartami, serami i porcjami mięsa.

– Jak to przygotowałeś? – wykrzyknęła, zachwycona jego troskliwością.

– Droga Amelio – odezwał się, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski. Oczy mu błyszczały. – Wiesz, kim jestem dzisiaj, i wiesz, kim będę w przyszłości. Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

Wiedziała, co znaczy arystokratyczne pochodzenie, i była świadkiem szerokich wpływów ojca – wicehrabiego. O ileż większą potęgę dzierży Ware, którego przyszłość wiązała się z tytułem markiza?

Kiedy się nad tym zastanawiała, jej oczy stały się wielkie i okrągłe.

– A teraz, chodź – ponaglił. – Siadaj i spróbuj tarty z brzoskwiniami. A potem powiedz mi, jak ci minął dzień.

– Moje życie jest potwornie nudne – poskarżyła się, z westchnieniem opuszczając się na pled.

– W takim razie powiedz mi jakąś historię. Na pewno jest coś, o czym marzysz.

Marzyła o namiętnych pocałunkach ciemnookiego cygańskiego kochanka, ale nigdy nie ośmieliłaby się powiedzieć tego na głos. Podniosła się na kolana i, chcąc skryć rumieniec, zanurzyła rękę w koszyku.

– Brak mi wyobraźni – mruknęła.

– W takim razie, dobrze – odezwał się Ware, układając się na plecach, z rękami pod głową, i wpatrując się w niebo. Jeszcze nigdy nie widziała go równie swobodnym. Pomijając dość formalny strój – w tym śnieżnobiałe pończochy i wypolerowane na błysk buty – sprawiał wrażenie znacznie swobodniejszego niż kilka tygodni wcześniej, kiedy go poznała. Amelia musiała przyznać, że nowe oblicze hrabiego raczej jej się podobało. Poczula ukłucie satysfakcji, że miała swój udział w pozytywnej zmianie, jaka w nim zaszła.

– W takim razie sam będę zmuszony uraczyć cię opowieścią – rzekł.

– Cudownie – odpowiedziała, podniosła się z powrotem do pozycji siedzącej i nadgryzła ciasto.

– Pewnego razu...

Amelia patrzyła, jak poruszają się wargi pochłoniętego opowieścią Ware'a i wyobrażała sobie, że je całuje. Najpierw poczuła

znajome przygnębienie, które towarzyszyło rozstaniu się z dawnymi uczuciami i otwarciu się na nowe, jeszcze nieznanne. Smutek zelżał jednak, kiedy pomyślała o Colinie i o tym, jak postąpił. On z całą pewnością nie czuł nawet cienia smutku, że rozstaje się z uczuciami do niej.

– Czy chciałbyś mnie pocałować? – wypaliła, strzepując z kącików warg okruchy tarty.

Hrabia przerwał w pół słowa i odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Jego oczy były szeroko otwarte ze zdziwienia, lecz wydawał się nie tyle zmieszany, ile zaciekawiony.

– Przepraszam bardzo, czy dobrze cię zrozumiałem?

– Całowałaś się już z dziewczyną? – zapytała z ciekawością. Był od niej o dwa lata starszy i tylko o rok młodszy niż Colin. Bardzo możliwe, że miał już doświadczenie.

Colin roztaczał wokół siebie aurę mrocznego niepokoju, ponętne nawet dla jej niewinnych zmysłów. Ware – przeciwnie, był znacznie spokojniejszy, a źródłem jego atrakcyjności były wrodzona władczość i pełne przekonanie, że świat leży u jego stóp i można z niego czerpać garściami. Amelia, mimo swych wciąż świeżych uczuć do Colina, mogła się teraz przekonać, na czym polega swobodny i niezobowiązujący urok Ware'a.

Uniósł brwi i odparł:

– Dżentelmeni nie rozmawiają o takich sprawach.

– To cudownie! Miałam przecucie, że będziesz chciał być dyskretny. – Uśmiechnęła się.

– Czy mogłabyś powtórzyć swoją prośbę? – mruknął, przyglądając jej się badawczo.

– Czy zechciałbyś mnie pocałować?

– Czy to pytanie hipotetyczne, czy wezwanie do działania?

Amelia, nagle onieśmielona, odwróciła wzrok.

– Amelio – odezwał się łagodnym tonem i znów przyciągając jej wzrok. Na jego przystojnej, patrycjuszowskiej twarzy

malowała się życzliwość i Amelia poczuła wdzięczność. Przetoczył się na bok, a potem uniósł się i usiadł.

– Nie hipotetyczne – wyszeptala.

– Dlaczego chciałabyś, żebym cię pocałował?

Wzruszyła ramionami.

– Bo tak.

– Rozumiem. – Na chwilę wydadł wargi. – Czy wystarczy, jeśli zrobi to Benny? Albo któryś z lokajów?

– Nie!

Jego usta powoli wygięły się w uśmiechu, od którego coś zatrzepotało jej w brzuchu. Nie było to nagle i silne doznanie, które pojawiał się na widok doleczków w policzkach Colina, ale z całą pewnością mogła uważać je za zwiastun nowego sposobu postrzegania przyjaciela.

– Nie pocałuję cię dzisiaj – odrzekł w końcu. – Bo chciałbym, abyś to lepiej przemyślała. Jeśli następnym razem, kiedy się spotkamy, będziesz dalej tego chciała, zrobisz to.

Amelia zmarszczyła nos.

– Jeśli nie masz ochoty, po prostu powiedz.

– Ach, ty moja gorąca księżniczko – rzekł uspokajająco, łapiąc jej dłoń i głaszcząc wierzch kciukiem. – Wyciągasz wnioski tak szybko, jak wpadasz w kłopoty – na całego. Ale ja cię złapię, piękna Amelio. Już nie mogę się tego doczekać.

– Och – wyszeptala, reagując na aluzję w jego słowach gęstym mruganiem.

– Zgadza się, och – przytaknął.

Amelię obudziło stukanie do drzwi sypialni. Leżała zwinęta w kłębek, z zamkniętymi oczami i pogrążona w półśnie marzyła, by zapaść się z powrotem w krainę cudownych marzeń i żywych wspomnień. By wrócić do rzadkich chwil bliskości, które dane jej było dzielić z Ware'em, i do przekonania, jak drogi był dla niej ten związek.

Pukanie rozległo się znowu, tym razem silniejsze. Do snu wkradła się bezwzględna rzeczywistość. Zmuszona do porzucenia nocnych marzeń i wspomnień, jęknęła.

– Amelio?

To Maria. Jedyna osoba w całym domu, której nie mogła zignorować.

Amelia schrypnęty od snu głosem krzyknęła jej, by weszła, po czym z trudem usiadła w łóżku. Drzwi otworzyły się i jej oczom ukazała się siostra.

– Cześć, maleńka – powiedziała Maria, podchodząc do łóżka eleganckim, posuwistym krokiem, którego Amelia od dawna jej zazdrościła. – Przepraszam, że cię budzę, ale już późno. I tak długo czekałam. Niestety moja cierpliwość pozostawia wiele do życzenia.

– Och, tak cię lubię w tej koszuli – odpowiedziała Amelia na widok kremowego muślinu, którego efekt w zestawieniu z oliwkową skórą Marii był oszałamiający.

– Dziękuję. – Maria przysiadła na krześle przy oknie. – Jak ci minął wieczór? Dobrze?

Myśli Amelii wypełniły wspomnienia o hrabim, który wyglądał olśniewająco w wieczorowym stroju. Ostatnia noc była jedną z wielu kolejnych, które wspólnie spędzili na balach, przyjęciach i wieczorkach. Tyle że ta ostatnia noc upłynęła nieco inaczej. Ona zachowywała się inaczej. Ware zachowywał się inaczej. Coś się między nimi zmieniło. Instynkt podpowiadał Amelii, że raczej tak już pozostanie.

On parł do przodu, manewrował ze znanstwem, zmuszał ją do chłodnej i rzeczowej oceny ich sytuacji. Po dzieciństwie, wypełnionym nieprawdą i wybiegami, była mu wdzięczna za uczciwość. W tym przypadku efektem jego uczciwości było tylko pogłębiające się u niej poczucie winy i ogólnej dezorientacji.

– Wieczór był bardzo udany – odparła.

– Hm... – odparła Maria sceptycznie. – Ostatnio jesteś bardzo melancholijna.

– A ty przyszedłaś o tym porozmawiać.

– Wczoraj po południu na patio lord Ware omal cię nie pocałował, a mimo to wieczorem nie wydawałaś się szczególnie zachwycona, że go widzisz. Jak mogłabym o to nie spytać?

Amelia zamknęła oczy i z powrotem opuściła głowę na poduszkę.

– Gdybyś podzieliła się ze mną swym ciężarem – zachęciła ją Maria – to może mogłabym ci pomóc. W każdym razie chciałabym.

Amelia otworzyła oczy, spojrzała w górę i zobaczyła satynowe wykończenie baldachimu nad łóżkiem. Przypomniały jej się dawne czasy. Specjalnie urządziła swój pokój w najrozmaitszych odcieniach niebieskiego – od bladego błękitu po ciemny granat – bo dokładnie tak wyglądał jej pokój dziecienny. Była to świadoma decyzja, która miała wyrażać chęć nawiązania więzi z odzyskaną siostrą dokładnie w tym samym momencie, kiedy więź ta została okrutnie przerwana. Ojciec odebrał im wiele lat, ale teraz, w tym pokoju, czuła, że je odzyskała.

– Nie ma mi w czym pomóc, Mario. Niczego nie da się naprawić ani zmienić.

– A co z twoim zamaskowanym adoratorem?

– Więcej go nie zobaczę.

Zapadła chwila krępującej ciszy.

– Ostatnio, kiedy o nim wspominałaś, nie byłaś aż tak stanowcza. Spotkałaś się z nim po raz drugi, prawda? Odszukał cię.

Amelia odwróciła głowę i spojrzała siostrze w oczy.

– To ja go do siebie zwabiłam, i był na mnie o to zły. Zamierza teraz wyjechać z miasta, trzymać się ode mnie z daleka i nie pozwolić, bym go znowu odnalazła.

– W ten sposób wykazuje troskę o twą reputację, ale ciebie to niepokoi. – W ciemnych oczach Marii zabłysło zakłopotanie. – Czemu?

Amelia machnęła w powietrzu rękami i odparła:

– Bo nie chcę, żeby wyjeżdżał! Chcę go poznać i bardzo mnie boli, że nie będę miała szansy. Zadaję ból Ware’owi i tobie, ale

mimo to nie jestem w stanie zwalczyć tej fascynacji. Z drugiej strony – nie potrafię zignorować tego, jak bardzo mnie boli, że tak łatwo odszedł. Tak samo traktował mnie ojciec. Mam tego dość!

– Amelio... – zaczęła Maria i wyciągnęła do siostry rękę. – Co tak bardzo urzekło cię w tym mężczyźnie? Uroda? Nie... nie złość się. Chcę tylko zrozumieć.

Amelia westchnęła. Brak snu i niemożność jedzenia robiły swoje. Nie potrafiła zwalczyć w sobie uczucia, że Montoya wymyka jej się z rąk, że z każdą chwilą, w której ona trwa beczynnienie, on coraz bardziej się oddala. Denerwowało ją to i wprawiało w złość.

– Znowu miał na sobie maskę – odparła w końcu. – Nie mam pojęcia, jak bez niej wygląda, ale wszystko mi jedno. Pociąga mnie to, jak on do mnie mówi, jak mnie dotyka, jak mnie całuje. W tym wszystkim jest jakaś cześć. Tęsknota. Pożądanie. Nie wierzę, że tak głębokie uczucie można udać. W każdym razie nie tak, jak on je wyraża.

Maria zmarszczyła czoło i zamyślona, patrzyła w dal. Ciemne pukle chwiały się wokół jej nagich ramion, zdradzając jej niepokój.

– Ale jak to możliwe, by czuł do ciebie takie rzeczy zaledwie po kilku minutach znajomości?

– Twierdzi, że przypominam mu miłość, którą kiedyś utracił, ale szczerze mówiąc, wyczuwam, że równocześnie pragnie mnie dla mnie samej. – Palce Amelii skubały pościel. – Na początku zainteresował się mną ze względu na nią, ale po raz drugi pojawił się już z mojego powodu.

– Skąd możesz być tego pewna?

– Niczego nie jestem pewna, a teraz dodatkowo domyślam się, że nigdy nie będę. – W obawie, że jej twarz mogłaby zdradzić zbyt dużo, odwróciła ją i spojrzała w stronę otwartych drzwi do buduaru.

– Bo on odjeżdża – odpowiedziała Maria łagodnie. – Czy wspominał, dlaczego to robi i dokąd się wybiera?

– Twierdzi, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Śmiertelne.



– Ze strony St. Johna? Czy kogoś innego?

Dłonie Amelii zacisnęły się w pięści.

– On nie ma nic wspólnego z twoim mężem. Tak powiedział i ja mu wierzę.

– Ciii... – uspokoiła ją Maria, wstając z krzesła. – Wiem, że jesteś poruszona, ale nie wyładowuj na mnie złości. Chcę ci pomóc.

– Jak? – rzuciła wyzywająco Amelia. – Pomożesz mi go odnaleźć?

– Tak.

Amelia zamarła ze zdumienia i nie odrywała wzroku od siostry.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Maria wyprostowała plecy, co świadczyło o jej determinacji. – Szukają go ludzie St. Johna. Mamy jednak pewną przewagę. Ty jesteś jedyną osobą, którą dopuści blisko siebie.

Amelia przez chwilę nie mogła wydusić słowa. Nie oczekiwała, że ktokolwiek weźmie jej stronę, zrozumie jej chęć odnalezienia Montoi. Nie mogła wyobrazić sobie lepszego poplecznika niż siostra, która nie bała się niczego i świetnie znała się na odnajdywaniu rzeczy, które nie miały ochoty zostać znalezione.

– Ware też go szuka.

– Biedny hrabia Montoya – rzuciła Maria, usiadła na brzegu łóżka obok Amelii i wzięła ją za ręce. – Żal mi go. Poznaje piękną kobietę i z tego powodu osaczają go ze wszystkich stron. St. John będzie go poszukiwał jak przestępca. Ware – jak arystokrata. W takim razie my musimy zacząć poszukiwać Montoyi jak kobiety.

– Czyli jak? – spytała Amelia, marszcząc czoło.

– Oczywiście na zakupach – odparła Maria z uśmiechem, od którego od razu pojaśniało w całym pokoju. – Odwiedzimy wszystkich sprzedawców masek, jakich uda nam się znaleźć i zobaczymy, czy któryś przypomina sobie hrabiego. Jeśli zawsze zasłania twarz, musi mieć tych masek dość dużo. Jeśli nie, to może kupił sobie maskę niedawno i wywarł niezapomniane wrażenie na sprzedawcy. To niewiele, ale zawsze coś – na początek. Oczywiście będziemy

musiały uważać. Jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, to poszukiwanie go sprowadza niebezpieczeństwo na nas. Musisz mi zaufać i słuchać bez zastrzeżeń. Zgoda?

– Tak – odpowiedziała Amelia. Jej dolna warga zadrżała i dziewczyna przygryzła ją, by ukryć emocje. Zaciśnęła ręce na rękach siostry. – Dziękuję ci, Mario. Bardzo ci dziękuję.

Maria przytuliła ją i pocałowała w czoło.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, małeńka. Zawsze.

To ciche zapewnienie dodało Amelii sił. Uczepiwszy się go kurczowo niczym koła ratunkowego, ześlizgnęła się z łóżka i zaczęła przygotowania do nadchodzącego dnia.

## ROZDZIAŁ 8

---

Piesi, powozy i wozy towarowe poruszały się leniwie po ulicy. Dzień był słoneczny i przyjemnie ciepły, a powietrze rześkie po porannym przelotnym deszczu. Nastroju Colina nie można było jednak nazwać sielankowym. Coś najwyraźniej nie dawało mu spokoju.

– Nie powinienes się aż tak przejmować – rzekł Jacques. – Nic jej nie będzie. Nikt nie wiąże cię ani z twoją przeszłością, ani z panną Benbridge.

Colin uśmiechnął się smętnie.

– Aż tak jestem przejrzyisty?

– *Oui*. Kiedy przestajesz się pilnować.

Colin wyglądał przez okno powozu i obserwował ludzi krzątających się wokół codziennych spraw. On sam tego dnia zajęty był wyprowadzką z miasta, a w tej chwili jego powóz toczył się w stronę drogi wyjazdowej w kierunku Bristolu. Kufry z bagażem były już zapakowane, a rachunki z właścicielem kamienicy – uregulowane.

A jednak odczuwał niepokój.

Uczucie, że zostawia serce w mieście i z każdą chwilą się od niego oddala, nasiliło się. Dzień po dniu stawał się coraz bardziej świadom swojej śmiertelności. Życie bezwzględnie zdążało do kresu i myśl o tym, że spędzi je bez Amelii, była wręcz nieznośna.

– Nawet nigdy nie jechałem z nią powozem – rzekł, zaciskając obleczone w rękawiczki palce na gzymsie okna. – Nigdy nie siedziałem z nią przy stole, nie jedliśmy wspólnie posiłku. Wszystko, co robiłem przez ostatnie lata, robiłem po to, by osiągnąć wyższą pozycję i móc korzystać z przywilejów dostępnych jej kręgom.

Ciemne oczy Jacques'a śledziły go spod ronda kapelusza. Służący siedział na przeciwległej kanapie w bardzo swobodnej pozycji, lecz mimo to jego solidna sylwetka promieniowała energią.

– Wkrótce po śmierci rodziców – mruknął Colin, nie odrywając wzroku od okna – mój wuj przyjął posadę stangreta u lorda Weltona. Pensja była żalosna i musieliśmy opuścić obóz Romów, ale wuj był przekonany, że życie na służbie będzie znacznie bardziej stabilne niż cygańskie. Zanim się urodziłem, był zatwardziałym kawalerem, ale opieki nade mną podjął się z wielką odpowiedzialnością.

– A więc to po nim masz ten swój honor – rzekł Francuz.

Colin uśmiechał się z zadumą.

– Wtedy byłem na niego wściekły. Miałem dziesięć lat i rozłąka z kolegami, zwłaszcza tak szybko po śmierci mamy i ojca, była bardzo trudna. Trwałem w przekonaniu, że zły los mnie nie opuści. I wtedy ją zobaczyłem.

Oczyrna duszy widział ten dzień, jakby to było wczoraj.

– Miała dopiero siedem lat, ale ja i tak byłem zauroczony. Ciemne loki, porcelanowa cera, zielone oczy – wyglądała jak piękna lalka. A potem wyciągnęła do mnie rękę, uśmiechnęła się szczerbatą buzią i zapytała, czy się z nią pobawię.

– *Enchanté* – mruknął Jacques.

– Tak, czarująca. Amelia była cudowną towarzyszką zabaw – żadną przygodą, wyzwaniem, pomysłowcą. Wypełniałem jak najszybciej swoje obowiązki, byle tylko skończyć i lecieć do niej. – Colin westchnął, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy. – Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy jechałem powozem jako pomocnik stangreta. Czulem się taki dojrzały i dumny. Ona cieszyła się ze mną, oczy

błyszczały jej radością. I wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że ona siedzi w środku, a ja stoję na zewnątrz. I że nigdy nie będzie mi wolno usiąść koło niej.

– Od tamtego czasu wiele zmieniłeś, *mon ami*. Nie ma już teraz między wami takiej różnicy.

– Och, wciąż jest – sprzeciwił się Colin – tyle że nie dotyczy już pieniędzy.

– Kiedy po raz pierwszy stwierdziłeś, że ją kochasz?

– Kochałem ją od samego początku. – Dłoń, leżącą na udzie, zacisnął w pięść. – Uczucie jednak rosło i zmieniało się – razem z nami.

Nigdy nie zapomni popołudnia, kiedy razem bawili się w strumieniu, jak to często mieli w zwyczaju. On w samych bryczesach, ona w długiej, luźnej sukience. Skończyła piętnaście lat, a on – osiemnaście. Chcąc złapać skaczącą żabę, potknął się o kamień przy brzegu i upadł. Roześmiała się wesoło, on odwrócił do niej głowę, spojrział i to, co zobaczył, na zawsze zmieniło jego życie. Skąpiana w słońcu, doszczętnie przemoczona, z piękną, radosną twarzą, przypominała mu nimfę wodną. Kuszącą. Niewinną, a pociągającą.

Nagle zabrakło mu tchu. Zaschło mu w ustach, krew zaczęła krążyć szybciej od skrywanej żądz, a całe ciało napięło się. Jego penis, który w okresie dojrzewania przypominał męczącą udrekę, zaczął teraz boleśnie pulsować. Nie był niewinny, ale pożądanie, którego dotąd doświadczył w porównaniu z pragnieniem, które przeszło go niczym strzała na widok półnagięgo ciała Amelii, było niczym.

Nie wiedzieć kiedy... poza jego świadomością Amelia zmieniła się z dziewczynki w młodą kobietę. Której pragnął. Pragnął tak, jak niczego dotąd. Serce przeszła mu nieoczekiwana tęsknota. Rami ona aż rwały się, by ją przytulić. Gdzieś w głębi duszy czuł pustkę i wiedział, że tylko ona, Amelia, może ją wypełnić. Sprawić, by stał się całością. Uzupełnić go. W dzieciństwie była dla niego

wszystkim. Teraz wiedział, że będzie dla niego wszystkim również teraz, kiedy stał się mężczyzną.

– Colinie? – zawołała do niego. Jej uśmiech zbladł w odpowiedzi na napięcie, które między nimi wyczuła.

Tego samego dnia wieczorem Pietro zauważył, że Colin jest pochmurny i wypytał go, co się stało. Kiedy chłopak wyjawiał mu swoje odkrycie, wuj zareagował z niespotykaną u niego zapalczewością.

– Trzymaj się od niej z daleka – warknął, a w jego ciemnych oczach płonął ogień. – Już dawno powinienem kazać ci to zrobić.

– Nie! – Colin był przerażony na samą myśl. Nie potrafił wyobrazić sobie przyszłości bez Amelii.

Pietro uderzył pięścią w stół i spojrzał na niego groźnie, z wysoka.

– Ona jest nie dla ciebie. Jest poza twoim zasięgiem. Wasz romans może nas kosztować pracę!

– Kocham ją! – krzyknął i kiedy tylko słowa te zabrzmiały w jego ustach, wiedział, że są prawdziwe.

Nachmurzony wuj wyciągnął go z mieszkanka przy stajniach i zaprowadził do miasteczka, by tam rzucić w ramiona pięknej nierządniczki, która, nie kryjąc uciechy, wymęczyła go do nieprzytomności. Była to kobieta dojrzała, niepodobna do niezdarnych dziewcząt, z którymi miał dotąd do czynienia. Dopilnowała, by chłopak opuścił jej łóżko wykończony, z mięśniami trzęsącymi się jak galareta i ślaniając się na nogach.

Kiedy kilka godzin później dowłókł się do pobliskiej gospody, wuj powitał go z isticie ojcowską dumą i rubasznym uśmiechem.

– Proszę, teraz masz inną, którą możesz kochać – oznajmił, poklepując chłopaka przyjacielsko po plecach.

Colin sprostował:

– Owszem, jestem jej wdzięczny. Ale kocham tylko Amelię.

Mina Pietra wydłużyła się. Następnego dnia, kiedy Colin zobaczył Amelię i okazało się, że dziewczyna budzi w nim takie

samo pożądanie, jak wcześniej nad strumieniem, przyszło mu do głowy, że seks wyglądałby inaczej z nią niż z tamtą kobietą. Instynkt podpowiadał mu, że podobnie jak Amelia sprawiała, że jego dni były jaśniejsze, a serce – lżejsze, tak intymne spotkanie z nią miałoby głębszy, bogatszy wymiar. Nie znajdował sposobu, by uciec od głodu takiego spotkania. Myśl ta gnębiła go nieustannie i nie dawała spokoju.

Przez kilka następnych miesięcy Pietro dzień w dzień przykazywał mu zostawić ją w spokoju. Jeśli ją kocha, tłumaczył, to na pewno chce dla niej jak najlepiej. A jako cygański chłopak stajenny nie będzie w stanie zapewnić jej szczęścia.

W końcu Colin zdobył się na hart ducha, by odepchnąć Amelię i wymazać z serca swoje uczucie do niej. Omal go to nie zabiło.

A teraz zabijało go wciąż od nowa.

Powóz kołysał się i podskakiwał na nierównym bruku. A Colin wiedział, że z każdym jego drgnieniem coraz bardziej oddala się od tego, czego najbardziej na świecie pragnął.

– Jeszcze do niej wrócisz – rzekł Jacques cicho. – To jeszcze nie koniec.

– Dopóki nie zakończymy tej sprawy z Cartlandem, nie mogę nawet marzyć, żeby się z nią spotkać. To dlatego Quinn wciąż posługiwał się Cartlandem, mimo że ten typ sprawiał same kłopoty. To wyjątkowy tropiciel. I jeśli jest już na moim tropie, to nie mam przed sobą przyszłości.

– Ja tam wierzę w przeznaczenie, *mon ami*. A twoim przeznaczeniem nie jest śmierć z rąk tego człowieka. To mogę ci zagwarantować.

Colin skinął głową, ale w głębi duszy nie był aż takim optymistą.

Odziane w białe rękawiczki palce, zaciśnięte na parapecie okienka powozu, należały do Montoi. Amelia wiedziała to z całkowitą, niekwestionowaną pewnością.

Minął ją przeciętny, niewyróżniający się niczym specjalnym powóz. Obrzuciła go przypadkowym spojrzeniem, by w siedzącym w środku mężczyźnie ku swemu zdumieniu rozpoznać Jacques'a. W pierwszym odruchu zamarła, potem przeszył ją dreszcz podniecenia, któremu towarzyszyła nagle, szalona iskra nadziei. A na końcu zauważyła kufry z bagażami, przytroczone z tyłu powozu.

Montoya wyjeżdżał z miasta – tak jak zapowiedział.

Na jej szczęście, a jego – nieszczęście, jego stangret wybrał tę samą ulicę, którą przekraczały właśnie z Marią, wybrawszy się po raz pierwszy na poszukiwania.

– Mario – odezwała się nagle do siostry. W obawie, że straci powóz z oczu, nie odrywała od niego wzroku.

– Hm...? – spytała rozkojarzona Maria. – Patrz, tu są maski na wystawie.

I zanim Amelia zdążyła zaprotestować, zniknęła w najbliższym sklepie. Jej wejście oznajmił wesoły dźwięk dzwoneczka nad drzwiami.

Kłębiło się wokół nich mnóstwo przechodniów. Wielu celowo omijało Tima, który górował nad wszystkimi wzrostem i niczym jastrzęb nie spuszczał czujnego wzroku ze swych podopiecznych.

– Tim – Amelia uniosła rękę i wskazała na powóz, który z każdą chwilą coraz bardziej się oddalał. – Montoya odjechał tamtym czarnym powozem. Musimy się pospieszyć albo stracimy go z oczu.

Uczucie, że coś cennego przecieka jej między palcami, że za chwilę może to nieodwracalnie stracić, wywołało dreszcz emocji, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. Chwyciła za skraj sukni i prawie biegiem ruszyła w stronę, w którą potoczył się powóz.

Tuż obok pasażerowie właśnie wysiadali z dorożki. Amelia rzucała się ku niej i próbowała ją zatrzymać, dramatycznie wymachując ręką.

Zdając sobie sprawę z zamierzeń panienki, Tim zaklął pod nosem, chwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą.



– Stać! – zawołał w tej samej chwili, kiedy woźnica już uniósł bat, by ruszyć z miejsca.

Woźnica odwrócił głowę i na widok Tima zamarł. Z trudem przełknął ślinę i skinął głową. Kiedy dotarli do dorożki, Tim otworzył drzwi szarpnięciem i wepchnął podopieczną do środka, po czym spojrzawszy na dwóch towarzyszących im służących, rzekł:

– Wracajcie do reszty i odnajdźcie panią St. John. Powiedzcie jej, co się stało.

Sam – rudowłosy mężczyzna, który pracował na służbie u St. Johna już od kilku lat, energicznie skinął głową.

– Dobra. Uważaj na siebie.

Tim podciągnął się na stopień dorożki, zmuszając Amelię, by z powrotem schowała się pod budą.

– Nie podoba mi się to wszystko – rzekł szorstko.

– Szybciej! – zawołała dziewczyna. – Możesz udzielić mi nagany po drodze.

Spojrzał na nią wilkiem i znowu zaklął, po czym wydał polecenie woźnicy.

Dorożka ruszyła, pozostawiając w tyle tłum przechodniów. Włączyła się w ruch ulicy.

Dźwięk dzwonek nad drzwiami wciąż jeszcze nie wybrzmiał, kiedy Maria zatrzymała się gwałtownie pośrodku sklepu.

Niespodziewanie drogę zastąpił jej wysoki, elegancko ubrany mężczyzna. U jego boku stała drobniutka blondynka ubrana według ostatnich wymogów francuskiej mody. Spojrzenie Marii wędrowało z jednego na drugie, odnotowując fakt, że stanowili wyjątkowo atrakcyjną parę.

– Simon! – krzyknęła nagle, zdumiona, że rozpoznaje tę twarz.

– *Mhuirín*. – Ujął jej dłoń i uniósł do ust. Czulość w jego głosie była wręcz namacalna. – Wyglądasz oszalełamijaco – jak zwykle.

Simon Quinn stał na wprost niej i wyglądał znacznie lepiej, niż powinien wyglądać mężczyzna. Miał na sobie żółtawobrazowe

bryczesy i ciemnozieloną marynarkę, a jego potężna sylwetka przyciągała spojrzenia wszystkich kobiet, które znajdowały się w zasięgu wzroku. Sprawiał wrażenie robotnika, odzianego w królewskie ubranie.

– Nie miałam pojęcia, że powróciłeś do Londynu – zganiła go łagodnie. – I przyznaję, że jestem troszkę, a może nawet ciut więcej niż troszkę, urażona, iż nie złożyłeś mi wizyty natychmiast po przyjeździe.

Na twarzy Francuzki pojawił się uśmiech, który nie objął jednak jej zimnych, niebieskich oczu.

– Quinn... – odezwała się, potrząsając głową i wprawiając w ruch wykwentne wstążki, zdobiące jej fryzurę. – Wygląda na to, że niewłaściwe traktowanie kobiet jest twoją nieszczęsną, nawracającą słabością.

– Cicho – uciął.

Maria zmarszczyła brew. Nie była przyzwyczajona, by Simon zachowywał się nieuprzejmie wobec pięknych kobiet.

Dzwonki znowu zadźwięczały na znak, że ktoś wszedł do sklepu. Maria chciała usunąć się z przejścia, gdy nagle czyjaś dłoń mocno chwyciła ją za ramię. Przestraszona, okręciła się wokół własnej osi, wprawiając w ruch obfite halki sukni w kolorze głębokiego różu. Stała twarzą w twarz z zaniepokojonym Samem.

– Panna Amelia zobaczyła jego powóz – wybuchnął bez namysłu lokaj – i pobiegła za nim. Tim z nią jest, ale...

– Amelia? – Maria dopiero teraz zdała sobie sprawę, że siostra przy niej nie stoi. Pośpieszyła do drzwi i wypadła na zatłoczoną ulicę.

– Tam – rzekł Sam i wskazał oddalającą się dorożkę.

– Widziała Monotę? – zapytała Maria i poczuła, jak żołądek ściska się jej ze zdenerwowania. Uniosła spódnicę i zaczęła przepychać się między kręcącymi się po ulicy ludźmi. Simon i blondynka ruszyli w jej ślady, a zaraz za nimi podążyli pozostali

ludzie St. Johna. Wywołali spore zamieszanie na ulicy, ale Maria nie zważała na to. Miała przed sobą jeden cel – dogonić Amelię.

Kiedy fakt, że pieszo nie ma najmniejszych szans, stał się oczywisty, zatrzymała się.

– Potrzebuję powozu – stwierdziła.

– Już po niego posłałem – zapewnił ją Sam, który stał tuż przy niej.

– Proszę, odzyskaj St. Johna i wszystko mu wyjaśnij – nakazała mu, wybiegając myślami naprzód i planując możliwy przebieg wydarzeń w ciągu kilku najbliższych godzin. – Resztę ludzi zabięram ze sobą. Kiedy znajdziemy Amelię, wyślemy kogoś z informacją, gdzie jesteśmy.

Sam skinął głową i odszedł w kierunku swego wierzchowca.

– Co tu się u diabła dzieje? – zapytał Simon, a na czole między jego błyszczącymi, niebieskimi oczami pojawiła się głęboka zmarszczka. Blondynka natomiast wykazywała ledwie widoczne zainteresowanie.

Maria westchnęła.

– Moja siostra zakochała się w zamaskowanym nieznanym, którego poznała na balu kilka dni temu. Teraz go ściga.

Słyszając to, Simon nagle zeszytniał, co jeszcze bardziej podsycało niepokój Marii. Jeśli on wyczuwał tu niebezpieczeństwo, to uznała, że sprawa musi być poważniejsza niż zwyczajne poszukiwanie siostry.

– Od dawna się tego obawiałam – ciągnęła – ale na nią nie ma rady. Próbowałam przemówić jej do rozsądku, ale jest zdecydowana, by go znaleźć. St. John tak samo. Zaproponowałam Amelii, że pomogę jej w poszukiwaniach. Zrobiłam to tylko po to, by chociaż częściowo mieć wpływ na obrót wydarzeń, ale podobno przed chwilą zauważyła go na ulicy i ruszyła w pościg.

– Mój Boże! – wykrzyknął Simon z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

– Och, to cudowne! – stwierdziła panna Rousseau, a jej oczy wreszcie się ożywiły.

– Jadę z tobą – rzekł żywo Simon i gestem przywołał stojącego obok lokaja. Chłopak natychmiast pobiegł sprowadzić powóz Simona.

– Nie musisz się w to angażować – odezwała się do niego Maria, oddychając ciężko. – Przecież jesteś w towarzystwie. Nie przeszkadzaj sobie.

– Jesteś zdenerwowana. A ja mogę okazać się pomocny. Właśnie mieliśmy zamiar pokreć się dziś po mieście i trochę odpocząć. Panna Rousseau nie będzie jednak miała nic przeciwko zmianie planów.

– Nie, absolutnie nic – rzekła z uśmiechem Francuzka. – Szczerze mówiąc, bardzo chętnie się przyłączę. Naiwni młodzi kochankowie są zawsze tacy zabawni.

Simon warknął tak sugestywnie, że Maria mimo najszczerzych chęci postanowiła nie wtrącać się i nie protestować. Simon przez wiele lat był jej porucznikiem, wiedziała więc, iż może się po nim spodziewać nieocenionej pomocy. Cokolwiek zaszło między nim a panną Rousseau to już ich sprawa. Doszła do wniosku, że na pierwszym miejscu musi postawić własne kłopoty.

Nie minęła chwila, a błysk wypolerowanej na wysoki połysk laki oznajmił przyjazd miejskiego powozu St. Johna. Maria miała nadzieję, że odległość, którą trzeba będzie pokonać, nie będzie wymagała użycia bardziej wytrzymałego powozu podróznego.

Kareta Simona ustawiła się za jej powozem i wkrótce wśród głośnych, nagłych okrzyków ruszyli w pogoń.

Colin z ulgą wyskoczył z powozu. Po wielogodzinnej podróży z Londynu do małej gospody pocztowej w okolicach Reading był cały zdrętwiały. Stał przez chwilę na podwórzu i rozglądał się po skapaniej w księżycowym świetle okolicy. Jacques wygramolił się

z powozu i stanął za nim, po czym obaj weszli do gospody, gdzie zamierzali zatrzymać się na noc.

W mrocznym wnętrzu panował spokój. W sali jadalnej przebywało niewielu gości, reszta najwyraźniej już udała się na spoczynek. Szybko załatwili potrzebne formalności i już po chwili Colin znalazł się w niewielkim, skąpo wyposażonym, ale czystym i wygodnym pokoju.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, poczuł, jak spowija go ciemna, zimna mgła melancholii. Znajdował się już o cały dzień drogi od Amelii, a jutro dystans ten miał się dwukrotnie zwiększyć. Wydarzenia ostatnich dni przyprawiły go o frustrację i modlił się, by sen przyniósł mu nieco wytchnienia. Niestety nie miał na to nadziei – od lat już śnił tylko o Amelii.

Wyciągnął rękę, by zasunąć kotary, gdy usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Chwycił za rękojęść ukrytego pod płaszczem sztyletu i skulił ramiona, by stanowić trochę trudniejszy cel.

– Montoya.

Usłyszawszy słodki, kobiecy głos ukochanej, zastygł w półobrocie. Miał nadzieję, że będzie śledzony, ale nie spodziewał się, że przez nią. Teraz czyhające na niego niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać również jej.

– Musiałam cię zobaczyć – wymamrotała. – Twój powóz minął mnie na ulicy. Nie mogłam pozwolić ci odjechać.

Gdyby nie lata pracy nad sobą i życia na granicy bezprawia, nie zdołałby pohamować zdumienia i odruchowo odwróciłby się twarzą do niej, zaprzepaszczając tym samym swe dotychczasowe starania. Opanował się jednak, zasłonił do końca okno, by stłumić delikatny blask księżycy, który mógłby oświetlić jego rysy, i dopiero wtedy się odwrócił. Miał szczęście, że po wejściu do pokoju nie zdążył jeszcze odstawić osłony kominka, dzięki czemu pomieszczenie pogrążone było w mroku, a prawdopodobieństwo, że zostanie rozpoznany – niewielkie.

Colin, choć mentalnie przygotowany na jej reakcję, okazał się zupełnie bezbronny wobec własnej reakcji na nią. Widok Amelii stojącej przy drzwiach – obok łóżka – poraził go niczym grom, uwalniając z jego zaciśniętego gardła władczę, prymitywne warknięcie. Słyszając je, zadrżała, oddech jej przyspieszył, a wargi rozchyliły się.

Zacisnął dłonie opuszczonych rąk w pięści. Czy wiedziała, jak na niego działa?

Tymczasem Amelia stała przed drzwiami dumna i niczym niezrażona. Na głowie miała zawiązany pod szyją, modnie przekrzywiony kapelusz, a jej drobną sylwetkę okrywała suknia z połyskującej satyny i delikatnej białej koronki. Jej niewinny krój odejmował Amelii lat i Colin poczuł, jak robi mu się gorąco i narasta w nim napięcie. Z jednej strony ciągle ją kochał i otaczał wciąż żywym, chłopięcym uwielbieniem, a z drugiej – pożył każdą kroplą swej cygańskiej krwi.

– Proszę, powiedz chociaż, że nie podróżowałaś samotnie – rzucił, bo myśl o tym, że taka piękność mogła być narażona na niebezpieczeństwo, wydawała mu się nieznośna. Amelia była skarbem – skarbem, który należało chronić i cenić. Zdenerwował się na samą myśl, że w podróży mogło spotkać ją coś złego.

– Jestem pod ochroną – rzekła, a jej oczy błysnęły w mroku. Potem zapytała szeptem:

- Gniewasz się na mnie?
- Nie – wychrypiął. Serce wybijało mu w piersi gwałtowny rytm.
- Ta maska... – zaczęła i wzięła głośny wdech. – Większość mężczyzn w stroju wieczorowym wygląda bardzo sztywnie. A ty...
- Amelio.
- ...zawsze mnie pociągasz. Niezależnie od tego, co masz na sobie i gdzie jesteśmy.

Zamknął oczy. Słowa pochwały, które wypowiedziała, podziały na niego jak smagnięcie biczem. Bezwolnie postąpił krok w jej stronę, po czym gwałtownie się zatrzymał. Pokój nagle wydał mu się zbyt mały i bardzo duszny. Poczł natychmiastową, nieodpartą

potrzebę zerwania z siebie i z niej każdej sztuki odzieży. Pragnienie to przybierało na sile, wbijało się w niego zębami i pazurami, wołało o zaspokojenie.

– Cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytała cicho.

Colin potrząsnął głową i otworzył oczy, bo nie mógł znieść braku jej widoku.

– Twój widok zaraz mnie zabije.

Jej drobną sylwetkę i delikatne rysy przepełniła czułość, która natychmiast ugodziła prosto w jego serce.

– Kusi mnie pragnienie, które w tobie wyczuwam. – Uczyniła krok do przodu, a on uniósł rękę, by ją powstrzymać, zanim zanadto się zbliży. – O ile tylko ty mnie zechcesz, ja zechcę ciebie w zamian.

– Och, od dawna chciałbym przestać cię pragnąć – odezwał się chrapliwym głosem – o ile tylko byłoby to możliwe.

Przyglądała mu się z przekrzywioną głową.

– Kłamiesz.

Nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Nadal była zuchwała.

– Bo to, że mnie pragniesz, sprawia ci przyjemność – dokończyła z czysto kobiecą satysfakcją.

– Znacznie większą przyjemność sprawiłoby mi, gdybym mógł cię mieć – mruknął.

Kiedy przeniosła wzrok na łóżko, penis Colina osiągnął pełny wzwód. Wysunęła język, by oblizać dolną wargę. Z jego piersi wyrwało się głucho, chrapliwe stęknienie.

– Wróć ze mną – zaproponowała, omiatając wzrokiem jego postać. – Poznasz moją rodzinę. Moja siostra z mężem ci pomogą. Niezależnie od tego, co cię trapi, pomogą ci się z tym uporać.

Serce Colina zacisnęło się. Powinien odmówić... Nie ma prawa zgodzić się na to, by w jej życie wdarło się najmniejsze niebezpieczeństwo...

Ale możliwość, że mógłby ją osiąść teraz... Bez dłuższego czekania, bez dalszego ukrywania się...

Była noc. Tuż obok stało łóżko. Byli sami. Jego najśmielsze fantazje stały się rzeczywistością.

Postąpił jeszcze jeden krok w jej stronę.

– Jest coś, co muszę ci wyznać. Coś, co będzie ci trudno zrozumieć. Masz czas, aby mnie wysłuchać?

Uniosła rękę w rękawiczce i wyciągnęła ją w jego stronę.

– Mam tyle czasu, ile potrzebujesz.

– A twoja obstawa?

– Pije na dole – odpowiedziała z uśmiechem. – Oczywiście skłamałam. Wskazałam na kogoś innego i powiedziałam, że podejrzewam, iż ta osoba to ty. Tim jest więc zajęty obserwowaniem go, natomiast ja rozpytałam się dyskretnie i tak oto cię znalazłam. Masz nieprzeciętną sylwetkę, jesteś taki wysoki i postawny, że pokojówki z łatwością cię zapamiętały.

– A co z twoją reputacją? Młoda kobieta wysokiego urodzenia rozpytuje w karczmie o kawalera?

– Kiedy tylko dowiedziałam się, gdzie jesteś, wyraziłam ulgę z odnalezienia brata, który ma na sobie ciemnozielone ubranie.

Colin zerknął na swój niebieski strój. *Dobry Boże, czy to prawda? Czy to prawda, że może ją mieć?*

Rozpromieniła się, dumna ze swojego sprytu.

– Zadała sobie pani wiele trudu, by mnie znaleźć, panno Benbridge.

– Amelio – poprawiła go. – Tak, owszem.

Uśmiechnął się.

– Odwróć się więc i stań twarzą do drzwi.

Amelia zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę do ciebie podejść, a nie jestem pewien, czy w tym świetle będziesz widziała moją twarz. – Widząc, że się waha, dodał: – To ty mnie ścigasza. To ty mnie pragniesz. Oddam ci się w pełnym znaczeniu tego słowa, ale pod warunkiem że nie będziesz kwestionować tego, czego od ciebie zażądam. Czy to cię przeraża?



Ciężko przełknęła ślinę. Oczy miała szeroko otwarte, a źrenice tak wielkie, że tęczęówek prawie nie było widać. Potrząsnęła głową.

– A więc podnieca cię to – mruknął. Zalewała go gorąca, nieokiełznana żądza, która równocześnie łagodziła towarzyszące mu od dawna, nieustanne napięcie. Kiedy był z Amelią, inicjatywa zawsze należała do niego. Perspektywa robienia tego w łóżku rozpalala go do czerwoności.

– Odwróć się.

Posłusznie stanęła przodem do drzwi. Colin, nie obawiając się już, że zostanie zbyt wcześnie rozpoznany, podszedł do niej kilkoma zdecydowanymi krokami. Zatrzymał się tuż za jej plecami, wdychając słodki zapach wiciokrzewu. Dłonie ułożył płasko na drzwiach po obu stronach jej głowy.

Nie mógł oderwać wzroku od pulsującej żyłki na szyi, która coraz szybszym falowaniem zdradzała przyspieszone bicie serca dziewczyny.

Na dźwięk przesuwającej się zasuwę w drzwiach zeszytniał i odwrócił wzrok.

Czynność ta – zamknięcie drzwi na zasuwę – choć prosta, podniecała go jak nic dotąd. To *ona* chciała, aby ją wziął, zdarł z niej ubranie i do nieprzytomności pieprzył jej drobne, słodkie ciało.

Choć dobrze o tym wiedział, pragnął usłyszeć to z jej ust.

– Nie ma szans, abyś wyszła z tego pokoju dziewczycą, jak do niego weszłaś – mruknął, gładząc językiem pulsujące miejsce na jej szyi.

W odpowiedzi sięgnęła po stojące przy drzwiach krzesło i, odpychając się od niego, mocniej naparła na Colina, dzięki czemu między nią a drzwiami powstała przestrzeń, wystarczająca, by zablokować zasuwę.

– Spodziewasz się, że ktoś będzie nam przeszkadzał? – zapytał z rozbawieniem w głosie i w sercu. – Czy chcesz po prostu być odcięta od świata?

Serce ścisnęło mu się na myśl, że Amelia chce zapomnieć o całym świecie, by być tylko z nim. Jako dziewczynka obiecała, że tak właśnie zrobi. Czy jako kobieta dotrzyma tej obietnicy?

– Zakładasz, że robię to, aby nikt tu nie wszedł. – Na jej ustach wykwitł zalotny uśmiech. – Skąd wiesz? Być może robię to po to, abyś ty stąd nie wyszedł.

Colin odrzucił głowę w tył i roześmiał się, a jego ramiona otoczyły ją i mocno przycisnęły.

– Ach, kochanie. Jak się cieszę, że jesteś tak pełna wigoru.

– Jak widzisz, groźba kochania się mnie nie przeraża – odparowała.

Nie. Ale jego tożsamość mogłaby wprawić ją w przerażenie. Ta myśl natychmiast go ostudziła. Gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Amelio, zanim zacniemy, koniecznie musisz zobaczyć moją twarz i usłyszeć o mojej przeszłości.

Jej napięcie było tak silne, że aż wyczuwalne.

– Czy to, że zobaczę twoją twarz, zmieni moje uczucia do ciebie?

– Z całą pewnością tak.

– W takim razie niczego nie odslaniaj.

Mrugnął zdziwiony.

– Co chcesz powiedzieć?

– W tej chwili czuję się tak, jakbym nie umiała bez ciebie oddychać – oznajmiła niskim, szczerym tonem. – Nie chcę, abyś teraz pozbawiał mnie złudzeń. Nie po tych długich latach, kiedy wszystko było mi obojętne. Kiedy czułam się tak, jakbym szła przez życie w woalce. Tylko kiedy jestem z tobą, widzę świat we wszystkich barwach.

Przycisnąwszy policzek do jej policzka, wyszeptał:

– Powinnaś bardziej cenić swe dziewictwo. Nie mogę cię posiadać.

Jednym ruchem odwróciła głowę i przycisnęła usta do jego ust.

Nagle doznanie całkowicie go oszołomiło. Po chwili – niewyobrażalnie rozbudziło. Czuł, że Amelia się rusza, nie był jednak w stanie oderwać się od niej, by sprawdzić, dlaczego. Gładził

językiem jej wargi, zlizywał z niej jej własny, słodki, niewinny smak. Smak ten uzależniał go i niszczył. Sprawiał, że pokusa stawała się nie do odparcia. Kiedy jej nagie palce owinęły się wokół jego nadgarstka, by unieść jego rękę do jej piersi, wiedział już, że dalsze opieranie się nie ma sensu. Po prostu nie zdołał wyjawić, kim jest. Wymagałoby to bardzo dużo taktu.

– Widzę cię całym sercem – powiedziała bez tchu, poruszając ustami przyciśniętymi do jego ust. – Chcę cię mieć, kiedy czuję do ciebie dokładnie to, co w tej chwili. Kiedy jestem dzika, gorąca i wolna. Czy to czyni mnie nierozważną i naiwną? Uważasz, że jestem głupia? Zbyt prędka?

Z każdym wypowiedzianym przez nią słowem czuł, że coraz bardziej twardnieje i w takim samym stopniu traci kontrolę nad sobą. *Dzika. Gorąca. Wolna.* Te trzy słowa działały na Colina niczym najsilniejsza pokusa. Amelia tak długo żyła poza właściwym dla jej sfer światem, że łatwiej przychodziło jej naruszanie jego granic. Podejrzewał, że to właśnie dlatego byli do siebie podobni. W duszy oboje pragnęli złapać się za ręce i roześmiani, niczym nieskrępowani, rzucić się biegiem przez łąkę.

Colin wyciągnął rękę, by odpiąć ozdobną broszę, spinającą jej koronkową chustę.

– Czy mogę zasłonić ci oczy? – zapytał mrocznym głosem. – Czy to ostudzi twój zapal?

Próbowała odwrócić głowę, by spojrzeć mu w oczy, ale zatrzymał ją pocałunkiem.

– Nie pozwolę, by odkrycie mojej twarzy nastąpiło podczas naszego zbliżenia. Nie chcę, aby cokolwiek przyćmiło nasz pierwszy raz. Zbyt długo na to czekałem, za bardzo tego pragnąłem, by teraz coś miało zakłócić nam tę chwilę.

Skinęła głową i stała bez ruchu, kiedy zarzucił jej drogocenną koronkową tkaninę na twarz, a potem mocno zawiązał ją wokół głowy.

– I jak się czujesz?

– Dziwnie.

– Nie ruszaj się – rzekł Colin, po czym wycofał się i zrzucił płaszcz. Rozwiązał krawatkę, a potem zaczął odpinać ozdobne guziki z masy perłowej u kamizelki.

– Rozbierasz się? – spytała.

– Tak.

Uśmiechnął się, widząc, że przechodzi ją dreszcz. Jak cudownie i zmysłowo wyglądała z nabrzmiałymi od pocałunków wargami i zasłoniętymi oczami. Należała do niego, mógł się nią cieszyć i smakować jej. Pietro usiłował zniechęcić go do Amelii, motywując, że Angielkom brak ognia, którego potrzebują Cyganie. Colin nie chciał mu wtedy wierzyć. Teraz również miał pełne przekonanie, że wuj się mylił.

Jej śliczne piersi unosiły się i opadały w przyspieszonym oddechu, a dłonie rytmicznie zaciskały się w pięści. Była dojrzała i gotowa. Jak oaza na pustkowiu jego życia.

Colin pospiesznie zdjął kamizelkę, rzucił ją na oparcie krzesła i wrócił do dziewczyny.

– Chcę, abys mi mówiła, co czujesz. Co jest przyjemne, a co nie. Jeśli skłamiesz, od razu będę wiedział. Ciało cię zdradzi.

– Więc po co mam mówić?

– Dla własnego dobra. – Gładził jej ramiona, po czym sięgnął do rzędu maleńkich guziczków, wyznaczających linię kręgosłupa. – Mówienie zmusi cię do drobiazgowego myślenia o tym, co robisz. Nerozerwalnie zwiąże cię z tą chwilą i z przyjemnością, jakiej doznasz.

– Zwiąże mnie z tobą.

– Tak, to również. – Pocałował ją w szyję. – Doda ci mocy, zdradzi twoje pragnienia. Możesz się wahać, czy mnie dotknąć, nie być pewna, co wolno, a czego nie wolno. Ale kiedy wyczujesz, jaką przyjemność sprawiają mi odgłosy twojej rozkoszy, dowiesz się, co znaczy zbliżenie dwojga kochanków, z których każdy odgrywa równie ważną rolę.

- 
- To brzmi tak intymnie – szepnęła.
  - I dla nas, najdroższa, właśnie takim będzie.

## ROZDZIAŁ 9

---

Ware wszedł do gabinetu St. Johna chwilę po dziesiątej wieczór. Pirat przechadzał się niespokojnie między biurkiem a znajdującym się zaraz za nim oknem. Hrabia nigdy dotąd nie widział go w stanie takiego niepokoju. Bez marynarki i w wygniecionej krawatce St. John sprawiał wrażenie człowieka, któremu sprawy wymknęły się spod kontroli. Kiedy Ware to sobie uświadomił, po plecach przeszły mu ciarki. Na podjeździe przed domem czekał już powóz podróżny, co świadczyło o planowanej dłuższej wyprawie.

– Milordzie – powitał go nieprzytomnie St. John.

– St. John – odezwał się Ware, po czym nie zwlekając, przeszedł do sedna. – Co się stało?

Pirat okrążył biurko i podszedł do pobliskiego stolika, na którym stała karafka, po czym podniósł ją w niemym pytaniu. Ware potrząsnął głową i przysiadł na jednej z kanap, ustawionych prostopadle do kominka. Przybył właśnie po Amelię, by zabrać ją na zaplanowane na ten wieczór wyjście. Zwykle nie kazała mu czekać. Bardzo cenił jej punktualność.

– Nie znajduję sposobu, by bez zażenowania zrelacjonować wydarzenia dnia – zaczął St. John, nalewając sobie hojną porcję trunku.

– Nic nie szkodzi. Wolę szczerą niż owijanie w bawełnę. St. John skinął głową i usiadł na przeciwległej kanapie.

– Pani St. John i panna Benbridge wybrały się dziś do miasta. Powiedziano mi, że miały zamiar spędzić dzień na zakupach. Potem dowiedziałam się, że ich prawdziwą intencją było odnalezienie mężczyzny, skrywającego się za maską – tego samego, którego Amelia ostatnio darzyła wielkim zainteresowaniem.

Ware uniósł brwi.

– Rozumiem.

– Niewiarygodnym zbiegiem okoliczności spostrzegły hrabiego Montoyę – jeżeli oczywiście to jego prawdziwe nazwisko – w chwili gdy wyjeżdżał z Londynu. Panna Benbridge zatrzymała dorożkę i ruszyła za nim w pogoń. Moja żona udała się w jej ślady.

– Niech to diabli.

– Czy teraz odmówisz drinka, milordzie?

Hrabia namyślił się głęboko, po czym potrząsnął głową.

– Zacząłem już własne dochodzenie w sprawie tego człowieka. Miałem nadzieję, że lady Langston pomoże mi go zidentyfikować, ale okazało się, że nie wystawiła zaproszenia na nazwisko Montoya.

St. John ponuro wydał usta.

– Nie mam jasności co do tej sprawy. Gdyby ów człowiek zamierzał ją w jakiś sposób skrzywdzić lub uwieść, po cóż opuszczałby Londyn?

Wśród wielu uczuć, z którym zmagał się w tamtej chwili Ware, zazdrość i zaborczość brały oczywiście górę, ale równie ważne miejsce zajmowało zrezygnowanie. Gdzieś w głębi duszy hrabia wiedział bowiem, że Amelia nie spieszy się do ślubu, ponieważ potrzebuje... *czegoś więcej*. Na razie nie umiał określić, czego, ale czuł, że ich związek nie może rozwijać się ani zdążać w kierunku szczęśliwego spełnienia, jeśli ów brak nie zostanie zaspokojony.

– Muszę przyznać, że w takim razie jestem zdziwiony, że zastaję cię w domu – rzekł hrabia. – Amelia nie jest moją żoną, a mimo to czuję nagłą potrzebę, by jak najszybciej ruszyć na poszukiwania.

Spojrzenie, które rzucił mu pirat, było tak wściekle, że omal nie zbiło go z nóg.

– Czuję, że oszaleję, jeśli natychmiast nie wyruszę na poszukiwania, nie mam jednak pojęcia, w którym kierunku odjechały. Czekam na wieści.

– Wybacz, nie miałem zamiaru cię urazić. Wyraziłem po prostu swoje spostrzeżenie. – Ware rozważył możliwe opcje, po czym dodał: – Chciałbym wyruszyć z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

St. John początkowo sprawiał wrażenie, jakby był temu niechętny, ale po chwili rozchmurzył się i skinął głową:

– Jeżeli chcesz, proszę bardzo. Ale formalny strój będzie tu raczej przeszkodą.

Ware wstał. Pirat natychmiast poszedł w jego ślady.

– Przebiorę się więc i przygotuję lekki bagaż. Gdybyś wyjechał, zanim wrócę, zostaw wskazówki, gdzie cię szukać.

– Oczywiście, milordzie. – St. John posłał mu uśmiech pełen współczucia. – Powinienem cię przede wszystkim przeprosić. Twoje zaloty są dla Amelii prawdziwym błogosławieństwem. Pani St. John i ja, oraz oczywiście sama Amelia, jesteśmy ci za to niezmiernie wdzięczni.

– St. John – zaśmiał się smutno Ware. – W tej chwili moja osobista duma nie ma najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko bezpieczeństwo Amelii.

Na znak wzajemnego szacunku uściśnieli sobie ręce. Potem hrabia pospiesznie oddalił się, by zdążyć wrócić, zanim St. John otrzyma wiadomość. Kiedy jego powóz ruszył sprzed rezydencji pirata, hrabia w myślach sporządzał już listę bagażu.

Znalazły się na niej oczywiście jego szabla i pistolet. Gdyby okazało się, że honor Amelii został wystawiony na szwank, jego obronę uważał za swoje prawo i obowiązek.



Colin rozpiął guziczki z tyłu sukni Amelii, myślami wybiegając daleko naprzód. Zastanawiał się, w jaki sposób ta wspólna noc na zawsze odmieni ich życie.

– Masz ze sobą służącą?

U większości kobiet opaska na oczy wywołałaby onieśmienie i wahanie. Nie stało się tak w przypadku Amelii, która odpowiedziała głosem śmiały i mocny.

– Nie. Kiedy zobaczyłam twój powóz, po prostu uciekłam.

Walcząc z prymitywną żądzą, by natychmiast naznaczyć ją jako swoją, Colin wciąż chciał ją chronić – choćby i własnym kosztem.

– Nie uda ci się ukryć tego, że zostałam zgwałcona. W ogniu namiętności opuszcza nas zdrowy rozsądek. Rano możesz żałować, że zrobiłaś to, czego teraz pragniesz.

– Wiem, co robię – odparła uparcie.

– A więc porzucisz Ware’a – powiedział, delikatnie uwalniając z rękawa najpierw jedną, a potem drugą jej rękę. – I będziesz moja.

– Uważam, że to raczej ty staniesz się mój.

Uśmiechając się, przykucnął i pociągnął w dół jej suknię. Nie musiał zachęcać Amelii, by z niej wyszła. Zrobiła to sama, opierając się ręką o drzwi dla zachowania równowagi. Celowo odraczał chwilę, kiedy zobaczy ją bez wierzchniej odzieży. Niespiesznie odłożył suknię na oparcie fotela, układając ją ostrożnie, by jak najmniej się pogniotła.

– Jesteś taki spokojny – wymruczała. – Cały czas pod kontrolą. Musiałeś mieć wiele romansów.

– To nie jest romans – rzekł, odwracając głowę, by ogarnąć gorącym spojrzeniem jej drobne ciało. Wciąż miała na sobie za dużo ubrań, ale i tak wiedział, że taką nie widział jej jeszcze żaden mężczyzna.

Oparła rękę na biodrze, a nad koronkową chustę wysunęła się uniesiona brew.

– A może ja chcę romansu.

– Cóż. Ze mną go nie przeżyjesz – warknął, podchodząc do niej dwoma długimi, pewnymi krokami. Uniósł ją w górę, tak że jej stopy oderwały się od podłogi. – Nie przeżyjesz go też z nikim innym, bo po mnie już nikt nie będzie miał wstępu do twojego łóżka.

Amelia zaśmiała się i objęła go za szyję.

– Och... Jesteś cudowny, kiedy stajesz się taki zaborczy.

Przycisnął usta do jej ucha.

– Poczekaj, aż będę w tobie. Zobaczysz, jaki wtedy będę cudownie zaborczy.

– Prowokujesz – rzuciła szeptem, z lekkim niepokojem w głosie.

– Jeżeli tak dalej pójdzie, to słońce wzejdzie, a ja wciąż będę ubrana.

– Nie musisz być rozebrana, żeby się ze mną pieprzyć – szepnął, posługując się niewybrednym słowem specjalnie, by rozbudzić Amelię. – Mógłbym już teraz zadrzeć twoje halki, rozpiąć spodnie i przycisnąć cię do drzwi.

– Jeżeli twoim zamiarem jest mnie przestraszyć, to musisz wiedzieć, że nie jestem bojaźliwa. – W jej głosie nie było już słycać zdenerwowania. Zastąpił je imponujący hart ducha. – Dane mi było mieszkać w najbardziej prymitywnych warunkach. Widziałam, jak zwierzęta robiły ze sobą różne rzeczy.

Ukrył uśmiech w delikatnej skórze jej szyi.

– Nie urządzaj sobie ze mnie pośmiewiska – ostrzegła go. – Wiem, że twoja groźba jest bezpodstawna. Nie pozbawisz mnie dziewictwa w tak bezduszny sposób. Za bardzo mnie uwielbiasz.

– Tak jest, wasza wysokość. – Postawił ją z powrotem na podłodze, ukląkł przy niej i ucałował jej stopę.

Roześmiała się, a on sunął ustami w górę, pod masy halek i obfite falbany spódnicy, okrywając jej obleczone w pończochy nogi zmysłowymi pocałunkami. Jej śmiech zamienił się w stłumiony okrzyk, a potem – łagodne popiskiwanie.

Jej intymny zapach doprowadzał go do szaleństwa. Colin na próbę dotknął jej palcem, a kiedy stwierdził, że już jest wilgotna i gorąca, zacisnął zęby. Amelia, zdumiona tą bezczelną pieśczołą, zachwiała się i z głuchym łomotem osunęła się na drzwi.

– Nie, kiedy stoje! – zaprotestowała.

Colin ostatni raz przycisnął usta do wewnętrznej strony jej kolana, a potem wyczołgał się spod sukni i wyprostował się przed nią. Obrócił ją delikatnie, po czym rozpoczął mozolne rozwiązywanie tasiemek jej gorsetu, wykorzystując to zajęcie dla odzyskania kontroli nad sobą. Zamiast na zwierzęcej żądzy, która z nieubłaganą siłą się w nim gromadziła, starał się skupić na oddechu – własnym i Amelii.

W końcu została w samej koszulce, uszytej z tkaniny tak delikatnej, że prawie prześwitującej. Już sam zarys jej ciała pod bielizną doprowadzał go do szaleństwa.

– Chcę, żebyś sama zdjęła resztę – rzekł, cofając się o kilka kroków.

– Dlaczego?

– Bo sprawi mi to przyjemność.

– To nie takie łatwe, jak sugerujesz. Nigdy dotąd nie stałam naga przed mężczyzną.

– Zrób to, Amelio – rozkazał, umierając z pragnienia, by wreszcie zobaczyć ją w pełnej krasie.

Nie wahając się ani chwili dłużej, schyliła się, by zdjąć buty. Sięgając do wstążek, przytrzymujących pończochy, musiała podwinąć rąbek koszuli. Na ten widok pociekła mu ślina – każdy jej ruch wywoływał podobne wspomnienia z dalekiej przeszłości. Żadna inna kobieta nie mogła równać się z Amelią, która rozbierała się z dziewczęcą niewinnością i skromną prostotą. Jej ruchy nie były wyćwiczone ani zamierzone, by go uwieść, ale właśnie takie podniecały go do granic wytrzymałości.

Zwijając się z pożądania, rozpiął spodnie i wziął do ręki penisa. Był już twardy i nabrzmiały, a na czubku – wilgotny od naglącej

potrzeby. Gładząc go powoli po całej długości, jęknął z niecierpliwości.

Amelia zamarła, niepewna, czy zrobiła coś nie tak.

– Co to? Co się stało?

– Nic się nie stało – zapewnił ją Montoya ochryple, niewyraźnie wymawiając słowa. – Wszystko doskonale.

Słuchała uważnie, starając się zapanować nad przyspieszonym oddechem, który zagłuszał jej resztę odgłosów.

– Co robisz? Słyszę, że się ruszasz.

– Pieszczę się.

Jej wyobraźnia wypełniła się obrazami – niepełnymi ze względu na jej brak doświadczenia, ale i tak podniecającymi. Delikatne tkanki między jej nogami zaczęły pulsować. Zacisnęła uda, by dać odpór dziwnemu uczuciu, ale na próżno.

– Dlaczego?

– Bo czuję ból, kochanie. Jestem już twardy i gotowy. Twardszy i grubszy nie byłem nigdy.

– Mogę cię dotknąć?

Wydał dziwne, stłumione chrząknięcie, a odgłosy jego ruchów przybrały na sile.

– Najpierw się obnaż.

Amelia pospiesznie skończyła się rozbierać. Celowo starała się odrzucić na bok myśli o swoich niedoskonałościach. W przeciwieństwie do Marii jej ciało pozbawione było dorodnych krągłości, które tak lubili mężczyźni. Była dużo wyższa i szczuplejsza od siostry, a jej piersi – mniejsze. Cóż, za bardzo lubiła jazdę konną i szermierkę, mniej natomiast grę w karty i przesiadywanie przy herbacie.

– Mój Boże – jęknął, kiedy jej koszula osunęła się na podłogę.

Ręce Amelii bezwiednie uniosły się w górę, by wstydliwie zakryć nagość, ale Colin kilkoma szybkimi krokami znalazł się przy niej i chwycił ją za nadgarstki.

– Nie zasłaniaj się przede mną. Nigdy.

– Wstydzę się – odparła.

– Moja najdroższa... – Przycisnął ją do siebie tak, że poczuła jego erekcję – gładką niczym jedwab, a jednocześnie twardą jak skała i gorącą. Mimo szoku jej ciało rozkoszowało się doznaniem i coraz bardziej wilgotniało.

– Jesteś taka piękna, Amelio. Każdy centymetr twojego ciała. Marzyłem, by cię taką zobaczyć – nagą i chętną. Och, jakie żalodne były te fantazje w porównaniu z rzeczywistością.

Przycisnęła czoło do jego piersi i odparła:

– Tylko starasz się być miły.

Montoya położył jej rękę na swoim członku i zacisnął wokół niego jej palce.

– Tak nie zachowuje się mężczyzna niezadowolony z wyglądu swojej kochanki.

Amelia poruszyła palcami, ściskając, pieszcząc i odkrywając. Wytężony oddech zaświszczał mu między zębami.

– Uważaj, bo nie wytrzymam – stęknął.

– Jeżeli sprawi ci to przyjemność, to proszę bardzo – odparła, pragnąc ofiarować mu jak najwięcej rozkoszy. Zaspokoić go tak, aby na zawsze już należał do niej.

– Kokietka.

Zamarła w chwili, kiedy duża, ciepła ręka spoczęła na jej piersi. Jej sutek, i tak twardy i sztywny od chłodnego powietrza, natychmiast napiął się jeszcze bardziej.

– Patrz, jak idealnie mieścisz się w mojej dłoni – mruknął, w rytm jej ruchów napierając na nią biodrami. – Zostałaś dla mnie stworzona, Amelio. – Kiedy kciukiem i palcem środkowym pociągnął ją za sutek, wysyłając prosto do jej łona fale nieznośnej rozkoszy, zajęczała. Wszystko ścisnęło się w niej i wilo, powodując, że musiała się nieustannie poruszać.

– I jak szybko na mnie reagujesz. – Odchylił się, a moment później Amelia poczuła, że wrażliwe ciało wokół jej sutka otacza mokre i gorące ssanie. Wijąc się w konwulsjach, złapała rękami za

jego członek, a on warczał prosto w jej skórę, wywołując przy tym wibracje, które doprowadzały ją do szaleństwa.

Jego silne ręce otoczyły jej talię i podtrzymały, by nie upadła, kiedy odchylił jej tułów do tyłu i pieścił jej pierś kolistymi ruchami języka, a potem wysał ją tak intensywnie, że zapadały mu się policzki.

Stało się dokładnie tak, jak zapowiadał – opuściły ją wszelkie myśli, a na ich miejsce wtargnęły zmysły i namiętność. Pozbawiona wszelkiego rozsądku, poczuła jeszcze silniejszą więź z Montoyą. Na świecie istniał prócz niego tylko jeden mężczyzna, któremu chciały w ten sposób oddać swoje ciało. Fakt, że Montoyę spowijały mrok i tajemnica, nie miał żadnego wpływu na emocje, które w niej rozbudzał.

– Powiedz, że to uwielbiasz – rzekł, przesuając się do drugiej piersi. – Powiedz to, Amelio. Nie bądź cicho.

Złapał ją zębami za twarde sutek, aż krzyknęła. Zaczął ją lizać, powolnymi do szaleństwa ruchami języka. To jej nie wystarczało, już nie. Zaczęła jęczeć, więc się, wyginać plecy, by jeszcze głębiej znaleźć się w jego ustach.

– Czego pragniesz? – zapytał ciężkim szeptem. – Czego chcesz? Powiedz, a zrobię to.

Zdesperowana, zaczęła błagać:

– Ssij... proszę... Chcę.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy usłuchał i zamknął ustami jej pierś. Jego penis pulsował w jej rękach, a po palcach pociekła gorąca strużka. Dotknęła jej, powiodła jej śladem i odkryła, że jej źródłem jest maleńka dziurka na czubku. Opuszką kciuka delikatnie rozsmarowała ciecz dookoła dziurki. Montoya zadrzał i jeszcze mocniej wessał się w jej ciało.

Ponieważ nic nie widziała, jej pozostałe zmysły wyostriły się i reagowały z przesadną wrażliwością. Jego skóra rozgrzała się i nozdrza Amelii wypełniły się jego niepowtarzalnym zapachem, potęgując jej pożądanie. Jej ciało reagowało teraz na dotyk niemal

bólem, nawet najłżejszy powiew powietrza wywoływał uczucie kłucia i szczypania.

– Proszę – jęknęła, pragnąc więcej.

Montoya niechętnie wypuścił z ust jej sutek, wyprostował się i pociągnął ją za sobą. Potem wziął ją na rękę i podszedł do stojącego obok łóżka.

Kiedy powóz Marii zjechał z głównej drogi i wtoczył się na podwórze gospody niedaleko Reading, Simon był w paskudnym humorze. Dwóch ludzi St. Johna pojechało naprzód, nie czekając na poruszające się wolno, obciążone powozy. Jeśli im się poszczęści, niedługo wrócą, przywożąc dalsze wskazówki, a może nawet wiadomość o konkretnym miejscu pobytu Amelii.

Cały dzień ułożył się w ciąg niepowodzeń. Dorożkarz, który wioził Amelię, wysadził ją i Tima dość szybko, odmawiając podróży poza granice miasta. Przesiedli się do innego powozu i ruszyli w dalszą pogoń. Taki rozwój wydarzeń można było zresztą łatwo przewidzieć. Nie to jednak najbardziej martwiło Simona. Niepokoiły go relacje o sporej liczbie mówiących po francusku jeźdźców, zmierzających w tym samym kierunku, daleko przed nimi.

To mogło nic nie oznaczać, ale równie dobrze mogło to oznaczać Cartlanda.

Simon chciał przy kolacji podzielić się swoimi obawami z Marią, ale równocześnie czuł głęboką lojalność wobec Colina, który niejednokrotnie narażał dla niego swoje życie. Ostatecznie postanowił milczeć i nie zdradził się ani słowem, kiedy żegnali się, rozchodząc się do swoich pokojów na noc.

Ani on, ani Lysette nie przygotowali się do wyjazdu i nie mieli ze sobą żadnego bagażu. Nie wzięli z Londynu ani odzieży na zmianę, ani służby. Co więcej, ich powóz nie nadawał się do tak długiej jazdy, co okupili bolącymi siedzeniami i zeszytwniałymi plecami.

Na szczęście Colin wspominał, że zamierza jechać do Bristolu, co dawało Simonowi niewielką przewagę. Delikatnie nakłaniał więc Marię, by kierowali się w tamtą stronę. Wysłał też umyślnego do kwatery w Londynie, by poinformował jego kamerdynera o zmianie planów. Wiedział, że ten dopilnuje uregulowania rachunku i spakowania rzeczy, a także zadba o to, by zabrać służącą i bagaże Lysette.

Na myśl o Francuzce jego wzrok powędrował w miejsce przy kominku, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała. Z konieczności musieli dzielić sypialnię – przybyli tak liczną grupą, że zajęli wszystkie wolne pokoje w gospodzie. Maria srodze narzekała na kiepskie warunki noclegu i upierała się, że któryś ze współpracowników St. Johna w okolicy mógłby zapewnić im znacznie wygodniejszą kwatery. Nie mogła zrozumieć Simona, który za nic nie chciał się oddalać od głównej drogi. Simon doceniał wagę jej argumentów. Z drugiej strony nie mógł dopuścić, by Maria dowiedziała się, że kłamał, wspominając o planowanym dniu pobytu w Londynie. Podstęp natychmiast wyszedłby na jaw, gdyby zobaczyła go w tym samym ubraniu.

Lysette westchnęła lekko, przyciągając jego spojrzenie. Siedziała skulona w fotelu, z nogami podwiniętymi pod siebie, w samej koszuli, okryta pledem. Jasne loki, wcześniej upięte w wyszukaną fryzurę, leżały teraz rozsypane na bladej, kremowej skórze. Jak to miała w zwyczaju – czytała. Żarłoczność, z jaką pochłaniała całe tomy tekstów o tematyce historycznej, dawała do myślenia. Czemu aż tak interesuje ją przeszłość? Przecież mieli tylko dyskretnie popytać, a ona i tak wzięła ze sobą książkę.

Simon ze zmarszczonym czołem zbliżył się do łóżka i rozebrał do bielizny, po czym wślizgnął się do pościeli i spod współprzymkniętych powiek przyglądał się Lysette. Podziwiał jej delikatną, złocistą urodę i nie rozumiał, dlaczego zupełnie go nie pociągała. O ile pamiętał, była to jedyna sytuacja w życiu, kiedy równie atrakcyjny czynnik zewnętrzny nie zdołał odciągnąć jego uwagi od gryzących



go trosk. Przyszło mu do głowy, że Lysette dorównuje urodą Marii. Wniosek ten sprawił go w zdumienie.

Te dwie kobiety pod wieloma względami były do siebie podobne, co tylko uwydatniało różnice między nimi. Marię cechował nieugięty trzon – żelazny kręgosłup moralny, postawa niezachwianego zdecydowania. Lysette zdawała się czasem niepewna podejmowanych decyzji. Simon nie potrafił zrozumieć, dlaczego raz rozkoszowała się swoją rolą, a za chwilę mogła jej nienawidzić.

Coś z nią było nie tak, a w życiu nauczył się całkowicie wierzyć swojemu instynktowi. Intuicja mu podpowiadała, że w świecie Lysette nie wszystko dobrze się układało. Była najemnym zabójcą, więc z wybranym zajęciem doskonale współpracował jej lodowate usposobienie. Mimo to obojętność wobec innych przeczyła jej krótkim przeblyskom zakłopotania i wyrzutów. Podejrzewał, że musi być trochę pomyłona. Trudno mu było jednocześnie współczuć tej kobiecie i okazywać jej antypatię.

– Jak to się stało, że zaczęłaś pracować dla Talleyranda? – zapytał.

Podskoczyła i przeniosła na niego wzrok.

– Myślałam, że śpisz.

– Oczywiście, nie.

– Nie pracuję dla Talleyranda.

– W takim razie – dla kogo?

– To nie twoja sprawa – odparła chytrze.

– Och, myślę, że jednak moja – przekomarzał się.

Jej oczy zwięzły się.

– A ty, dla kogo pracujesz? – przypuściła na niego nieoczekiwany atak.

– Dla nikogo. Jestem najemnikiem.

– Hm...

– No więc? – ponaglił, kiedy nic nie powiedziała.

Lysette potrząsnęła głową. Teraz znowu wyglądała na nieco zagubioną. Nosila doskonale skrojone, szykowne suknie, miała

nienaganne manieri i przedstawiała się bez zarzutu. Niewątpliwie jej życie zaczęło się w znacznie lepszych okolicznościach niż te, którym obecnie stawiała czoło. Wiedział, dlaczego Maria wybrała przestępcze życie. Ale co skłoniło do tego Lysette?

– Dlaczego nie znajdziesz sobie bogatego męża i nie zadowolisz się opróżnianiem jego skarbcza? – zapytał.

Zmarszczyła nos.

– Nuda.

– Cóż, wszystko zależałoby od męża, nie sądzisz?

– Tak czy inaczej, takie życie nie wydaje mi się szczególnie pociągające.

– Może w takim razie może lepiej czułabyś się jako czyjaś kochanka?

– Nie przepadam za mężczyznami – odparła, zdumiewając go. – Dlaczego zadajesz mi takie pytania?

Simon wzruszył ramionami.

– A dlaczego nie? Nie mam nic innego do roboty.

– To idź spać.

– Wolisz towarzystwo kobiet?

Przez chwilę patrzyła na niego zdezorientowana, szeroko otwartymi oczami.

– Nie! *Mon Dieu*. Lubię towarzystwo książek, ale kiedy nie mam ich pod ręką, wybieram mężczyzn. Zwłaszcza jeśli chodzi o to, co masz na myśli.

Ku jej przerażeniu uśmiechnął się.

– Dlaczego nie pomyślisz o Cartlandzie? – zasugerowała. – A mnie nie zostawisz w spokoju?

Dobry humor opuścił go w jednej chwili.

– Myślisz, że znajdzie Mitchella?

– To raczej niemożliwe, aby go nie znalazł, biorąc pod uwagę, ile ludzi go poszukuje. Gdyby ich wszystkich zebrać, wyszedłby całkiem spory kontyngent. Byłabym zdziwiona, gdyby nie trzymał pod ścisłą obserwacją głównych ulic Londynu i traktów

wyjazdowych z miasta – odparła. Kiedy mówiła, z jej pięknych rysów zniknęły wszelkie ślady człowieczeństwa. – Nie jechałabym z tobą, gdybym myślała, że to zwykła rodzinna waśń.

– Oczywiście, w to nie wątpię – mruknął, a nikły płomyczek sympatii, którą wobec niej poczuł, zgasł prawie tak szybko, jak się pojawił. Tak właśnie z nim było – w jednej chwili uważał ją za pociągającą, by sekundę później nie móc jej znieść. – A ten człowiek, który jeździ z Cartlandem? Depardue? Myślisz o nim?

– Tylko tyle, ile muszę.

Po ostrym tonie, którego wcześniej nie było w jej głosie, domyślił się, że chodzi o coś więcej.

– To twoja konkurencja, prawda?

Wargi jej zbieleły, ale po chwili odparła:

– Nie. Jego sukces mi nie zaszkodzi.

– Więc dlaczego nie pozwolisz mu działać, a sobie nie oszczędzisz kłopotów?

– Robię to, co do mnie należy – odparła zdecydowanym tonem.

– Nie podoba ci się, że potrafię odstawić na bok emocje i wykonać zadanie, które przede mną stoi? Tylko dzięki tej umiejętności jeszcze żyję.

Simon westchnął ciężko i ułożył się na plecach.

– To, że przeżyliśmy – ty i ja – nie oznacza, że nie możemy mieć serca. Jaki sens miałyby życie, gdybyśmy byli pozbawieni uczuć?

Usłyszał, jak z trzaskiem zamyka książkę.

– Nie waż się mnie pouczać! – ucięła. – Nie masz najmniejszego pojęcia o moim życiu!

– To mi o nim opowiedz – rzucił lekko.

– Dlaczego miałyby ci na tym zależeć?

– Już ci mówiłem, nie mam nic innego do roboty.

– Wolałbyś seks?

Zdziwiony, podniósł głowę. Uniosła brwi i patrzyła mu prosto w oczy.

– Z tobą? – zapytał z niedowierzaniem.

– A widzisz tu kogoś jeszcze? – odparowała.

Ku własnemu niezadowoleniu Simon zdał sobie sprawę, że o ile lubił szybkie i nic nieznaczące numerki, to nie miałby ochoty zafundować sobie takiego z Lysette. Z drugiej strony, szkoda było stracić okazję.

– Chyba moglibyśmy...

Widząc jego oczywisty brak zainteresowania, otworzyła oczy ze zdziwienia. Potem zaśmiała się – słodko i melodyjnie. Uznał to za czarujące. Kto by pomyślał, że taka oschła, bezwzględna istota może mieć taki ciepły śmiech?

– Nie chcesz się ze mną przespać? – spytała z uśmiechem.

Simon spojrzał na nią ponuro.

– Sprostalbym zadaniu – rzucił.

Lysette z premedytacją wpatrywała się w okolice jego krocza.

– Nie sądzę, aby była to prawda.

– Nigdy nie podawaj w wątpliwość męskości mężczyzny, bo tym samym zmuszasz go, aby pieprzył cię do nieprzytomności.

Po jej twarzy przemknął cień. Z trudem przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

Poirytowanie opuściło go. Usiadł i powiedział:

– Tylko żartowałem.

– Oczywiście.

Simon podrapał się po zaroście i przeklął w duchu. Za grosz nie rozumiał tej kobiety. Była zbyt zmienna.

– Może sprowadzilibyśmy tę rozmowę na bezpieczniejsze wody?

Spojrzała na niego.

– Tak, chyba masz rację.

Czekał, aż Lysette coś powie, ale w końcu przejął inicjatywę.

– Zamierzam schwytać Cartlanda i przywieźć go razem z Mitchellem. Wtedy zrozumiesz różnicę między tymi dwojgiem.

Na ile znam Cartlanda, to ma nadzieję pozbyć się Mitchella, zanim jego brudny sekret wyjdzie na jaw.

– Jeżeli w ogóle jest jakiś sekret.

– Czemu nam nie wierzysz?

– Nie przejmuj się – rzuciła swobodnie – Cartlandowi też nie wierzę.

– Komu w takim razie wierzysz? – warknęła.

– Nikomu – odparła, unosząc dumnie podbródek. – Ciekawe, czy na moim miejscu postępowałbyś inaczej.

– Poznałaś przecież Mitchella. To szczerzy młody człowiek, ma dobre serce.

Jej spojrzenie stężało.

– Jestem pewna, że znajdują się i tacy, którzy mają pełne uwielbienie dla *monsieur* Cartlanda.

– Cartland to kłamca i zabójca!

– To twoje zdanie. Ale czy nie pracował kiedyś dla ciebie? Czy nie żywisz wobec niego urazy, że zdemaskował twoją szpiegowską działalność we Francji? Masz powody, by chcieć jego śmierci, w związku z czym wszystko, co masz przeciw niemu, jest podejrzone.

Simon zaklął siarczyście pod nosem, opadł z powrotem na poduszkę i szarpnięciem naciągnął na siebie kape.

– Idziesz już spać? – spytała.

– Tak!

– *Bonne nuit.*

W odpowiedzi spod kołdry rozległo się wściekle warknięcie.

## ROZDZIAŁ 10

---

Amelia zadrżała, kiedy jej nagie plecy dotknęły zimnej narzuty, a Montoya na chwilę przestał ogrzewać ją swoim ciepłem. Jeżeli patrzyła w dół, widziała wąziutki pasek pokoju i blask ognia w kominku. Nie chciała jednak patrzeć. Zaciśnęła mocno oczy.

Wyobrażała sobie Montoyę jako mężczyznę o egzotycznej urodzie – silnego, przystojnego, raczej poważnego. Rozpierała ją potrzeba, by ulżyć jego troskom i przynieść ukojenie napiętym nerwom. Chciała słyszeć jego śmiech i całować urocze dołeczki w policzkach, które pojawiały się niestety zbyt rzadko.

Nagle przed oczami stanął jej Colin w całej okazałości – żywy, mocny i promieniujący energią. Zdziwiona, zastygła w bezruchu.

– Co się stało? – zapytał niewyraźnie Montoya, a Amelia po odgłosach, a raczej ich braku, zorientowała się, że przestał się rozbiierać.

Wzięła głęboki wdech i z trudem wróciła do rzeczywistości. Być może to naturalne, że akurat teraz – kiedy z chwili na chwilę coraz bardziej pogrążała się w uczuciu do innego mężczyzny – przypomniała sobie o pierwszej, utraconej miłości. Nie wiedziała. Nie miała w tym żadnego doświadczenia.

– Zimno mi bez ciebie – skłamała, wyciągając do niego ramiona.

– Już za chwilę będziesz gorąca i wilgotna – mruknął. Łóżko ugięło się, kiedy ułożył się obok niej.

Poczuła wzdłuż całego boku ciepło, a po krótkiej chwili – łagodny dotyk jego twardych warg na ramieniu. Ręka wędrowała wzdłuż jej ciała, sunęła po łagodnych wypukłościach i zagłębieniach figury.

– Wciąż się obawiam, że to tylko sen. Boję się nawet mrugnąć, bo może się okazać, że kiedy zamknę oczy, znikniesz – wyznał.

Amelia położyła rękę na swoim brzuchu, tuż pod pępkiem.

– Czuję, jak mnie tu łaskocze – wyznała.

Jego dłoń nakryła jej rękę i lekko nacisnęła.

– Za chwilę tam będę. Głęboko w tobie. – Palce przesunęły się po jej skórze i dotknęły włosów łonowych.

Załaskotało i roześmiała się. Kiedy przycisnął usta do jej ust, poczuła, że uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Kocham cię – wyszeptał ledwie słyszalnie, i natychmiast zaczął ją całować.

Serce przestało bić na ułamek sekundy, co odwróciło Amelii uwagę od jego dłoni, która zsuwała się coraz niżej. Kiedy palec o stwardniałej od pracy skórze próbował dostać się głębiej, instynktownie zacisnęła uda.

Odwróciła głowę, z trudem łapiąc powietrze. Słowa, które przed chwilą wyszeptał, uderzyły w nią z siłą huraganu. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś usłyszy je z ust kochanka. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Rozchyl nogi – zażądał, całując jej szyję – i pozwól sobie zadać trochę rozkoszy.

W reakcji na krańcowo wyczulone zmysły i walące jak oszalałe serce zaczęła drżeć na całym ciele.

– Reynaldo... – zaczęła.

– Nie. – Uniósł się nad nią i mocno ją pocałował. – Mów do mnie jak chcesz, ale nie po imieniu. Kochanie, czy najdroższy...

– ...ukochany...

– Tak... – Jego język, mocno zagłębiony w jej ustach, ogarniał pieścizotliwymi ruchami jej język, tak że jęczała prosto do jego

wnętrza. – Rozchyl – powiedział żarliwie. – Pozwól mi się zobaczyć... dotknąć...

Amelia nie była w stanie sprzeciwić się jego namiętnej tonowi. Rozchyliła nogi i, kiedy tylko potarł czuły punkt, który pulsowaniem domagał się jego uwagi, natychmiast wygięła się w łuk.

– Och!

Montoya pieścił ją z oszalamiającą wprawą, a jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. Jego twarde, zniszczone palce masowały jej śliskie, nabrzmiące tkanki w tym samym rytmie, w jakim jego język zanurzał się w jej ustach.

Amelia, choć pogrążona w rozkoszy, przez cały czas próbowała zwalczyć nieznośnie napięcie, które coraz bardziej krępowało jej ciało – wiała się więc i kurczowo wczepiała w Montoyę. Czula, jak pod jej palcami napinają się mięśnie jego przedramion, co potęgowało doznanie erotycznej intymności, z jaką jej dotykał.

Nagle jeden z jego palców zanurzył się głębiej i okrężnym ruchem zaczął torować sobie drogę do jej wnętrza.

– Jaka jesteś śliska – wyszeptał z powagą. – I jak chciwie zaciskasz się wokół mojego palca. – Aby udowodnić swoją rację, wsunął palec jeszcze kawałek dalej. Amelia krzyknęła, a jej ciało natychmiast obkurczyło się wokół intruza.

– Och, jesteś taka ciasna i gorąca – rzucił bez ceregieli – że chyba nie wytrzymam, kiedy w ciebie wejdem.

Amelia sięgnęła po jego penisa, zastanawiając się, jak to możliwe, aby się w niej zmieścił – był tak napięty i twardy. Jej niewycwiczone ciało paliło już od nacisku jednego palca.

Montoya jęknął, kiedy zacisnęła wokół niego dłoń. On również był śliski od pragnienia i żądzy, by ją osiąść.

– Jesteś gotowa – stwierdził. – Czujesz, jaką masz twardą łechtaczkę? – Opuszką kciuka lekko nacisnął na obrzmiący punkt i zaczął masować go okrężnym ruchem. Jej ciało w odpowiedzi zacisnęło się wokół jego palca i powoli wchłonęło go głębiej.



Zapisała, kiedy przyspieszył, cofając palec i wsuwając go z powrotem, coraz dalej. Wprawna pieszczota lechtaczki sprawiła, że jej ciało pokryło się warstewką potu, a piersi zaczęły boleć. Z jej gardła wydobyło się bezradne skomlenie. Przywarła do niego, próbując przyciągnąć jak najbliżej.

– Powiedz, co mam robić – szepnął jej prosto do ucha. – Jak cię zadowolić.

– Sutki...

– Są piękne. Rozpustnie obkurczone. Same proszą, by je ssać.

– Tak! – Amelia wygięła się zapraszająco w łuk.

– Powiedz to, kochanie. – Jego palec posunął się dalej i dotknął błony dziewiczej. – Powiedz mi, czego pragniesz.

– Chcę...

– Tak? – Nie przestawał masować ją w środku.

– Chcę czuć twoje usta na piersiach.

– Um... z przyjemnością – wymruczał.

Kiedy zrobił, o co prosiła, gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Uczucie gorąca aż paliło jej czułe tkanki. Jej ręce i nogi stały się bezwładne, a z każdym pociągnięciem jego warg, pchnięciem palca i ruchem kciuka ogarniała je coraz większa niemoc.

Orgazm odebrał jej dech w piersi. Całe jej ciało zeszytywniało, serce łomotało w piersi, a krew szumiała w uszach.

Montoya zaś w chwili najwyższego uniesienia i największej rozkoszy kochanki przerwał dzielącą ich barierę głęboko w jej ciele. Pośród wielu doznań, napierających na nią ze wszech stron, Amelia ledwie zauważyła utratę dziewictwa. Powodem lży, która pociekła z kącika jej oka, był nie ból, lecz rozkosz tak wielka, że niemal nie do wytrzymania.

Po chwili ekstazy odzyskała świadomość, a wraz z nią dotarły do niej słowa pochwały i uwielbienia, które wymawiał schrypniętym głosem. Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, była wdzięczność, że mogła przeżywać zbliżenie z mężczyzną, który czuł dla niej tak silną namiętność i wywoływał w niej podobną reakcję.

Mogło przecież stać się inaczej, a akt radości mógł zmienić się w akt powinności.

Tysiąc emocji naraz biło się o jej uwagę. Wszystkie domagały się uwolnienia, wypowiedzenia. Gardło miała jednak zbyt zaciśnięte, by mówić.

Zamiast tego objęła go ramionami i przycisnęła mocno do piersi.

Colin słuchał, jak serce Amelii zwalnia. W tej chwili wiedział, że nigdy nie kochał jej bardziej. W swej pasji przypominała boginię – istotę stworzoną po to, by budzić tęsknotę i pożądanie. Jej piękne ciało zaczerwieniło się i całe lśniło od potu. Była dzika i gorąca – taka, jaką pragnęła być. Stworzona do seksu.

Z nim.

Żaden inny mężczyzna nie zdołałby jej otworzyć. Mówiła, że po jego zniknięciu nie czuła nic. A kiedy był blisko, wiedziała, że żyje. Ciepła i miękka, wilgotna i chętna. Prosząca o dotyk.

– To było – westchnęła miękko i przeciągle – cudowne.

Otarł twarz o jej pierś i zaśmiał się. Jego serce przepełniała radość. On również czuł się jak przebudzony z długiego snu. Wreszcie go doścignęła – po to, by uwolnił ją samą.

– Łaskoczesz tym zarostem – powiedziała, odpychając jego głowę.

Uwaga ta wywołała w jego głowie tak oczywiste skojarzenie, że jego penis zaczął pulsować, domagając się uwagi.

Fantazje, które pielęgnował w sobie przez lata, nie dotyczyły własnego ukojenia. Chciał zaspokoić Amelię. Potrzebował tego. Zanim minie ta noc, chciał związać ją ze sobą niezmierną rozkoszą, zniewolić pożądaniem, pokazać jej, ile może znaczyć seksualne spełnienie. Nagrodą ostateczną była oczywiście jej miłość, ale żądza również miała znaczenie.

– Mogę polaskotać cię też w innych miejscach? – zapytał, podnosząc głowę.

Natychmiast wysunęła język, by oblizać dolną wargę. Colin przystąpił do działania, koniuszkiem języka gładząc delikatny łuk jej ust. To było zaproszenie. Napomknienie. Wskazówka.

Ze sposobu, w jaki wciągnęła powietrze, domyślił się, że zrozumiała.

– Żartujesz.

– Skąd. Chcę cię smakować, Amelio. Na zewnątrz i w środku.

Prawie słyszał, jak pracują jej myśli. Jak się zastanawia.

– Łatwiej mi sobie wyobrazić, że sama mogłabym posmakować cię w ten sposób – powiedziała powoli – niż to, że będzie na odwrót.

Na samą myśl zdrząły mu ramiona. Przewrócił się na plecy, by nie osunąć się na nią.

– Na pewno sprawiłoby ci to przyjemność – zastanawiała się na głos, obserwując jego reakcję. – Czy mężczyzna czuje się inaczej w ustach kobiety niż tu, na dole?

– Uwielbiam twoją dociekliwość. Mam nadzieję, że nigdy jej nie stracisz.

– Pewnego dnia spróbuję cię czegoś nauczyć.

– Syreno, i tak już mnie zauroczyłaś. Czy musisz wciąż się nade mną znećcać?

Jej dłoń przesunęła się lekko po jego twardym brzuchu i otoczyła wyprężony członek. Kiedy Amelia nagle podniosła się i usiadła, zwrócona do niego twarzą, gwałtownie wypuścił powietrze. Wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię i unieruchomił. Mimo że nic nie widziała, odwróciła twarz w jego stronę. Wolną rękę podniosła do chustki na oczach.

– Nie teraz – powiedział.

– Jestem już gotowa.

– Ale ja – nie.

Najpierw zdawało się, że będzie protestować, ale zmieniła zdanie. Zamiast tego delikatnie pogłaskała jego męskość po całej długości. Zacisnął zęby i kurczowo złapał się narzuty.

– Chcę zrobić tobie to samo, co ty zrobiłaś mi – wymamrotała.

– Wiesz pewnie, że mężczyźni są mniej wybredni od kobiet, jeśli chodzi o orgazm.

– Ale uczucie jest to samo, tak?

Uśmiechnął się.

– Tak sądzę.

Amelia wyprostowała się i podwinęła pod siebie nogi. Zaczęła pieścić go rękami, głaszcząc i ściskając. Doznanie rozchodziło się po całym ciele falami gorąca i nieznośnego żaru w sercu. W jej dotyku było oddanie. Zachwył.

Kiedy brzegiem paznokcia wyznaczyła ślad maleńkiej żyłki, jęknął. Dźwięk był niski, bolesny.

– Powiedz, czego pragniesz – wyszeptala. – Powiedz, co mam zrobić, by cię zadowolić.

– Już mnie zadowalaś – odparł Colin, wodząc ręką po delikatnym wygięciu jej kręgosłupa.

– W takim razie powiedz, jak mogę zadowolić cię bardziej.

– Gdybyś to zrobiła, wybuchnąłbym w twoich rękach.

– Czy w moich ustach? – Przekrzywiła głowę i czekała na odpowiedź.

– Nie dzisiaj – wykrztusił. Jego jądra uniosły się. Szybkim ruchem pociągnął je na dół.

Pomacała, by sprawdzić, co zrobił, i dopiero zrozumiała.

– Czemu to zrobiłaś? – Chłodnym palcami dotknęła jąder, po czym zaczęła delikatnie ściskać je w dłoni, a potem pociągać.

Zabiegi Amelii przyniosły zupełnie przeciwny efekt niż ruch, który przed chwilą wykonał. Colin czuł się tak, jakby jądra chciały wsunąć się w głąb jego ciała.

– Do jasnej cholery, nie rób tego!

– To było niesamowite – powiedziała z zachwytem. Jej ton omal nie doprowadził go do szaleństwa.

Colin, cały w płomieniach, przetoczył się nad nią i ulokował między udami. Prowizoryczna opaska, zasłaniająca oczy, przekrzywiła się przy zmianie pozycji, ale szybko ją poprawił.

– Jesteś taki przyjemny w dotyku – mówiła Amelia, przesuwając swe niewielkie dłonie po jego ramionach. – Taki duży i twardy... wszędzie.

Usłyszał w jej głosie niepokój. Chciał go jak najbardziej złagodzić.

– Zadowolę cię – obiecał, wspierając cały ciężar ciała na jednym przedramieniu, drugą zaś rękę wsuwając nisko, by grzbietem dłoni potrząść jej czułe, obrzmiałe tkanki. Jęknęła i zaczęła krążyć biodrami, by spotęgować doznanie. – To, co czułaś dotąd, jest niczym w porównaniu z tym, co poczujesz, kiedy będę w tobie.

Owinęła szczupłe ramiona wokół jego szyi i przyciągnęła go bliżej.

– Chcę tego. Chcę to przeżyć z tobą.

– Tak. – Lizał małżowinę jej ucha, przyprowadzając ją o dreszcze rozkoszy. – Jesteś zmysłową kobietą. Masz pasję w ruchach, w spojrzeniu, w ciele.

– Jestem za chuda – rzekła cicho.

– Jesteś idealna. Niektóre kobiety są zbudowane tak, by pasować do wszystkich mężczyzn. Ty zostałeś stworzona tylko dla mnie. Mam gorącą krew i gorące zmysły, którym ty jedna sprostasz. Twoje ciało jest pełne wdzięku i giętkie. Twoje krągłości – dorodne i podniecające.

Wsunął w nią palec, by sprawdzić, czy ją zaboli. Jęk, który z siebie wydała, był tak zachęcający, że nie potrzebował niczego więcej. Zaciśnął palce wokół wyprężonego członka i ustawił jego obrzmiałą główkę przy maleńkiej szparce, stanowiącej wejście do jej ciała. Z czubka prącia kapąca już wydzielina – było chętne i gotowe torować sobie drogę. Nie było jednak takiej potrzeby – Amelia również była wilgotna i gorąca. Wystarczył nieznaczny ruch bioder i aksamitna główka wślizgnęła się do środka.

– Och... – wyrzuciła z siebie otwartymi ustami, które łapczywie łapały powietrze.

Całe ciało Colina naprężyło się od przyjemności, jaką sprawiał mu nacisk jej pochwy. Niezwykłe gorąco rozeszło się po całym jego ciele, począwszy od członka. Pokryło się warstwą potu, który po chwili zaczął zbierać się w zagłębieniu ciała w miejscu wygięcia pleców. Colin wyprężył się, by wchodzić w nią bardzo powoli. Wiedział, że będzie potrzebowała czasu, by przystosować się do jego wielkości, a także zaakceptować nowe, nieznane doznanie, towarzyszące wtargnięciu mężczyzny w głąb jej ciała.

Amelia chwyciła go za biodra, równocześnie zataczając swoimi niewielkie koła, co omal nie przyprawiło go o utratę zmysłów.

– Do diabła! – syknął i wzdrygnął się, kiedy nabrzmiałe jądra, nie mogąc wytrzymać długotrwałego, morderczego napięcia, ulżyły sobie, wypuszczając pierwszą porcją nasienia.

– Chcę cię głębiej – prosiła. Był jej tak wdzięczny, że bez zastanowienia zamknął jej usta pożądliwym, szalonym pocałunkiem. Jej wargi zacisnęły się wokół jego języka i ssały z takim zacięciem, że penis aż zadrżał z zazdrości.

Colin ciężarem ciała przygniótł ją do łóżka, wnikając w nią centymetr po centymetrze. Rękami nakrył jej rozpłomioną twarz, by w ten sposób studzić jej żar.

– Amelio – jęknął i potarł spoconym policzkiem o jej policzek. – Sprawiasz, że nie mogę zainicjować cię tak, jak na to zasługujesz.

– Boli mnie w środku! – krzyknęła, łapiąc go kurczowo. – A jeszcze nawet nie wszedłeś do końca.

– Jesteś wąska i niedoświadczona, a ja gruby i twardy. Jeśli wejdę za szybko, skończy się na bólu – teraz i później.

– Jesteś za duży...

– Nie jestem, do diabła! – Nie chciał być opryskliwy, ale jej głodna pochwa uporczywie wciągała główkę penisa, popychając jego prymitywne żądze, by wreszcie przejęły inicjatywę, zamiast wciąż łagodzić jej doznania.

– Więc pozwól mi patrzeć. Może, jeśli będę widzieć, nie będę aż taka zdenerwowana. Kiedy nie widzę, moje doznania stają się zbyt intensywne. Każdy dotyk, każdy odgłos jest wyolbrzymiony.

Colin zdrętwiał. To nie był dobry moment. Nie mógł pozwolić, by tej nocy Amelię spotkała choćby najmniejsza przykrość. On sam czuł się jak w niebie i nie pragnął niczego innego, jak tego, by ona czuła się tak samo.

– Boję się, co się stanie, jeśli teraz mnie zobaczysz. Gdybyś mnie w tej chwili odrzuciła, chyba bym tego nie przeżył.

Jej dolna warga zadrżała. Potem Amelia spytała:

– Masz tu maskę?

– Chcesz, żebyśmy się wycofał? – Spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczami. – Teraz? Zwariowałaś? Jestem w tobie.

– Jeszcze nie całkiem – sprzeciwiła się. – Nie tak, jak chcę, żebyś był. – Jej głos przybrał błagalny ton, którego nie potrafił zignorować.

Ona go zabije, pomyślał z dziwną mieszkanką dumy i drwiny. Nigdy nie będzie bierna w łóżku – tak jak nigdy nie była bierna poza nim. Już teraz obawiał się dnia, kiedy Amelia w pełni rozbudzi swą seksualność. Jak on przeżyje pełne natarcie jej damskich sztuczek? Teraz nawet nie wszedł w nią do końca, a już czuł się, jakby zaraz miał umrzeć.

– To mnie podnieca – wyszeptwała, dysząc. – Twój widok w masce. – Podniosła rękę i powiodła palcami po jego ustach. – Masz takie piękne usta. Marzyłam o nich. Tęskniłam, by dotykały mojej skóry i szeptały mi do ucha gorące słowa pożądania.

Colin, drżąc z pragnienia, niespokojnie napał na jej rozwartą pochwę, która coraz bardziej miękła, rozchylała się i układała się wokół niego. Jej twarde sutki ocierały się o jego klatkę piersiową, a mięśnie brzucha – drżały tuż przy jego skórze.

– Sprawiłoby mi to przyjemność. Proszę, nie odmawiaj mi. – Położyła mu ręce na pośladkach i przyciągała, popychając go jeszcze głębiej.

Im głębiej wchodził, tym stawała się ciaśniejsza. Jej dziewicze tkanki przyjmowały go opornie, z trudem dopasowując się do jego kształtu.

– Proszę... – szepnęła tak błagalnie, że ścisnęło mu się serce. – Proszę, nie każ mi przeżywać tej chwili w ciemnościach.

Colin zaklął pod nosem i wysunął się z niej, drżąc na całym ciele. Stoczył się z łóżka na chwiejnych, bezwładnych nogach, podszedł do szafy, w której leżała jego walizka. Zanurzył w niej rękę i wyciągnął maskę, którą woził ze sobą na pamiątkę kilku skradzionych chwil, które dane mu było z nią dzielić.

Trzymał lśniący, biały przedmiot w rękach i patrzył nań z coraz większą niechęcią. To właśnie maska wciąż rozdzielała Colina Mitchella od ukochanej kobiety.

Gdyby, kupując ją, mógł przypuszczać, dokąd zaprowadzi go to kłamstwo! Wtedy myślał, że skorzysta z niej tylko po to, by choć raz spojrzeć na Amelię. Wiedział, że będzie to dla niego znaczyć tyle samo, ile łyk wody dla człowieka umierającego z pragnienia.

– Pośpiesz się – ponagliła go schrypniętym głosem spełnionej uwodzicielki. Kobięcą ponętność, której inne kobiety musiały się uczyć, a potem stosować z wyrachowaniem, Amelia miała po prostu wrodzoną.

Colin przyłożył maskę do twarzy i zawiązał czarne, satynowe wstążki, które przytrzymały ją w miejscu. Potem poprawił jeszcze wstążkę, którą związał włosy. Odwrócił głowę, spojrzał na Amelię i już wiedział, że wychodząc z tego pokoju, będzie zupełnie innym mężczyzną niż tym, który do niego wszedł.

Leżała wsparta o wysoko ułożone poduszki, ze skromnie skrzyżowanymi rękami i nogami, bez opaski na oczach. W jej zielonych oczach zobaczył tęsknotę, pożądanie i taką wdzięczność, że na moment odebrało mu dech w piersiach.

Obrócił się na pięcie i stanął wprost przed nią, wystawiając na widok wyprężony członek i nagie, umięśnione ciało. Widział, jak z trudem przelyka ślinę i zrozumiał, że bardzo musi czuć się



onieśmielona. Była wysoka, ale on – znacznie wyższy. Posturą musiał górować nad nią dwukrotnie – po pierwsze ze względu na brak arystokratycznego pochodzenia, po drugie – na ciężką pracę i częsty wysiłek fizyczny.

Był rozpalony do niemożliwości. W żyłach wręcz pulsowała mu gorąca, oszałała krew. Złapał się za penisa, by złagodzić choć trochę ból.

– Czy widok mojego ciała podnieca cię – zapytał – czy przeraża? Amelia oblizwała wargi.

– Nie jestem przerażona – wyszeptała. – Denerwuję się trochę i nawet obawiam, ale nie boję się ciebie.

– Jesteś silną kobietą – pochwalił ją, podchodząc do niej szybkim krokiem.

Bez słowa ukląkł na łóżku i pochylił się nad nią, odsuwając jej rękę, by odsłonić piersi. Ujął ustami stwardniały sutek i zaczął go rytmicznie ssać, w duszy prosząc Amelię, by wydała choć jeden jęk rozkoszy.

Chwyciła go rękami za tył głowy i przytrzymała przy piersi.

– Wejdz we mnie – wyszeptała. – Nienawidzę tego uczucia niepewności i nieświadomości.

Colin usiadł na piętach i rozłożył jej nogi szeroko, by zapewnić sobie pełny widok na jej srom. Amelia w pozycji półleżącej, wysoko wsparta na poduszkach, widziała go równie dobrze. A jednak, zanim zdążyła się zorientować, jaki rozmiar ma jej mała, różowa szparka w porównaniu z długością i obwodem jego penisa, już w nią wchodził, wpychając szeroką główkę w jej przeczulony otwór.

Pisnęła i wbiła mu paznokcie w uda.

Chwycił ją za biodra i delikatnie, ale stanowczo napierał, zagłębiając się coraz bardziej. Jego wzrok wędrował z miejsca ich złączenia na jej piękną twarz, i z powrotem.

Jego plecy zasłaniały niepewny blask dogasającego na kominku ognia, nie rozróżniał więc kolorów, ale rozpoznał na jej czole

charakterystyczną warstwę potu, a w oczach zobaczył lśnienie zebranych łez.

– Zadaję ci ból? – wyrzucił z siebie z trudem. Kiedy w odpowiedzi na jego głos jej pochwą wstrząsnęła fala skurczów, wbił palce w ciało Amelii tak mocno, że powstały sińce. Była tak ciasna i gorąca, że czuł się, jakby pieprzył mocno zaciśniętą pięść.

– Nie.. – odparła słabym głosem, dochodzącym jakby z oddali. Colin zdjął jej dłoń ze swego ciała i położył na obrzmiałej lechtaczce.

– Głaszcz się – poinstruował.

Ku jego zadowoleniu posłuchała bez skrępowania. Jej długie, szczupłe palce niemal bez wahania zaczęły masować śliskie tkanki.

Jej cudowne ciało odpowiedziało dokładnie tak jak oczekiwał – zaciskając się i rozluźniając ze zdwojoną siłą. Z każdym ruchem ust na jej piersi wsuwał się głębiej, jęcząc z rozkoszy i szarpanymi oddechami czerpiąc powietrze, wypełnione zapachem seksu i wiciokrzewu.

Zaczęła więc się i jęczeć tak lubieżnie, że potem zastanawiał się, jak zdołał wejść w nią do końca, nie wybuchając w pół drogi. Nareszcie ostatnim, zdecydowanym pchnięciem doszedł do końca. Uczucie, że tkwi w niej po same jądra, sprawiło, że do oczu napłynęły mu łzy.

Amelia krzyknęła, kiedy gorący, ciężki członek Montoi uderzył wreszcie w tylną ścianę pochwy. Z bolesnego punktu, który otwierał się tam w środku, prosząc o dotyk, a potem znowu się zaciskał, po całym jej ciele rozeszło się uczucie dręczącej ulgi.

Montoya trwał w bezruchu, a ona walczyła, krążąc biodrami, wcierając się w nasadę jego członka. Warkot, jaki z siebie wydawał, bardziej przypominał odgłos zwierzęcia. Jej ciało zadrżało w odpowiedzi, potęgując jego żądzę.

Unieruchomił ją silnymi dłońmi i wpatrywał się w nią przez otwory w masce. Jego piękne usta były twarde, szczęki mocno zaciśnięte.

– Dlaczego się nie ruszasz? – krzyknęła.

– Bo zaraz wybuchnę, a nie chcę tego robić bez ciebie.

– Jestem gotowa! – krzyknęła głosem piskliwym od niepokoju. Jej łono zaciskało się kurczowo, z ogromną siłą, niemal boleśnie.

Bez najmniejszego wysiłku uniósł ją, a sam podniósł się na kolana, nasadzając ją mocniej na twardej jak skała członek. Amelia przyłgnęła do jego szerokich ramion, a ustami przywarła do słonej, szorstkiej od zarostu szyi. Wirowało jej przed oczami, kiedy zmieniali pozycję. Każdy ruch prowadził do tego, by Amelia znalazła się na górze. W końcu, w odwecie za seksualne niepowodzenie, Amelia ugryzła go.

Montoya zaklął i odepchnął ją od siebie.

– Jazda – rzucił szorstko.

Sam usiadł na skraju łóżka, a ona na nim, z szeroko rozstawionymi nogami i wciąż głęboko skrytą jego erekcją. Tak głęboko. Podparł się ramionami i odchylił się nieco do tyłu, dając jej pełny dostęp, pozwalając jej korzystać z siebie tak, jak tylko zechce. Wyglądał teraz niezwykle zmysłowo – z płaskim, muskułarnym brzuchem i owłosioną klatką piersiową, mokrą od potu.

I ta maska... Och, ta maska dodawała mu mrocznej, zmysłowej tajemniczości i jeszcze bardziej popychała ją ku temu, co nierozsądne.

– Ja...

– Teraz! – szczechnął tak, że aż podskoczyła.

W odpowiedzi na wyzwanie odchyliła ramiona i dumnie uniosła podbródek. Przyszło jej do głowy, że z powodów, o których wcześniej nie myślała, to wszystko musiało być dla niego trudne. Kochał się z taką wprawą, że z pewnością miał wiele kobiet, skąd wywnioskowała, że oszpecenie twarzy mogło nastąpić niedawno. Mogła nawet być pierwszą kobietą, z którą kochał się po wypadku. Myśl ta sprawiła, że doniosłe wydarzenie, jakim było dla niej ich zbliżenie, nabrało jeszcze większego znaczenia.

W tej właśnie chwili Amelia podjęła postanowienie, że będzie go kochać, korzystając ze swych wszystkich sił i umiejętności – lepiej niż jakakolwiek kobieta do tej pory. Dosięgnie źródła niepokoju, który w nim wyczuwała i stłumi go swą namiętnością, a ciałem dowiedzie, że zwabiło ją do niego jego serce.

Dla równowagi położyła mu ręce na ramionach i uniosła się na kolana, przemieszczając się nieco ku górze. Kiedy opuściła ciało i poczuła, jak szeroka główka jego penisa pociera o owo czułe, wibrujące miejsce w jej wnętrzu, zadrżała i gwałtownie nabrała powietrza.

– O to chodzi – pochwalil chrapliwym szeptem, przyglądając się jej spod gęstych, czarnych rzęs. – Widzisz, jak świetnie do siebie pasujemy? Zostałem stworzony tylko dla twojej przyjemności.

Zagryzając dolną wargę, Amelia powtórzyła ruch, a potem jeszcze raz, nieco śmieiej, nabierając coraz więcej wprawy. Kciukiem powiodła po bliźnie na jego ramieniu, znaczącej ranę tak przestarzałą, że już dawno przybrała srebrzysty odcień. Falując, pieściła szramę. Pod palcami wyczuwała okrągły kształt z poszarpanymi brzegami. Gdzieś w głębi duszy ta rana nie dawała jej spokoju, drażniła ją, niepokoiła...

Nagle Montoya odezwał się, a na dźwięk jego głosu wszystkie jej myśli rozpięchły się bezładnie.

– Słodka Amelio. Jesteś moja.

Amelia uniosła się i owinęła ramiona wokół jego torsu, przekrzywiając nieco głowę, by ich usta mogły się zetknąć. Podnosiła się i opadała, jęczała, gdy jej nabrzmiałe sutki ocierały się o miękkie włoski na jego piersi.

Posiadła go, tak samo jak on posiadał ją.

Montoya chwycił jedną ręką jej włosy i trzymał blisko, nie przestając szeptać słów zachęty. Jego biodra miały się w dzikich pchnięciach, wywołując rozkosz, która odbierała zmysły.

Kradł jej serce.

Kiedy nabrała pewności siebie, zaczęła poruszać się szybciej. Z wysiłku oddychała ciężko, a po skórze między piersiami spływały kropelki potu.

– Chcę cię taką mieć codziennie. – Jego słowa były ciężkie od rozkoszy. – Chcę, abyś czuła się pusta, kiedy nie będę w tobie. Żebyś była zawsze mnie głodna.

Amelia wiedziała, że tak właśnie będzie. Nie zważała na nic, ogarnięta pożądaniem, wiciem się i falowaniem, napieraniem na jego gruby, wyprężony członek, jakby robiła to nie pierwszy raz. Jakby wiedziała, co robi.

Uszczypnął ją zębami w szyję, krzyknęła. Wszystko zacisnęło się w niej tak mocno, że zaklął.

To on był sprawcą całego tego szaleństwa – ze swoim potężnym, odchylnym do tyłu ciałem, z tą maską zakrywającą półprzymknięte oczy, ze lśniącymi od jej pocałunków wargami. Wyglądał jak pogański bóg miłości. Był egzotycznie piękny. Ani na chwilę nie tracił nad sobą kontroli. W pełni zadowolony, że oddaje się rozpustnicy, której jedynym celem jest osiągnięcie orgazmu.

Ustami przyciśniętymi do jego policzka wyszeptwała:

– Pieprz mnie.

Łatwość, z jaką wypowiedziała te wulgarne słowa, zdziwiła ją samą.

W odpowiedzi ciało Montoi przeszył brutalny dreszcz.

– Spraw, żebym doszła – prosiła bez tchu, wciąż go ujeżdżając. – Chcę tego... chcę ciebie. Dziko. Głęboko. Chcę, żebyś ze mną był.

Zanim zdążyła mrugnąć, przekreślił się, przygniatając ją do łóżka. Opierając się stopami o podłogę, a rękami – o narzutę, wbijał się w nią długimi, silnymi pchnięciami, z których każde było doskonale wymierzone i każde wydobywało z jej gardła krzyk ekstazy.

Wisiał nad nią, obserwując jej twarz zza maski, oddychając ciężko. Jego klatka piersiowa wydymała się w gwałtownym oddechu, brzuch spinał się, a pośladki zaciskały za jej łydkami,

kiedy unosiła się, wychodząc na spotkanie jego dźgnięciom. Jego ciało stanowiło wzorzec seksualnej siły. Wydawało się stworzone specjalnie po to, by pieprzyć kobietę do nieprzytomności.

Napięcie w jej łonie narastało. Nagle nadeszła chwila, kiedy uwolniło się w orgii doznań, paląc jej skórę, chwytając za płuca, wywołując w jej wnętrzu niekończącą się serię skurczów, stanowiących najgłębszą rozkosz dla jego naprężonego członka.

Chrapliwy ryk, jaki wydobył się z jego gardła, sprawił, że łzy napłynęły Amelii do oczu, a jej usta bezwiednie wymówiły imię. Zamarł na moment w bezruchu, a ona zajęczała na znak protestu, zwijając się pod nim w nieopisanej rozkoszy.

Na nowo podjął pchnięcia – tym razem mocniej i szybciej, aż nabrzmiął w niej, mrużąc przez zaciśnięte zęby. Zanurzył się w niej po sam kraniec, i wtedy, z gwałtownym szarpnięciem wlał w nią gorący, gęsty strumień spermy.

Było to dzikie, prymitywne i piękne. Zamknął ją w objęciach, ciężar ciała opierając na przedramionach pod jej plecami. Zmieszany pot skleił ze sobą ich ciała.

– Kocham cię – wyszeptał żarliwie, zlizując ślady jej łez. – Kocham cię.

Amelia sięgnęła do wstążki przytrzymującej maskę.

## ROZDZIAŁ 11

---

W pokoju było ciemno. Z osłoniętego kominka padał nikły blask, oświetlając nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów podłogi. Nie było prawie nic widać, ale instynkt podpowiadał Simonowi, by wzmóc czujność.

Poruszając się ostrożnie, odwrócił głowę i stwierdził, że w łóżku obok niego jest pusto. Powoli wypuścił powietrze. Starał się oddychać w tym samym rytmie, co przez sen.

Coś wybiło go ze snu. Ponieważ spał z kobietą, która w razie potrzeby nie wahałaby się go zabić, wiedział, że ignorowanie sygnałów ostrzegawczych byłoby nierozsądne.

Spojrzał w stronę okna i dostrzegł srebrny blask księżycowego światła odbity od jasnych włosów. Lysette wyglądała na dwór przez małą szparkę między zasłonami.

– Co robisz? – wyszeptał i usiadł.

Być może odwróciła ku niemu głowę, ale nie był pewien.

– Słyszałam coś na dworze.

– Coś widziałaś?

Kotary zasunęły się.

– Trzech jeźdźców. Jeden na chwilę wszedł do środka, pewnie po to, by zbudzić właściciela. Potem pojechali dalej.

Simon zadrżał, odrzucił koldrę i podszedł do kominka.

– Nie sądzę, aby o tej porze ktoś wstępował tu pytać o drogę.

– Jestem tego samego zdania.

– Słyszałaś ich? Mówili po francusku?

Zamigotało nagle światło – to Lysette zapaliła zapalniczkę, a od niej – świecę.

– Wydaje mi się, że to byli Anglicy.

Simon ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w mrugający płomyk.

– Może powinienem obudzić Marię.

– Nie ma potrzeby. Pojechali dalej, nie zawrócili. Czego by nie szukali, jak na razie tego nie znaleźli.

Z roznieconego na nowo ognia na kominku zaczęło rozchodzić się ciepło. Simon wstał i odwrócił się przodem do Lysette.

Sprawiała wrażenie zmęczonej, a jej śliczna twarz odgniotła się z boku od poduszki. Na koszulę zarzuciła pelerynę, którą przyciskała do piersi tak kurczowo, że zbieleły jej kostki palców.

Wskazał na łóżko.

– Dobrze. W takim razie kładźmy się dalej spać. Wciąż mnie wszystko boli po podróży tym koszmarnym powozem. Chętnie spędzę trochę czasu na plecach zamiast na tyłku.

Lysette znużonym ruchem skinęła głową i usiadła w tym samym fotelu, gdzie wcześniej czytała.

– *Bonne nuit.*

– Niech to jasny szlag. – Spojrzał na nią wilkiem i zapytał: – Czyżby udało ci się tam zasnąć?

Podniosła na niego wzrok i mrugnęła.

– *Oui.*

– Celowo?

– Owszem.

Simon przeczesał ręką włosy i w duszy pomodlił się o cierpliwość.

– Nie gryzę, nie chrapię, nie ślinię się. Nie chciałem też cię obrazić, mówiąc, że nie jestem zainteresowany nagabywaniem cię. Łóżko jest więc całkowicie bezpieczne.



– Łóżko może jest bezpieczne – rzekła, wpatrując się w niego obojętnym wzrokiem – ale co do ciebie, mam pewne wątpliwości.

Otworzył usta, by wyrazić swój sprzeciw, ale najwyraźniej zmienił zdanie i zamachał tylko gwałtownie rękami.

– Cóż! W takim razie męcz się na fotelu.

Kuląc się z zimna, podszedł szybko do łóżka i wślizgnął się do wyziębionej już pościeli. Zwinąwszy się w kulkę, pocieszał się, że ciepło roznieconego na nowo ognia wkrótce ogarnie cały pokój.

– A niech cię – złorzeczył, spoglądając na nią z oddali. – Byłoby znacznie cieplej we dwoje.

– Masz więcej powodów, by chcieć mnie widzieć martwą niż żywą – wytknęła mu tonem, w którym brzmiało sporo rozsądku.

– W tej chwili trudno o słowa, które lepiej oddają prawdę – odciął się. – Jedynym powodem, dla którego cię jeszcze nie udusiłem, jest to, że gdybym to zrobił, temperatura w tym pokoju jeszcze bardziej by spadła!

Jej wąskie wargi wygięły się w wymuszonym uśmiechu.

– Lysette, to śmieszne. – Był zbyt poirytowany, by starać się zasnąć, usiadł więc w pościeli. Spanie w zapadniętym fotelu po całym dniu jazdy niewygodnym powozem było do niej absolutnie niepodobne. Jedną z cech Lysette stanowiła jej niezachwiana praktyczność – należała do ludzi, którzy w życiu kierują się tylko i wyłącznie rozsądkiem. – Zastanów się, po cóż miałbym zabijać cię teraz, jeśli nie zrobiłem tego do tej pory?

Wzruszyła ramionami, ale gestowi temu, z pozoru wyrażającemu obojętność, przeczył nerwowy wzrok, którym wodziła po pokoju.

Simon wydał głębokie i przeciągłe westchnienie, po czym po raz kolejny odrzucił kołdrę i podszedł do dziewczyny. Nie był zdziwiony, widząc nóż, który wychynał z rozcięcia peleryny.

– Odlóż to.

– Nie zbliżaj się.

– Nie pociągasz mnie – oświadczył powoli. – A nawet gdybyś mnie pociągała, to nie czuję potrzeby, by narzucać się kobiecie, która jest mi niechętna.

Lysette podejrzliwie zmarszczyła czoło.

– Dobrze mi na fotelu.

– Kłamiesz. Wyglądasz na wykończoną. Nie mogę cię za sobą ciągać, próbując oczyścić Mitchella z zarzutów. Będziesz musiała sama się sobą zająć.

Słyszając to, najeżyła się.

– Nie będę ci ciężarem.

– Założę się, że będziesz – po bezsennej nocy, w dodatku takiej lodowatej. Zachorujesz i staniesz się zupełnie bezużyteczna.

Wstała z fotela i powiedziała:

– Potrafię się o siebie zatroszczyć. Wracaj do łóżka i zostaw mnie w spokoju!

Simon otworzył usta, chcąc sprzeczać się dalej, ale po chwili namysłu zamknął je i potrząsnął głową. Po raz trzeci schował się pod kołdrę i odwrócił do niej plecami. Po kilku minutach świeca zgasła. Wkrótce potem usłyszał słabe pochrapywanie.

Coraz bardziej zdezorientowany, długo leżał bezsenne.

Amelia przyglądała się spoczywającemu przy niej mężczyźnie i zastanawiała się, jak głęboko śpi.

– Poczekajmy do wschodu słońca, wtedy ją zdejmujemy – powiedział Montoya wcześniej.

– Dlaczego nie teraz? – zaproponowała. Za wszelką cenę chciała wreszcie usunąć jedyną barierę, dzielącą ją od człowieka, który skradł jej serce, a ciało pozbawił niewinności. Czuła, że dopóki nie zobaczy jego twarzy, nie będzie mogła nazwać uczucia, które ich połączyło, niczym więcej niż zauroczeniem, a już na pewno – nie miłością.

– Nie chcę, aby cokolwiek popsulo nam tę noc – wyjaśnił, wycofując się z jej ciała. Podszedł do umywalni, stojącej w kącie pokoju.

Wrócił z mokrą myjką, którą otarł jej krocze, by następnie oczyścić siebie. Dopiero potem położył się obok niej w łóżku. – Rano się przed tobą obnażę. Wspomnienie cudownej, doskonałej nocy w twoich ramionach doda mi sił.

Ostatecznie, choć z wyraźną niechęcią, przystała na to. Nie chciała psuć atmosfery z powodu kilku godzin oczekiwania.

Montoya, wsparty o wezglowie łóżka, poprosił wtuloną w jego bok Amelię, by opowiedziała mu swe najważniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Wybrała opowieść o dniu, kiedy bawiąc się z Colinem w chowanego, przełamała lęk wysokości i pierwszy raz w życiu wdrapała się na drzewo.

– Kilka razy pode mną przechodził – mówiła, oparłszy policzek dokładnie w miejscu, gdzie pod skórą miarowo uderzało serce Montoi. – Z jednej strony miałam nadzieję, że mnie szybko znajdzie, bo bałam się siedzieć na tej gałęzi, a z drugiej – robiłam wszystko, żeby się nie wydać, bo tak bardzo chciałam go zaskoczyć.

Jego ręka gładziła ją delikatnie po plecach.

– Podejrzewam, że raczej zależało ci, by wygrać – poprawił ją i zaśmiał się swoim niskim, głębokim śmiechem, który uwielbiała od pierwszej chwili, kiedy go usłyszała.

– To również – przyznała z uśmiechem. – Kiedy się w końcu poddał, byłam z siebie bardzo dumna. W nagrodę za zwycięstwo Colin kupił mi nową wstążkę. Za samodzielnie zarobione pieniądze.

Montoya westchnął.

– Musiał cię bardzo kochać.

– Tak sądzę, choć nigdy mi tego nie powiedział. Oddałabym wszystko, aby usłyszeć od niego te słowa. – Przechesywała palcami włosy na jego piersi.

– Czyny mówią głośniejszy niż słowa.

– Sama to sobie powtarzam. I wciąż mam tę wstążkę. Przechowuję ją niczym skarb.

– Jak sądzisz, jak potoczyłoby się wasze życie, gdyby los was nie rozdzielił?

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, w których malowało się pytanie, a zarazem wyczekiwanie.

– Wyobrażałam sobie setki różnych scenariuszy. Najbardziej prawdopodobny wydaje mi się ten, że St. John wzięłby go pod swoje skrzydła.

– Pobralibyście się?

– Zawsze miałam taką nadzieję. Ale to zależałoby od niego.

– Na pewno poprosiłby cię o rękę – powiedział Montoya z pełnym przekonaniem.

– Jesteś tego pewny? – zapytała z uśmiechem.

– Bo widzę, jak głęboko cię kochał. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Wtedy byłaś dla niego po prostu za młoda, no i pozycja społeczna nie pozwalała mu wystąpić do ciebie z taką propozycją. – Pociągnął wierzchem palców po jej kości policzkowej. – Powiedz, wciąż go kochasz?

Zawahała się. Nie wiedziała, czy to rozsądne – będąc w łóżku z mężczyzną, przyznawać się do wciąż żywych uczuć wobec innego.

– Zawsze mów mi prawdę – rozkazał jej łagodnie. – Wówczas nigdy się nie pomylisz.

– Gdzieś w głębi serca zawsze będę go kochać. To dzięki niemu stałam się osobą, którą dzisiaj jestem. Jest wpleciony w każdą chwilę mojego życia.

Montoya pocałował ją słodko i z głęboką czcią. Amelia, oczarowana i bez tchu, poprosiła, by z kolei on podzielił się z nią wspomnieniami. Oczekiwała, że może powie coś o utraconej miłości. On jednak tego nie zrobił.

Mówił o pracy, która stanowiła źródło jego utrzymania – o niebezpiecznej działalności, jaką prowadził na rzecz angielskiej korony. Opowiadał o swych podróżach wzdłuż i wszerz kontynentu, o braku domu i rodziny, i o tym, jak kiedy w końcu

postanowił zrezygnować, został uwikłany w niebezpieczną intrygę, która teraz zagrażała jego życiu.

– Dlatego próbowałem trzymać się od ciebie z daleka – wyznał.  
– Nie chciałem naznaczyć twojego życia własnymi błędami.

– Czy to wtedy ucierpiała twoja twarz? – zapytała, wodząc palcami po krawędzi maski, tam gdzie graniczyła ze skórą.

Zesztywniał.

– Słucham?

Amelia, przekonana, że go uraziła, natychmiast zaczęła się tłumaczyć:

– Rozumiem twoje obawy, ale to, że masz zdeformowaną twarz, nie wpłynie na moje uczucia.

– Amelio... – westchnął. Zabrakło mu słów.

Rozmowa urwała się. Leżeli przytuleni, aż Montoya zasnął. Amelia nie spała. Jej myśli krążyły wokół tysiąca spraw. Planowała, co powie Ware'owi i Marii, w duszy zastanawiała się, jakimi słowami poprosi St. Johna o wsparcie. Próbowwała uporządkować w myśli wszelkie cielesne niedogodności, towarzyszące jej inicjacji jako kobiety. Ciekawa też była, jak rozwinie się jej związek z Montoyą, kiedy oboje uwolnią się od dręczących ich tajemnic i niewiadomych. Spokoju nie dawało jej własne – niespodziewane i szokujące – zachowanie z zeszłego tygodnia. Sama nie wiedziała, co o nim sądzić.

Tylko Maria w pełni zdawała sobie sprawę, jakim potworem był lord Welton. Za każdym razem, gdy Amelia pomyślała, że w jej żyłach płynie jego krew, robiło jej się niedobrze. Jej wygląd nie pozostawiał cienia wątpliwości co do tego, czyją była córką. Czy w innych kwestiach – tych niewidzialnych dla oka – również była skazana na podobieństwo do niego? Kiedy uświadomiła sobie, że na przestrzeni ostatnich dni we wszystkim, co robiła, kierowała się wyłącznie egoizmem, przeraziła się. Zlekceważyła uczucia i troskę osób, którym na niej zależało – Ware'a, Marii, St. Johna –

a wszystko po to, by za wszelką cenę spotkać się z Montoyą. Czy naprawdę była z niej wykapana córka ojca?

Zapatrzona w migoczący ogień, rozmyślała o masce i leżącym obok niej mężczyźnie, którego twarz skrywała. Pokusa, by pod nią zajrzeć, stawała się coraz trudniejsza do odparcia. Amelia próbowała usprawiedliwić ją tym, że właśnie tajemnica jego tożsamości – nie zaś skaza na własnym charakterze – nakłoniła ją do bezdusznego zachowania wobec najbliższych.

A jeśli okaże się, że Montoya śpi bardzo lekko? Co, jeśli przyłapie ją i się rozgniewa? Nie chciała nawet myśleć o tym, że mogłoby między nimi dojść do nieprzyjemnej wymiany zdań.

A może powinna najpierw przekonać się, czy tylko drzemie, czy śpi głęboko?

Uniosła więc rękę z twardej płaszczyzny jego brzucha i przesunęła lekko palcami po jego udzie. Mięsień drgnął, ale Montoya się nie poruszył. Amelia spróbowała jeszcze raz, tym razem nasilając dotyk. Tym razem nie poruszył się wcale.

Poczuła przyływ nadziei. Kochał się z nią długo i namiętnie, a wiadomo, że po długiej podróży każdy wędrowiec odczuwa zmęczenie.

Podniosła głowę i pełnym podziwu spojrzeniem ogarnęła jego wspaniale wyrzeźbioną klatkę piersiową. Blizna na ramieniu była teraz dobrze widoczna – odkąd Montoya dołożył do ognia i płomień buchnął silniej, w pokoju zrobiło się i widniej, i cieplej. Ze współczuciem przyglądała się ranie po kuli. Z jej rozmiaru i dużej liczby rozchodzących się promieniście od niej szram domyślała się, że musiała być paskudna.

Ucałowała ślad jego cierpienia, ledwie muskając wargami zniekształcone tkanki. Tempo jego oddechu zmieniło się, a jego sutki, ku jej zdumieniu, a zarazem zachwytowi napięły się i stwardniały.

Jakże fascynujące było ludzkie ciało... Dziś w nocy dowiedziała się sporo o swoim własnym. Teraz poczuła nagłą potrzebę, by dowiedzieć się wszystkiego o ciele kochanka.

Z żarliwymi, palącymi wspomnieniami minionej nocy przed oczami wysunęła język i oblizwała maleńki wzgórek ciemnej skóry na jego piersi. Była słona i twardsza niż jej własna. Kochała ją – i czuła, że zaczyna go kochać całego.

Naśladując pieśzczoły, jakimi obdarzał jej piersi, Amelia przywarła ustami do jego sutka i zaczęła delikatnie ssać. Montoya poruszył się, ale nie w sposób, jakiego oczekiwała.

Leżała z udem przerzuconym przez jego udo, ugiętym kolanem i lekko uniesioną nogą. Poczowała, że jego członek zaczyna się prężyć i odwróciła głowę, by sprawdzić, czy zarys erekcji będzie widoczny przez pościel. Po jej ciele rozeszła się fala gorąca i Amelię nagle ogarnęła ocieężałość. Szczególnie zdziwiła ją ślina, która napłynęła jej do ust.

Zerknęła na kochanka spod rzęs. Przez dziurki w masce wydawało się, że ma zamknięte oczy – nie widziała charakterystycznego błysku źrenic.

Czy będzie miała śmiałość posunąć się dalej?

Coraz silniejsza ciekawość nie pozwoliła jej długo zastanawiać się nad tym pytaniem. Ześlizgując się nieco w dół, pociągnęła za sobą kołdrę, która odsłoniła jego imponującą erekcję w pełnej krasie.

– Igrasz z ogniem, kochanie.

Głos Montoi przestraszył ją. Przeniosła wzrok na jego twarz i przekonała się, że obserwuje ją płomiennym, pożądlivym wzrokiem.

– Kiedy się obudziłeś? – zapytała.

– Nawet nie zdążyłem zasnąć. – Jego cudowne usta wygięły się w uśmiechu, a na policzkach ukazały się urocze dołeczki.

– To dlaczego nic nie mówiłeś?

– Chciałem zobaczyć, na ile się odważysz. – Uniósł rękę i pogładził koniuszkami palców jej włosy. – Ciekawski z ciebie kociak – mruknął.

– Masz coś przeciwko?

– Absolutnie. Twój dotyk jest dla mnie bezcenny.

Biorąc to za przyzwolenie, z powrotem skierowała uwagę na jego erekcję. Powiodła palcem od czubka po nasadę członka i uśmiechnęła się, kiedy pod jej dotykiem szarpnął nim silny dreszcz.

– Nie mogę uwierzyć, że się we mnie mieścisz – wyznała.

Colin, wróciwszy myślami do nieopisanych doznań, jakie wywoływała jej pochwa zaciśnięta wokół jego męskości, nie potrafił znaleźć słów odpowiedzi. Był już rozpalony do czerwoności, powstrzymywał się od działania tylko i wyłącznie dzięki swej żelaznej woli. Kiedy zaczęła go dotykać, odniósł wrażenie, że zrobiła to przez przypadek. A potem uniosła głowę i pieszcząc ustami ranę, od której omal nie zginął, na zawsze związała go ze sobą. Była to rana od kuli, która ugodziła go w chwili, gdy zostali rozdzieleni. Tamtej nocy, kiedy starał się ją ocalić.

Amelia ześlizgnęła się jeszcze niżej. Zatrzymała głowę na wysokości jego krocza, a na jego nodze zostawiła długi, wilgotny ślad. Świadomość, że sam widok jego ciała rozbudza ją tak, że staje się śliska i wilgotna, sprawiła, że jego jądra skurczyły się, a z penisa wypłynęła kropelka nasienia.

Kiedy ogarnęła jego erekcję głodnym wzrokiem, zabrakło mu tchu. Czy będzie miała śmiałość?

Sekundę później dostał odpowiedź. Jej język wysunął się i natychmiast zlizął kropkę.

Colin gwałtownie wypuścił powietrze. Przyjemność smagnęła go niczym nieoczekiwany świst z bicia.

Przyglądała mu się zmrużonymi oczami – dokładnie tak jak dawniej, przed laty. Było to wyrachowane spojrzenie. Takie samo kierowała na niego zawsze, kiedy zastanawiała się, czy podjąć wyzwanie. Uśmiechnął się. Nagle zrozumiał, że nigdy się nad niego nie wywyższała. Zawsze uważała, że są sobie równi.

– Do tej pory mi nie odpowiedziałeś – stwierdziła, otaczając nasadę jego członka kciukiem i palcem środkowym. – Czy w ustach kobiety mężczyzna czuje się inaczej niż w jej wnętrzu?



– Tak.

– Na czym polega ta różnica?

– Na wielu rzeczach. Pochwa ściska każdy centymetr penisa.

Faluje, rozszerza się i kurczy, i jest miękka jak jedwab. Natomiast usta kobiety ściskają nie poprzez swą budowę, ale poprzez ssanie. Powierzchnia języka jest szorstka, a mięsień – zwiczny, ruchomy. Może gładzić jak palec, co pobudza czułe miejsce – wskazał punkt na wewnętrznej stronie członka – o, tutaj.

– A ty – co wolisz? – zapytała, przesuwając złączone palce w dół i w górę, tak że musiał zacisnąć zęby.

– I to, i to jest bardzo przyjemne, każde na swój sposób.

– To żadna odpowiedź – mruknęła, pieszcząc go dalej.

– Trudno mi myśleć, kiedy tak robisz – wydusił w końcu.

Przerwała pieszczotę i z niecierpliwością czekała, aż odzyska panowanie nad sobą.

– To zależy od nastroju – wyrzekł w końcu. – Będą chwile, kiedy zechcę zatracić się w tobie. Trzymać cię blisko i czuć, jak twoje ciało się pode mną wije. Będę chciał ssać twoje piersi i zachłannie wdzierać się w usta. Patrzyć ci w twarz, kiedy szczytujesz, a potem przytulić cię do siebie.

On mówił, a Amelia stawała się coraz bardziej gorąca i wilgotna. Czuł to na swojej nodze. Ciągnął więc dalej, tym razem – w odpowiedzi na reakcję jej ciała – głębszym głosem.

– Innym znów razem będę chciał, abys ty mnie zadowolila.

Będę pragnął zatracić się w rozkoszy, która jest mi niedostępna,

jeżeli równocześnie dbam o twoją przyjemność. Widok twojego unżenia zaspokoi we mnie prymitywną męską żądze,

a równocześnie całkowicie oddam się w twoje ręce. Będę bezradny i bezbronny. Całkowicie zdany na twoją łaskę.

Uśmiechnęła się do niego figlarnie.

– Czuję, że mi się to spodoba.

– Możliwe, że tak, ale możliwe też, że nie. Wielu kobietom się to nie podoba. Nie potrafią docenić potęgi tego aktu. Czują się w nim

wykorzystane. Inne po prostu nie przepadają za smakiem męskiego nasienia.

– Hm...

Wiedział, co ma oznaczać to mruknięcie i co zwiastuje. Chciała sprawdzić, do którego rodzaju kobiet ona należy. Niestety, nie mieli na to czasu.

– Musisz się ubrać i bezpiecznie wrócić do swojego pokoju, zanim ktoś cię zauważy. O stosownej porze – która nie nadszarpnie twojej reputacji – spotkamy się i odsłonię przed tobą twarz. I moje tajemnice.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam – wyznała z niezadowoleniem, uwodzicielsko wydymając usta. Na ten widok znowu zeszytywniał i wyprężył się w pełnej erekcji.

– Będzie dla mnie niewysłowioną przyjemnością stać się obiektem twoich miłosnych eksperymentów, kochanie – rzekł chrapliwie. – Ale takie zabawy wymagają czasu i tego, by nikt nam nie przerywał. Dziś nie mamy takiego luksusu.

– Mówisz o naszych przyszłych spotkaniach z wielkim przekonaniem – powiedziała Amelia, nie odrywając wzroku od jego członka i wznawiając pieszczoty.

Colin nakrył jej dłoń swoją, by uspokoić jej ruchy.

– Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, i tobie radzę to samo.

– Ale wciąż nie wyjawileś przede mną swych zamiarów.

Pod wpływem ledwie opanowanego pożądania i palącej zaborczości obiecał:

– Moim zamiarem jest likwidacja wszystkich stojących między nami barier. Wtedy będę mógł w należyty sposób zabiegać o twoje względy. Mam zamiar robić to z wielką pompą. Oszołomię cię moją ekstrawagancją i złożę u twoich stóp cały świat. – Nie przestawał wodzić kciukiem po wierzchu jej dłoni. – A kiedy miłość do mnie wypełni każdy zakamarek twego serca – wtedy się z tobą ożenię.

Kochał ją. Nie mógł sobie wyobrazić życia bez niej. Nie po tej nocy. A jednocześnie nie mógł jej niczego obiecać – nie w sytuacji gdy za jego głowę wyznaczona była wysoka nagroda.

Mimo to udało mu się osiągnąć w jej łonie największy orgazm swego życia i złożyć w niej swoje nasienie. Nie miał dużo czasu. Zegar zaczął tykać.

Colin bacznie przyglądał się jej pięknej twarzy, ale nie potrafił odgadnąć jej myśli.

– Amelio?

Położyła policzek na jego udzie.

– Nie czekaj dnia, kiedy życie spełni wszystkie twoje warunki – wyszeptwała. – Ja nauczyłam się już, że jutro może wcale nie nadejść.

Melancholia w jej głosie uderzyła go jak niespodziewany cios. Wyciągnął do niej ramiona, a kiedy przywarła do niego nagim ciałem, jęknął z rozkoszy. Pożądanie przycichło, ustępując miejsca innej, bardziej skomplikowanej potrzebie. Potrzebie, by kurczowo uczepić się czegoś, co cenne a niepewne.

Zbliżał się świt, a żadne z nich nie było w stanie wypuścić drugiego z objąć.

## ROZDZIAŁ 12

---

Obudziło ją stukanie do drzwi. Maria, wyrwana ze snu i nieprzytomna, rozglądała się chwilę dokoła, nie wiedząc, gdzie jest. Dopiero po chwili zalała ją fala wspomnień z poprzedniego dnia i długiej, nieprzespanej nocy. Usiadła gwałtownie w łóżku, odrzuciła kołdrę i pospieszyła otworzyć.

– Christopher! – krzyknęła i z radością rzuciła się w ramiona męża, który przycisnął ją do siebie tak mocno, że jej stopy oderwały się od podłogi, a następnie wkroczył do pokoju.

– Jak udało ci się mnie tak szybko odnaleźć? – zapytała, kiedy kopnięciem zatrzęsnął za sobą drzwi.

– Odnalazłbym cię znacznie szybciej, gdybyś zatrzymała się w którymś z moich miejsc zamiast w tej nędznej norze! Dlaczego, do diabła, jesteś akurat tutaj?

– Simon się uparł – odparła. Nalegała, by skorzystali z noclegu w jednym z rozsianych po całym kraju domów, należących do Christophera. Nie były to wystawne rezydencje, lecz małe, skromne chaty, którymi opiekowali się pracownicy St. Johna. Były bezpieczne, wygodne i z reguły położone na uboczu, w miejscach, gdzie rzadko pojawiali się goście i gdzie raczej nie zadawano pytań. Ze względu na rodzaj świadczonych usług i anonimowość, którą dzięki temu zyskiwały, nazywano je „gospodami”. Dzięki ich schronieniu udało się uratować niejedno życie.

– Do diabła z nim – zachnął się Christopher, po czym schylił się do jej ust, nastawiając głowę do pocałunku.

Kiedy zabrakło jej tchu, a ciało zaczęło słabnąć, mruknął:

– Sprawiasz same kłopoty. Dlaczego znęcasz się nade mną i przysparzasz mi tyle zmartwień?

– To nie moja wina! – zaprotestowała, odrzucając na bok jego kapelusz.

– A czyja, jak nie twoja? – Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i rzucił na nie, rozognionym wzrokiem świdrując jej odzianą tylko w cienką koszulę postać. Zrzucił z ramion płową marynarkę i powiedział: – Gdybyś nie zachęcała Amelii do spełnienia tego kaprysu, nie trzeba by było jej teraz szukać, a ja nie musiałbym spędzać długiej, lodowatej nocy w podróży.

– Gdybym nie zaproponowała jej pomocy, sama wyruszyłaby na poszukiwania – rzekła Maria, wślizgując się pod kołdrę.

Christopher dołożył drewno do ognia, po czym zdjął kamizelkę i buty, i w samych spodniach i koszuli z krótkim rękawem położył się obok niej.

– Powiedz, jak udało ci się mnie tak szybko znaleźć – poprosiła, tuląc się do jego boku.

– Kiedy Sam wrócił z wiadomością, dokąd wyruszyłaś, wspomniiał też o Quinnie. Wysłałem ludzi, by znaleźli jego kwaterę. Kiedy tam przybyli, zastali jego służącego przy pakowaniu. Pojechałem za nim, a on doprowadził mnie aż tutaj.

Maria zmarszczyła czoło i uniosła głowę.

– Jak to możliwe? Nie mieliśmy pojęcia, że zatrzymamy się akurat w tej karczmie, dopóki na nią nie natrafiiliśmy.

– W takim razie Quinn musiał kłamać, bo jego służący, jak i pokojówka tej Francuzki, z którą się zadaje, przybyli prosto tutaj. Sama mówiłaś, że nalegał.

– Nalegał, byśmy zatrzymali się przy drodze – przyznała. Teraz jednak, kiedy o tym myślała, przypomniiała sobie, jak Simon upierał się, by na nocleg zostać w ostatniej karczmie przed Reading. Na

Marii lokal nie zrobił dobrego wrażenia i chciała jechać dalej, ale Simon bardzo narzekał na obolałe siedzenie i wygłodniały żołądek.

– Nie rozumiem. – Usiadła i odwróciła się twarzą do męża. – Nasze spotkanie w sklepie nie było zaplanowane. Jestem tego pewna. Nawet gdybym się myliła, to niemożliwe, by Simon wiedział, że Amelia ucieknie.

– Ale gdyby wiedział, kogo Amelia ściga i dokąd ten człowiek może zmierzać... – Christopher nie dokończył, pozwalając jej wyciągnąć własne wnioski.

– Mówił, że planują spędzić cały dzień w mieście i trochę odpocząć. Tymczasem twierdzisz, że jego służący pakował bagaże. Czemu kłamał? Po co udawał, że towarzyszy mi, aby mi pomóc, skoro miał własne powody, by śledzić Amelię?

– Będziemy musieli go o to później zapytać – jak wstaniemy.

– Za kilka godzin?

Ziewnął i pociągnął ją z powrotem w ramiona.

– Ustawiłem strażę przed jego pokojem, a pora jeszcze bardzo wczesna. Wysłałem swoich jeźdźców naprzód, by sprawdzili drogę. W tej chwili nie dzieje się nic, co nie mogłoby zaczekać, aż się trochę zdrzemnę. Potrzebuję snu – inaczej cały dzień będę do niczego. Poza tym – musisz mi to wybaczyć – ty też nie wyglądasz na wypoczętą.

Maria niechętnie umościła się w ramionach męża. Należała do kobiet, które lubią działać prędko. Dzięki temu zdołała przetrwać.

– Nie mogę spać, kiedy cię przy mnie nie ma – wyznała.

Przycisnął ją mocniej do siebie i ucałował w czoło.

– Miło mi to słyszeć.

– Najwyraźniej musiałam przywyknąć do twojego chrapania.

Czujnie podniósł głowę.

– Ja nie chrapię!

– Skąd miałbyś to wiedzieć? Przecież chrapiasz przez sen.

– Już dawno ktoś by mi o tym powiedział – sprzeczał się.

– Być może doprowadziłeś te osoby do takiego stanu, że zasnęły nawet przy twoim chrapaniu.

Powarkując, przetoczył się i przycisnął ją do łóżka całym ciężarem ciała. Mrugała, udając niewiniątko. Nikt prócz niej nie śmiał droczyć się z budzącym grozę piratem. Dla Marii zaś prowokowanie jego gniewu stanowiło cudowną, nieodpartą pokusę. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że mąż, czym bardziej wzburzony, tym bardziej gotowy na seks.

– Jeżeli życzy sobie pani zostać doprowadzoną do krańcowego wycieńczenia, *madame* – warknął, wsuwając rękę między ich ciała, by rozpiąć spodnie – to jestem gotów natychmiast podjąć to wyzwanie.

– Powiedziałaś, że jesteś do niczego i musisz się przespać.

Zadarł jej koszulę i wsunął rękę w krocze. Zareagowała natychmiast. Stała się wilgotna, gorąca i śliska od pożądania. Jęczała, kiedy ją głaskał, a on z aroganckim uśmiechem odsunął się nieco, by ustawić się w odpowiedniej pozycji.

– Czyżbym rzeczywiście wydawał ci się do niczego? – wysyczał, wchodząc w nią jednym pchnięciem.

– Och, Christopher – wyjęczała, pogrążona w namiętym zachwycie. Mimo że od ich ślubu minęło już sześć lat, jej uwielbienie dla męża nie zmniejszyło się nawet odrobinę. – Tak cię kocham. Proszę, nie zaśnij, zanim nie dojdę...

– Zapłacisz za to – rzucił głosem przepełnionym przyjemnością. Dopilnował, by tak się stało. I było cudownie.

Colin był w trakcie płukania brzytwy, kiedy jakiś dziwny odgłos odwrócił jego uwagę. Zamarł w bezruchu, wsłuchując się weń uważnie. Jego mięśnie już napięły się w oczekiwaniu na nadchodzącą konfrontację.

Amelia jakiś czas temu wróciła do swojego pokoju, ale wątpił, aby zdołała zasnąć. Była z natury zbyt ciekawska, zbyt niecierpliwa.

Znał ją na tyle dobrze, by wyobrazić sobie, jak niespokojnie krąży po pokoju i co chwila zerka na zegar, odliczając minuty, które dzielą ją od chwili, kiedy obnaży przed nią swą twarz.

O, i znowu. Dobrze słyszalne drapanie w drzwi.

Odłożył ostrze na blat umywalni, chwycił ręcznik i zaczął wycierać twarz, gdy drzwi otworzyły się. Stał w nich Jacques z ponurym wyrazem twarzy.

– Panna Benbridge została odnaleziona, *mon ami*.

Colin zamarł.

– Przez kogo?

– Dziś rano, przez jeźdźców. Rozmawiali z tym olbrzymem, który jej towarzyszył, a potem odjechali.

Colin westchnął ciężko i skinął głową.

– Poprosiłeś o prywatną jadalnię, jak prosiłem?

– *Mais oui*.

– Dziękuję. Zaraz zejść.

Ciche stuknięcie oznajmiło, że drzwi się zamknęły. Colin przyspieszył toaletę. Przyrzekł Amelii wyjaśnienie i zamierzał zdążyć z tym, zanim ktoś im przerwie.

Skinął głową do służącego, odwrócił się do niego plecami i wsunął ramiona w podany surdut, który dobrał specjalnie na ten poranek. Był to niezwykle i wytworny strój, kolorem przywodzący na myśl upierzenie pawia. Wystarczyło spojrzeć na delikatnie haftowany komplet, składający się ze spodni i z wyszywanej srebrną nicią kamizelki, by domyślić się, że musiał kosztować fortunę. Colin Mitchell, którego z takim uczuciem wspominała Amelia, nie mógłby pozwolić sobie na kupno tak szykownej odzieży. Włożył ją dziś specjalnie po to, by jasno i otwarcie świadczyła o zmianie jego statusu i pozycji. Marzenie, by stać się człowiekiem, który może starać się o jej rękę, wreszcie się spełniło. Chciał, aby od razu to zauważyła.

Odpowiednio ubrany i z pełnym wewnętrznym przekonaniem o słuszności swego rozumowania, wyszedł z sypialni i po schodach



skierował się do głównej sali jadalnej. Niemal natychmiast natknął się na słusznej postury mężczyznę, który towarzyszył Amelii.

Siedział oparty o ścianę i nie przestawał lustrować wzrokiem pomieszczenia. Kiedy Colin ruszył w jego stronę, natychmiast napotkał jego baczne, świdrujące spojrzenie.

– Dzień dobry – przywitał go, zatrzymując się tuż przed stołem, przy którym siedział.

– Dobry – odezwał się gruby, niezadowolony głos.

– Jestem hrabia Montoya.

– Zdążyłem się zorientować.

– Muszę panie Amelii wyjaśnić wiele rzeczy. Czy pozwoli mi pan to zrobić?

Olbrzym wydał wargi i odchylił się na krzesło.

– O co konkretnie chodzi?

– Zarezerwowałem prywatną jadalnię. Zostawię drzwi uchylone, ale proszę, aby pozostał pan na zewnątrz.

Mężczyzna wstał zza stołu i natychmiast okazało się, że znacznie góruje wzrostem nad Colinem, który sam był przecieź słusznej postury.

– W porządku, jeśli chodzi o mnie i o moją szpadę.

Colin skinął głową i ustąpił mu drogi, ale kiedy olbrzym go mijał, powiedział:

– Proszę to przekazać panie Amelii.

I wręczył mu przedmiot, który trzymał w ręku. Po krótkiej chwili zastanowienia Tim wziął go i ruszył w górę po schodach. Colin czekał, aż na nie wejdzie, a potem skierował się do prywatnej jadalni i starał przygotować się w duchu na czekającą go rozmowę – najtrudniejszą w życiu.

W tej samej chwili, kiedy Maria wkroczyła do sali jadalnej, Simon wiedział, że zbliżają się kłopoty. Roztaczała wokół siebie blask kobiety zaspokojonej przez kochanka, ale nie tylko po tym poznał, że jego fortel zakończył się fiaskiem. O niepowodzeniu jego planu

świadczyło również to, że Maria miała na sobie świeżą suknię. Ostateczny dowód klęski nadszedł kilka kroków za nią – w postaci Christophera.

– Cóż za przyjemny początek dnia – odezwała się Lysette ze śmiechem. Normalnie Simon nie znosił cynicznej radości, z jaką witała kłopoty, ale tym razem, po jej dziwnym zachowaniu w nocy, przyjął ten komentarz z prawdziwą ulgą.

Simon westchnął z rezygnacją i wstał od stołu.

– Dzień dobry – powiedział, kłaniając się nadchodzącej, uderzając pięknej parze. Jasna karnacja i blond włosy Christophera w połączeniu z hiszpańską urodą Marii zawsze wywierały piorunujące wrażenie.

– Quinn – odezwał się St. John.

– Simon – mruknęła Maria. Opuściła się na krzesło, które odsunął dla niej mąż i sztywno złożyła ręce na stole. – Wiesz, kim jest mężczyzna w masce. Powiedz.

Simon z powrotem zajął swoje miejsce i odparł:

– To hrabia Reynaldo Montoya. Przez wiele lat dla mnie pracował.

– Pracował? – powtórzył pirat. – Już nie pracuje?

Simon opowiedział przebieg zdarzeń z udziałem Cartlanda.

– Mój Boże – odetchnęła głośno Maria, a jej ciemne oczy wypełnił strach. – Amelia wspominała, że temu człowiekowi grozi niebezpieczeństwo, ale nikt się nie spodziewał, że aż takie. Czemu mi nie powiedziałaś? Czemu kłamałaś?

– Mario, to skomplikowane – odparł, wściekły, że zawiódł zaufanie osoby, która tak rzadko darzyła nim ludzi. – Nie jestem upoważniony, by zdradzać osobiste sekrety Montoi. On wielokrotnie ocalił mi życie. Jestem mu winien przynajmniej milczenie.

– Ale co z moją siostrą? – zawołała. – Przecież wiesz, ile dla mnie znaczy. Żeby wiedzieć, co jej grozi i nic mi nie powiedzieć... – Głos jej się załamał. – Wierzyłam ci, a ty mimo wszystko...

St. John złapał żonę za rękę. Ten gest pocieszenia głęboko zabolął Simona. Spośród wszystkich kobiet na świecie Maria zawsze była mu najdroższa.

– Chciałem ci pomóc ją odnaleźć, a potem odstawić was obie w bezpieczne miejsce – wyjaśnił Simon – natomiast sam załatwić interesy z Montoyą.

Oczy Marii zwięzły się. Biła z niej wściekłość, kontrastująca z delikatnością dziewczęcej, kwiecistej sukienki, którą dziś włożyła.

– Powinieneś był mi powiedzieć, Simonie. Gdybym wiedziała, rozegrałabym tę sprawę zupełnie inaczej.

– Tak – zgodził się. – Zaczęłabyś wypytywać o Montoyę każdego, kogo tylko byś napotkała na swej drodze, co wzbudziłoby czujność Cartlanda, a Amelię postawiło w obliczu jeszcze gorszego niebezpieczeństwa.

– Skąd możesz wiedzieć! – sprzeciwiła się.

– Pracował dla mnie. Znam wszystkie jego mocne strony. Łatwość, z jaką odnajduje zaginionych ludzi i rzeczy to jego wielka zaleta. Ludzie, przeczesujący okolicę, wzbudziliby podejrzenia pierwszego lepszego prostaka, a co dopiero Cartlanda!

Nad ich pełną napięcia, coraz głośniejszą dyskusję wybił się schrypnięty, charakterystycznie wymawiający spółgłoski głos pirata.

– A pani, *mademoiselle* Rousseau, co pani ma do powiedzenia? Lysette lekceważąco machnęła ręką.

– Ja tu jestem sędzią.

– I wykonawcą, w razie potrzeby – burknął Simon.

St. John uniósł brew.

– Fascynujące.

Maria odepchnęła krzesło od stołu i wstała. Simon i St. John natychmiast zrobili to samo.

– Straciłam już wystarczająco dużo czasu – ucięła. – Muszę odnaleźć Amelię, zanim zrobi to kto inny.

– Pozwól, że pojedę z tobą – poprosił Simon. – Mogę się przydać.

– Już się przydałeś, dziękuję bardzo.

– Lysette widziała w nocy trzech jeźdźców, pytających o drogę – odezwał się Simon ponuro. – A więc będziesz potrzebować wszelkiej pomocy. Bezpieczeństwo Amelii znajduje się w kręgu twoich zainteresowań, a Montoya i Cartland – moich.

– Oraz moich – wtrąciła się Lysette. – Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie kontaktujemy się z człowiekiem, dla którego pracujesz tu, w Anglii. Wydaje się dotąd niewykorzystanym, ale bardzo cennym źródłem informacji.

– St. John z całą pewnością dysponuje większą i pewniejszą siecią informatorów – sprzeciwił się Simon. – Których w dodatku można natychmiast włączyć do akcji.

– Mario – St. John położył rękę w zagłębieniu pleców żony. – Quinn wie, jak wyglądają. My go nie znamy. Bez niego będziemy ślepi.

Maria przeniosła wzrok na Simona.

– A czemu ten Montoya nosi maskę?

Zachowując szczególną ostrożność, by jego twarz niczego nie zdradziła, Simon przedstawił argumenty, które podał mu Colin.

– Założył maskę na bal maskowy. Potem włożył ją, by utrudnić pannie Benbridge odnalezienie go. Nie chciał wystawiać jej na niebezpieczeństwo. Zależy mu na niej.

Maria uniosła rękę, by mu przerwać.

– Jest jeszcze jedna komplikacja – oznajmił pirat. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Lord Ware może nas śledzić.

– Żartujesz! – wykrzyknęła Maria.

– Kim jest lord Ware? – zapytała Lysette.

– Do kroćset! – mruknął Simon. – Ostatnią rzeczą, jakiej moglibyśmy sobie życzyć, jest zagrożenie życia wysoko postawionej osoby.

– Prosił, bym wziął go ze sobą – wyjaśnił niechętnie St. John. – Ale odjazd lokaja Quinna uniemożliwił mi dalsze oczekiwanie. Mimo to prosił, żeby wskazać mu drogę. Miałem nadzieję, że przemyśli to i się wycofa, ale niewykluczone, że wykaże się większą wytrzymałością niż inni ludzie jego stanu.

Maria gwałtownie wypuściła powietrze.

– W takim razie mamy podwójny powód do pośpiechu.

– Odesłałem miejski powóz z powrotem do Londynu – rzekł pirat. – Pietro właśnie przygotowuje mój powóz podróżny, więc dziś powinniśmy mieć lepszy czas.

Simona nie czekała niestety zmiana środka lokomocji. Cóż, jego obolale siedzenie będzie musiało jakoś wytrwać.

W promieniach wschodzącego słońca wyruszyli w stronę Reading.

Amelia otworzyła drzwi w tej samej chwili, kiedy rozległo się stukanie.

– Tim! – krzyknęła, zdziwiona i nie całkiem zadowolona na widok gościa. Przyszło jej do głowy, że być może zamierza nakłonić ją do natychmiastowego odjazdu. Zmusiłoby ją to do wyjaśnień, co zaszło ostatniej nocy.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej zmierzwione włosy i nieporządny strój, by zaklął tak ostro, że się skrzywiła.

– Okłamała mnie panienka! – rzucił oskarżycielsko, wkraczając do środka.

Mrugnęła. Skąd wiedział?

Dopiero wtedy spostrzegła, co miał w rękę, i odpowiedź na zadane pytanie straciła na znaczeniu.

– Pokaż – powiedziała. Serce waliło jej jak oszałałe. Tim miał maskę. Skąd? Dlaczego?

Tim dłuższą chwilę nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia. Następnie podał jej maskę i liścik.

*Ukochana,*

*Proszę, oto moja maska. Następnym razem, kiedy się spotkamy, nie będę jej miał na sobie.*

*Twój sługa,  
M.*

Na myśl, że Montoya mógł zbiec po ich rozstaniu, zrobiło jej się słabo.

– Mój Boże – szepnęła, przyciskając maskę do piersi. – On odjechał?

Tim potrząsnął głową.

– Czeka na panienkę na dole.

– Muszę do niego iść.

Amelia pospiesznie podeszła do nietkniętego łóżka, na którym spoczywał jej gorset i halki. Montoya nie zdążył ubrać jej do końca, w obawie, że ktoś mógłby ją zastać w jego pokoju. Miała nadzieję, że uda jej się wezwać pokojówkę, ale okazało się, że to Tim będzie musiał stawić czoło zadaniu.

– Chyba powinniśmy zaczekać, aż przyjedzie St. John – powiedział Tim. – Jest już w drodze.

– Nie – odparła szybko, zastygając w bezruchu. Czas spędzony z Montoyą był dla niej zbyt cenny. Obecność siostry i szwagra pogłębi tylko jej skrepowanie i niepokój. – Muszę pomówić z nim na osobności.

– Już panienka była z nim sam na sam – warknął, rzucając znaczące spojrzenie na nietknięte łóżko. – St. John urwie mi za to głowę. Nie mam ochoty dawać mu do tego więcej powodów.

– Nie rozumiesz. Muszę zobaczyć twarz Montoi. Chyba nie oczekujesz, że zrobię to przy świadkach, w dodatku wściekłych – przekonywała go, gestykulując rozpaczliwie.

Tim wpatrywał się w nią z mocno zaciśniętymi zębami i pięściami.

– Nie dalej jak kilka minut temu podziwiałem go za to, że mnie odszukał. Teraz mam ochotę rozerwać go na strzępy. Nie powinien był panienki brać.

– Pragnęłam tego – odparła ze łzami w oczach. – To ja go do tego popchnęłam. Zachowałam się samolubnie. Myślałam tylko o sobie.

Dokładnie tak samo jak jej wstrętny ojciec. Niech będzie przeklęta krew, płynąca w jej żyłach. W jej życiu panował nieporządek, bo potrafiła myśleć tylko o sobie.

– Niech panienka nie płacze! – poprosił Tim, robiąc nieszczęśliwą minę.

To ona była przyczyną jego niezręcznego położenia. Musiała to jakoś naprawić. Najpierw jednak trzeba było wyjaśnić sprawę Montoi – człowieka, przez którego jej życie zmieniło się w istne szaleństwo.

– Muszę z nim porozmawiać, zanim przyjadą – stwierdziła, po czym zrzuciła z siebie niezapiętą suknię, wbiła się w gorset i ustawiła plecami do Tima. – Będę potrzebowała twojej pomocy przy ubieraniu się.

Tim mruknął coś pod nosem i podszedł do niej chwiejnie. Sądząc po jego rozgniewanym spojrzeniu, miała szczęście, że nie dosłyszała jego utyskiwań.

– Myślę, że mimo wszystko ożenię się z Sarah – warknął i zacisnął sznurowadła gorsetu z taką siłą, że zabrakło jej tchu. – Jestem na to wszystko za stary.

Łapczywie chwytając powietrze i nie mogąc wydusić ani słowa, trzepnęła go ręką, by trochę popuścił. Spojrzał na nią wilkiem. Zdawał się nie rozumieć, że za chwilę zemdleje i dlaczego. W końcu wystękał słowa przeprosin i rozluźnił sznurowadła.

– Mam nadzieję, że przynajmniej się panienka cieszy – mruknął – że doprowadziła mnie panienka do ołtarza.

Amelia wciągnęła na siebie halki. Kiedy Tim umocował je na niej, podniosła rzuconą na podłogę suknię i pospiesznie wbiła ręce w rękawy.

Grube palce Tima niezdarnie zapinały maleńkie guziczki.

– Jesteś kochany – rzuciła i spojrzała na niego przez ramię. – Nie wiem, czy już ci to mówiłam, ale to prawda. Dobry z ciebie człowiek.

Rumieniec, jakim się oblał, mówił sam za siebie.

– Radzę mu, żeby się z panienką ożenił, jeśli panienka sobie tego życzy – rzekł ponuro, nie odrywając oczu od rzędu guzików. – W przeciwnym razie uduszę go i wypatroszę niczym rybę.

Była to swego rodzaju propozycja zawarcia pokoju. Amelia przyjęła ją z wdzięcznością.

– Chętnie ci pomogę, jeżeli będzie trzeba.

Prychnął, ale szybkie spojrzenie za plecy wystarczyło, by przekonać się, że się uśmiecha.

– Nawet nie wie, w jakie kłopoty się pakuje, zadając się z panienką.

Amelia zaczęła wiercić się niecierpliwie.

– Mam nadzieję, że dożyję dnia, kiedy będziemy mogli mu to udowodnić.

W tej samej chwili Tim oznajmił, że skończył, a ona wciągnęła pończochy i włożyła buty, po czym w pośpiechu ruszyła do drzwi. Kiedy z największą godnością, na jaką potrafiła się zdobyć, schodziła po schodach, oddychała tak prędko i płytko, że myślała, iż za chwilę zemdleje.

Następne minuty miały na zawsze odmienić jej przyszłość. Czula to pod skórą. Ogarnęło ją złowieszcze przeczucie tak obezwładniające, że omal nie poddała się i nie uciekła. Pragnienie Montoi okazało się jednak silniejsze – wiedziała, że jeśli teraz zrezygnuje, nigdy już nie doświadczy podobnych emocji. Z jednej strony wciąż cierpiała z powodu zdrady pierwszej i najdroższej miłości jej życia



– Colina. Z drugiej – dużo starsza i mądrzejsza – rozumiała już, że uczucie do jednego mężczyzny nie wykluczało fascynacji innym.

Drżącą ręką przekreśliła gałkę w drzwiach do prywatnej jadalni. To normalne, że była podenerwowana. Miała stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który patrzył na nią i dotykał tak jak nikt inny do tej pory. Napięcie związane z perspektywą ujrzenia jego twarzy pogłębiało tylko jej niepokój.

Amelia wzięła długi, głęboki wdech i zastukała.

– Proszę.

Zanim opuściły ją resztki odwagi, krokiem tak pewnym, na jaki zdołała się zdobyć, weszła do środka. Tuż za progiem zatrzymała się i rozejrzała się po pokoju. Był przytulny, z jasno płonącym ogniem na kominku, okrągłym, nakrytym obrusem stołem i przedstawiającymi wiejskie krajobrazy obrazami na ścianach. Montoya stał tyłem do niej, twarzą do okna, z rękami założonymi za plecami. Jego szerokie bary opinał najdroższy, barwny jedwab, a lśniąca, czarne loki były zebrane w warkocz, który kończył się pomiędzy łopatkami.

Widok szykownej postaci w prostym, wiejskim pokoiku wywierał piorunujące wrażenie. Potem Montoya odwrócił się, a ona zamarła, zszokowana.

*To nie może być on, pomyślała panicznie. To niemożliwe.*

Jej serce przestało bić, a w płucach zabrakło powietrza. Nagle poczuła pustkę w głowie, jakby ktoś zadał jej potężny cios, od którego utraciła zdolność rozumowania.

Colin.

Jak to możliwe...?

Kolana ugięły się pod nią i na oślep wyciągnęła rękę, by wesprzeć się na krześle, ale chybiła. Runęła na dywan. Gęste od napięcia powietrze przeszył jej jęk – jakby instynkt pospieszył jej z pomocą i przypomniał o zaczerpnięciu oddechu.

– Amelio... – dopadł do niej, ale wystawiła rękę, by go zatrzymać.

– Odejdź! – zdołała wydusić przez boleśnie zaciśnięte gardło. Colin Mitchell, którego znała i kochała, nie żył.

W takim razie, jak to możliwe, pytał jej wewnętrzny głos, jak to możliwe, że *jest tu, przy niej?*

To nie może być on... To nie może być on...

Powtarzała te słowa w głowie niczym litanie. Nie mogła znieść myśli o latach, które spędzili rozdzieleni, o życiu, które musiał w tym czasie prowadzić, o dniach i nocach, o zapachach, o śmiechu...

Zdrada była tak pełna i perfidna, że nie wyobrażała sobie, aby jej ukochany Colin mógł się takiej dopuścić. To niemożliwe. Patrzyła na stojącego naprzeciw niej mężczyznę o niebezpiecznej urodzie, a jej serce szeptało rozziewającą prawdę.

*Poznałabym go wszędzie, mówiło. Mój ukochany.*

Jak więc mogła przeoczyć sygnały?

*Bo zginął. Bo oplakiwałam go tak długo, tak głęboko.*

Pozbawiona maski, egzotyczna, cygańska twarz Colina nie pozostawiała cienia wątpliwości. To rzeczywiście był on. Starszy. Jego rysy nabrały ostrości i wyrazistości, ale nie utraciły chłopięcych znamion, które tak kochała. Oczy natomiast należały do Montoi – kochające, spragnione i mądre.

A więc to Colin był jej kochankiem...

Zakłama boleśnie i przykryła usta ręką.

– Amelio...

Słyszac jego pełen cierpienia ton, zapłakała jeszcze goręcej. Obcy akcent nagle zniknął. Pozostał głos, który słyszała tylko w snach. Był teraz głębszy i bardziej dojrzały, ale należał do Colina.

Odwróciła wzrok. Nie mogła znieść jego widoku.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – zapytał cicho. – Żadnych pytań? Żadnych wyrzutów?

Na usta cisnęły jej się setki słów, a wśród nich – te dwa najcenniejsze, ale nie pozwoliła, by padły. Nie chciała odsłaniać swego rozziewającego bólu. Zamiast tego wbiła wzrok w zdobiący ścianę

mały, kwadratowy obrazek, przedstawiający jezioro. Jej dolna warga zatrzęsała się. Amelia przygryzła ją, by nie dać po sobie poznać targających nią emocji.

– Moje ciało było w twoim – rzekł ochryple. – W twojej piersi bije moje serce. Nie możesz chociaż na mnie spojrzeć, jeżeli nie chcesz się do mnie odezwać?

Odpowiedziała milczeniem i łzami, które szerokim, nieprzerwanym strumieniem polały się po jej policzkach.

Zaklął i podszedł do niej.

– Nie! – krzyknęła, zatrzymując go. – Nie podchodź!

Szczęka Colina zacisnęła się, a twarz zaczęła dziwnie drgać. Widok dojrzałego, pełnego ogłady hrabiego Montoi i Colina – jej młodzieńczej miłości pod jedną postacią był czymś niezwykłym. Wyglądał niby tak samo, a jednak inaczej – był większy, silniejszy, pełen życia, uderzająco przystojny, i roztaczał wokół siebie tak silną aurę męskości, że niewielu innych mogłoby z nią konkurować. Dawniej śniła o dniu, kiedy się pobiorą i będzie mogła wreszcie uznać go za swego.

Te sny przepadły jednak wraz z jego śmiercią.

– Ja wciąż o tym śnię – mruknął w odpowiedzi na słowa, które bezwiednie wypowiedziała. – I wciąż tego pragnę.

– Pozwoliłeś mi uwierzyć, że nie żyjesz – wyszeptwała, wciąż nie mogąc połączyć Colina, którego pamiętała z młodości ze stojącym teraz przed nią wytwornie ubranym mężczyzną.

– Nie miałem wyboru.

– Mogłeś się ujawnić w dowolnej chwili. A ty zniknąłeś na całe lata!

– Wróciłem najszybciej, jak mogłem.

– Jako inny człowiek! – Gwałtownie pokręciła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej wspomnienia ostatnich tygodni. – W okrutny sposób zagrałeś na moich uczuciach. Sprawileś, że serce zabiło mi mocniej do mężczyzny, który nie istnieje.

– Ja istnieję! – Wyprostował się przed nią i stał ze ściągniętymi ramionami i z uniesionym dumnie podbródkiem. – Nie odgrywałem przed tobą żadnej roli. Każde słowo, które padło z ust Montoi, każdy jego dotyk, płynęły prosto z mojego serca. We mnie i w nim bije to samo serce. Jesteśmy jednością. Obaj zakochani w tobie do szaleństwa.

Machnięciem ręki zlekceważyła jego wyznanie.

– Mówiłeś z akcentem, żebyśmy uwierzyła, iż masz zniekształconą twarz.

– Akcent był maską, to prawda. Nie chciałem, abyś domyśliła się, kim jestem, zanim sam nie będę mógł ci tego powiedzieć. Cała reszta była wytworem twojej wyobraźni – nie moim zamysłem.

– Nie obarczaj mnie winą za tę farsę! – Amelia z trudem podniosła się na nogi. – Dopuściłeś do tego, bym cię oplakiwała. Czy masz pojęcie, jak bardzo przez te wszystkie lata cierpiałam? I przez ostatnie tygodnie, kiedy czułam, że zakochując się w Montoi, zdradzam Colina?

Jego twarz spochmurniała. Amelia musiała ze wstydem przyznać, że odczuwa rodzaj złośliwej satysfakcji na widok udręki, która położyła się cieniem na jego obliczu.

– Twoje serce nie dało się oszukać – powiedział szorstko. – Ono od początku wiedziało.

– Nie, to ty.

– Tak! – W jego ciemnych oczach zapalił się płomień. – Przypominasz sobie, czyje imię wykrzyczałaś, szczytując w rozkoszy? Kiedy byłem w tobie tak blisko, jak nie można bliżej, pamiętasz, czyje imię bezwiednie przyszło ci do głowy?

Amelia z trudem przełknęła ślinę. Próbowowała uporządkować milion wrażeń, którym poddane zostało jej niedoświadczone ciało. Przypomniła sobie bliznę po ranie postrzałowej na jego ramieniu i to, jak blizna ta – nie wiedzieć czemu – nie dawała jej spokoju.

– Doprowadzałeś mnie do szaleństwa! – rzuciła oskarżycielsko.

– Chciałem ci powiedzieć, Amelio. Próbowalem.

– Przecież mogłeś! Prawie cię o to błagałam.

– Po to, żeby podobną rozmowę odbyć bezpośrednio po naszym zbliżeniu? – prychnął. – Nigdy! Dzisiejsza noc była kulminacją moich najgłębszych, najskrytszych marzeń i fantazji. Za nic w świecie nie chciałem tego zniweczyć.

– Już została zniweczona! – krzyknęła, drżąc na całym ciele. – Teraz czuję się tak, jakbym straciła dwóch ukochanych. Colin, którego znałam, nie żyje, a Montoya był tylko kłamstwem.

– Nie jest kłamstwem!

Colin podszedł do niej zdecydowanym krokiem, a ona pospiesznie złapała stojące w pobliżu krzesło za oparcie i ogrodziła się nim od mężczyzny. Solidny, drewniany mebel nie stanowił jednak dla Colina żadnej przeszkody. Szybko odsunął go na bok.

Rzuciła się do ucieczki, ale złapał ją i otoczył rozdygotane ciało ramionami. Dotyk podziałał na nią obezwładniająco. Zdruzgotana, trwała w objęciach Colina.

– Kocham cię – wymamrotał, przyciskając usta do jej skroni. – Kocham cię.

Od dawna modliła się, by usłyszeć z jego ust te słowa. Teraz jednak, kiedy padły, znaczyły tak mało. Było za późno.

## ROZDZIAŁ 13

---

Powóz zajechał na podwórze gospody, wskazanej przez wysłanych przodem ludzi. Maria, przygotowując się do wysiadania, wzięła do rąk kapelusz i rękawiczki.

– Rzadko się zdarza widzieć cię w stanie takiego niepokoju – wymamrotał Christopher, lustrując ją sennym wzrokiem spod w półprzymkniętych powiek. Znała go za dobrze, by wierzyć w jego słowa.

– Ulżyło mi, że ją znaleźliśmy i że miała wystarczająco dużo rozsądku, by wlec za sobą Tima. Mimo to pozostają jeszcze do rozwiązania kwestie Ware’a i Montoi – westchnęła Maria. – Moja młodość nie należała do udanych, ale teraz czuję wdzięczność, że byłam zbyt zajęta, by angażować się w tego typu romanse.

– Po prostu czekałaś na mnie – prychnął Christopher i zanim włożyła rękawiczkę, ujął jej dłoń i pocałował.

Położyła rękę na jego policzku i uśmiechnęła się.

– Byłeś tego wart.

Powóz zatrzymał się i Christopher wyskoczył na ziemię, by pomóc wysiąść żonie. Przyjmując jego rękę, Maria powiedziała:

– Dziwię się, że Tim nie wyszedł nas przywitać.

– Ja także – zgodził się St. John. Zerknął na stangreta i dodał: – Pietro, zajmij się końmi, a potem wyładuj bagaż panny Benbridge. Pietro skinął głową i odjechał w kierunku stajni.

– Ty zawsze o wszystkim myślisz – pochwaliła go Maria, oplatając jego palce swoimi.

– Nie. Myślę tylko o tobie – poprawił ją i obdarzył intensywnym spojrzeniem – identycznym jak to, które wiele lat temu tak ją urzekło.

Poczekali na Simona i *mademoiselle* Rousseau, po czym wszyscy razem weszli do cichej o tej porze gospody.

– Zapytam o Tima – rzekł Christopher, podchodząc do lady. Chwilę później, wraz z właścicielem gospody wyszedł z sali.

– O co chodzi? – zastanawiała się głośno *mademoiselle* Rousseau.

– Zamówmy coś do jedzenia – zaproponował Simon. – Umięram z głodu.

– Ty zawsze umierasz z głodu – mruknęła.

– Ponieważ przebywanie w twoim towarzystwie, *mademoiselle*, kosztuje mnie niezwykle dużo energii – odparował.

Nie zaprzestając sprzeczki, oddalili się, a Maria została sama w towarzystwie lokaja. Kiedy spostrzegła nadchodzącego Christophera, a zaraz za nim Tima, zmarszczyła czoło. Na widok ponurej miny wiernego sługi ruszyła im na spotkanie.

– Gdzie Amelia?

– Wygląda na to – rzekł przeciągle Christopher – że jej tajemniczy adorator postanowił zrzucić maskę.

– Och – zerknęła na Tima, który z jednej strony sprawiał wrażenie urażonego, a drugiej – rozgniewanego. – O co chodzi?

– Rozmawiają teraz w prywatnej jadalni – wyjaśnił Christopher.

– Przy otwartych drzwiach, żeby nie było żadnych podejrzeń.

Z odgłosów, które stamtąd dochodzą, można wnioskować, że sytuacja nie rozwija się na jego korzyść.

– Dlaczego?

– Kiedy do mnie podszedł – zagrzmiał Tim – przyszło mi do głowy, że skądś znam tę twarz, ale nie mogłem sobie przypomnieć,

skąd. Dopiero potem zrozumiałem, kiedy posłuchałem sobie ich rozmowy.

– Co rozumiałeś? – zapytała, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Kim on jest? Znamy go?

– Pamięta pani te obrazki, które rysowałem dla pani w Brighton? – zapytał Tim, nawiązując do okresu jej narzeczeństwa z Christopherem. Wtedy, po wielu nieudanych próbach odnalezienia Amelii, Tim wykorzystał swą doskonałą pamięć i świetny talent rysunkowy do sporządzenia portretów służących, którzy uprowadzili Amelię.

Maria skinęła głową. Doskonale pamiętała te rysunki.

– Tak, oczywiście.

– A więc człowiek, z którym ona teraz rozmawia, to jeden z nich.

Maria zmarszczyła czoło i usiłowała przypomnieć sobie je wszystkie. Był tam obrazek przedstawiający Amelię i Pietra, jej guwernantkę, i młodego koniuszego...

– To niemożliwe – rzuciła, potrząsając głową. – Tamten młodzieniec to był Colin. Chłopak zginął, kiedy próbował uratować Amelię.

– Bratanek Pietra, prawda? – przypomniał sobie Christopher, unosząc brew. – Jeżeli są jakieś wątpliwości co do jego tożsamości, to Pietro pomoże nam je rozwiązać.

– Do diabła – powiedziała, rozgorączkowana, po czym odwróciła się na pięcie, odszukała wzrokiem Simona, który właśnie siadał na krześle, i żwawo ruszyła w jego stronę.

Ten podniósł wzrok i jego niebieskie oczy trafiły prosto na nią. Najpierw załśniły życzliwie na powitanie, a potem zwęziły się ostrzegawczo. Uśmiech, w którym uniosły się jego zmysłowe wargi, zbladł, a po twarzy przebiegło zrezygnowanie. Wtedy Maria przestała mieć wątpliwości, że to prawda. Serce ścisnęło się jej na myśl o udreće, jaka stała się udziałem siostry.

– Mów – warknęła, kiedy wstał.



Simon skinął głową i podsunął jej puste krzesło, stojące między nim a *mademoiselle* Rousseau.

– Może zechcesz usiąść – zaproponował zmęczonym tonem. – To może trochę potrwać.

– Puść mnie, Colinie.

Amelia siłą woli powstrzymała szloch. Dotyk jego masywnego, silnego ciała, ciasno przylegającego do jej pleców, wydawał się jednocześnie błogosławieństwem i torturą. Poniosły ją skrajne emocje – od dzikiej, nieopanowanej radości po poczucie odrzucenia – emocje bliskie tym, które przeżywała pod wątpliwą opieką ojca.

– Nie mogę – odparł chrapliwie i jeszcze mocniej przycisnął swój rozgrzany policzek do jej twarzy. – Boję się, że uciekniesz, jeśli tylko cię puszczę.

– Chcę uciec – wyszeptała. – Opuścić cię tak, jak ty mnie opuściłeś.

– Wtedy odejście było jedynym wyjściem, które dawało mi szansę, by cię odzyskać. Nie widzisz tego? – Ton jego głosu przybrał błagalny odcień. – Gdybym wtedy nie odszedł w świat, by zdobyć majątek, nigdy nie mógłbym z tobą być, a tej myśli bym nie przeżył, Amelio. Byłem gotów zrobić wszystko, byle tylko cię zdobyć. Byłem gotów nawet opuścić cię na pewien czas.

Próbowała odsunąć od siebie jego ramiona. Powietrze, którym oddychała, przepelniał teraz jego zapach – ten sam, który przywoływał wspomnienia ich wspólnej, namiętnej nocy. Woń, która budziła jej ciało do życia. Ta chwila była dla niej udręką.

– Puść mnie.

– Obiecay, że zostaniesz i mnie wysłuchasz.

Amelia skinęła głową. Wiedziała, że nie ma wyboru. Wiedziała, że muszą zamknąć przeszłość, by oboje mogli wrócić do swojego życia.

Stała przed nim z wysoko uniesionym podbródkiem i obojętnym – gdyby nie lejące się niepowstrzymanym strumieniem łzy –

wyrazem twarzy. Colin nie próbował ukryć swojego cierpienia. Bolesne emocje wykrzywiły jego piękne rysy.

– Być może czułabym się inaczej – zaczęła bezbarwnym głosem – gdybyś mnie uprzedził, że zamierzasz rozpocząć nowe, inne życie. Gdybyś wtajemniczył mnie w swój plan, zamiast mnie z niego wykluczać.

– Amelio, spójrz na to uczucie – powiedział żarliwie, splatając dłonie za plecami, jakby siłą powstrzymywał się, by nie wyciągnąć do niej ręki. – Nigdy nie pozwoliłabyś mi odejść, a gdybyś błagała, żebym został, nie zdołałbym ci odmówić.

– Dlaczego mnie opuściłeś?

– Nie mogłem nawet marzyć o tobie, będąc służącym i zarabiając jak służący. Jak miałem złożyć ci u stóp cały świat, kiedy niczego nie posiadałem?

– Zniosłabym nawet skromne życie, pod warunkiem że ty byś je ze mną dzielił!

– A noce? – rzucił wyzywająco. – Czułabyś to samo, drżąc z zimna, bo nie stać by nas było na opał? A dni? Gdybyśmy musieli wstawać przed świtem i pracować do utraty sił?

– Przy tobie byłoby mi ciepło, tak samo jak dziś w nocy – odparowała. – Życie pełne takich nocy... Do diabła z opałem, wystarczyłoby, gdybyś ty ogrzewał mi łóżko. A jeśli chodzi o dni... to każda godzina przybliżałaby mnie do ciebie. Zniosłabym najgorsze warunki, gdybym dzięki nim mogła być przy tobie.

– Ale zasługujesz na więcej!

Amelia tupnęła nogą.

– Nie tobie było decydować, czy zniosę skromne życie! Nie tobie było sądzić, czy wytrzymam!

– Ani przez chwilę nie wątpiłem, że podejmiesz dla mnie każdy wysiłek – sprzeciwił się. Cała jego potężna postać drżała od emocji, co bardzo przypominało dawnego Colina. – Wątpiłem tylko w siebie! Czy ja będę wystarczająco silny, czy ja dam radę tak żyć!

– Nie pozwoliłeś mi choćby spróbować!

- Nie mogłem. – W głosie Colina słyhać było coraz więcej żaru.
- Jak mógłbym patrzeć na twoje splekane, czerwone od pracy ręce? Jak zniósłbym twoje łzy, których nie zdołałabyś powstrzymać w chwili zwątpienia, kiedy tak bardzo pragnęłabyś pocieszenia?
- Miłość wymaga poświęceń.
- Nie, jeżeli wszystkie poświęcenia ponosiłabyś tylko ty. Nie potrafiłbym żyć ze świadomością, że przez własny egoizm naraziłem cię na zły los.
- Nie rozumiesz. – Położyła sobie rękę na sercu. – Byłabym szczęśliwa, o ile miałabym ciebie.
- A ja nienawidziłbym samego siebie.
- Teraz to rozumiem. – Amelia posmutniała. Nie rozumiała, dlaczego myliła się tak bardzo co do ich wzajemnej miłości. – Gdybyśmy nigdy się nie spotkali, byłbyś szczęśliwy, wiodąc swoje dawne życie, prawda – Amelio?
- A więc jestem powodem twojego nieszczęścia. Ja i to, czego, jak sobie wyobrażałeś, od ciebie oczekiwałam.
- Nie. To nieprawda.
- Prawda. – Ból w jej piersi narastał, aż poczuła, że ledwie może oddychać. – Tak mi przykro – wyszeptwała. – Żałuję, że się w ogóle poznaliśmy. Gdyby nie to, oboje moglibyśmy być szczęśliwi.
- Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.
- Mój Boże, nawet nie mów takich rzeczy! Nigdy. Jeżeli kiedykolwiek w życiu zaznałem szczęścia, to tylko dzięki tobie.
- Nagle poczuła się bardzo stara i zmęczona.
- Wyjechałeś z kraju, opuściłeś rodzinę, przemierzyłeś cały kontynent, ryzykując życiem, by zbierać informacje dla korony... Ty to nazywasz szczęściem? Musisz się mylić.
- Do diabła – warknął Colin, łapiąc ją za ramiona. – Jesteś tego warta – całego mojego wysiłku. Chętnie powtórzyłbym to jeszcze sto razy, byle tylko na ciebie zasłużyć.
- Nigdy nie sądziłam, że na mnie nie zasługujesz. Dopóki się nie poznaliśmy, nie gnębiło cię ciągle poczucie niższości. To nie

miłość, Colinie. Nie wiem, co to za uczucie, ale wiem, czym na pewno nie jest.

Zaniepokojony nagłym opanowaniem Amelii, Colin zaczął gorączkowo zastanawiać się, jak ją przy sobie zatrzymać. Dzisiejszej nocy przeżyli taką bliskość, o jakiej dwoje kochanków może tylko marzyć. A teraz zachowywali się wobec siebie jak obcy.

– Niezależnie od tego, jakie wątpliwości może budzić moje wyznanie, proszę, nie umniejszaj moich uczuć względem ciebie. Kocham cię. Kochałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem i nigdy nie przestałem cię kochać. Ani na chwilę.

– Och? – Amelia otarła ręką łzy, płynące tak jednostajnie, że Colin poczuł niepokój. – A kiedy nabierałeś wprawy w miłości, którą tak pięknie mi zademonstrowałeś ostatniej nocy? Wtedy też mnie kochałeś?

– Tak, do diabła, tak – przyciągnął ją bliżej i przycisnął całą do swego rozgorączkowanego ciała. – Wtedy również. Seks to dla mężczyzny tylko seks, nic ponadto. Aby być zdrowym, mężczyzna musi oddawać nasienie. To nie ma żadnego związku z wyższymi uczuciami.

– Ach, więc to tylko zaspokajanie potrzeb? Tak jak wtedy, kiedy byliśmy młodszy, za składem? – Potrząsnęła głową. – Dziś w nocy, za każdym razem, kiedy mnie dotykałeś... z każdą twoją pieczątką... zastanawiałam się, ile kobiet musiałeś zaspokoić, by nabrać takiej wprawy.

– Jesteś zazdrosna? – wybuchnął gniewnie, skręcając się w środku na myśl, że Amelia w każdej chwili może odwrócić się na pięcie i uciec. Mówiła jednostajnym, obojętnym tonem, bez cienia emocji, jakby wcale jej nie zależało. – Wolalabyś, żebym to na tobie zaspokajał podstawowe potrzeby, w sposób odarty z uczuć, o nic się nie troszcząc? Bezmyślnie, beztrosko?

– Owszem, jestem zazdrosna, ale również smutna. – Jej piękne oczy ziały pustką. – Żyłeś beze mnie pełnią życia, Colinie. Czasami musiałeś być z tego życia zadowolony. Tamte kobiety

w przeciwieństwie do mnie nie pragnęły, abys był kimś innym, niż jesteś.

– Nigdy o nich nie myślę – przysiągł i objął dłońmi jej śliczną twarz. – Ani przez chwilę. Przez cały ten czas myślałem tylko o tobie i o tym, jak bardzo cię pragnę. Marzyłem, by były tobą. To było jak ból, który nigdy nie ustawał. Uczyłem się, owszem. Nabrałem wprawy – tak. Dla ciebie! Aby stać się dla ciebie wszystkim, aby móc cię zaspokoić pod każdym względem. Chciałem dać ci wszystko, czego potrzebujesz, i wszystko, czego tylko chcesz.

Wściekły na swą niemoc i zdezorientowany kierunkiem, w jaki zaczynała zmierzać ta rozmowa, Colin jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie i sięgnął po jej usta, by chciwie i głęboko wniknąć w ich gorące, wilgotne wnętrze.

Smakował jej ból i smutek, gorycz i gniew. Wypijał to wszystko, gładząc jej język swoim, a potem ssąc go z całą żarliwością.

Amelia, kurczowo wczepiona rękami w jego przedramiona, jęczała i drżała w jego objęciach. Jej ciało nie potrafiło mu się oprzeć – nawet w takiej chwili. Była to jej słabość, której Colin nie chciał nadużywać. Uznał jednak, że w razie potrzeby – musi.

– Twoje usta należą do mnie – wychrypiał, pociągając wilgotnym językiem po jej wargach. – Nigdy nie całowałem się z nikim innym – tylko z tobą. Nigdy.

Złapał jej rękę i położył na swoim sercu.

– Czujesz, jak mocno bije? Jak rozpaczliwie? To przez ciebie. Wszystko – wszystko, co kiedykolwiek robiłem, robiłem z myślą o tobie.

– Przestań... – wydyszała. Oddychała tak ciężko, że jej piersi napierały na jego ramię.

– Ani nie marzyłem o nikim innym. – Przycisnął skroń do jej skroni. – Moje marzenia zawsze należały do ciebie. – Chcę być lepszym człowiekiem. Takim, który na ciebie zasługuje.

– Ale kiedy to nastąpi, Colinie?

Odepchnął ją, marszcząc czoło.

– Przez tyle lat wciąż znajdowałeś powody, by odłożyć mnie na później. Aż do tej ostatniej nocy, kiedy to ja zmusiłam cię do działania. – Amelia westchnęła, a Colin rozpoznał w tym żalonym, rozpaczliwym dźwięku ostateczną nutę. – Myślę, że widzieliśmy w sobie nawzajem tylko to, co chcieliśmy zobaczyć. Koniec końców, przepaść między nami jest tak szeroka, że wyobrażenia już jej nie przekroczą.

Krew zastygła Colinowi w żyłach, co zważywszy na to, że ciało Amelii ściśle przywierało do jego ciała, stanowiło nie lada wyczyn.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Mam na myśli to, że jestem już zmęczona ciągłym odkładaniem mnie na później, na jakąś nieokreśloną przyszłość. Spędziłam na oczekiwaniu całe życie. Nie chcę, aby było tak dalej.

– Amelio...

– I mam na myśli to, że kiedy oboje wyjdziemy z tego pokoju, Colinie, będzie to oznaczało pożegnanie.

*Ciche stuknięcie w otwarte drzwi odwróciło uwagę Simona od rozłożonych na biurku map. Z uniesionymi brwiami skierował wzrok na swego kamerdynera.*

– Tak?

– *Przyszedł jakiś młody człowiek. Pyta o lady Winter, proszę pana. Powiedziałem mu, że pana ani pani nie ma w domu, ale on nie chce odejść.*

*Simon wyprostował się.*

– Tak? A kim jest?

*Służący chrząknął.*

– *Wydaje się, że Cygan.*

*Zdziwienie odebrało Simonowi mowę. Odezwał się dopiero po kilku sekundach.*

– *Wprowadź go.*

Służący wycofał się, a Simon pospiesznie sprzątnął z biurka tajne dokumenty. Następnie usiadł i czekał na kruczowłosego chłopaka, który chwilę później wszedł do jego gabinetu.

– Gdzie lady Winter? – zapytał przybysz. Jego napięte ramiona i zaciśnięta szczęka świadczyły o zaciętej determinacji, by dostać to, po co przyszedł.

Simon odchylił się na krześle.

– Z tego, co słyszałem, wybrała się w podróż na kontynent.

Chłopak zmarszczył czoło.

– Panna Benbridge pojechała z nią? Jak mogę je znaleźć? Wie pan, gdzie ich szukać?

– Nie znam pańskiego nazwiska.

– Colin Mitchell.

– Panie Mitchell, miałby pan ochotę czegoś się napić? – zapytał Simon, po czym wstał i podszedł do stolika, na którym stał szereg karafek.

– Nie.

Skrywając uśmiech, Simon nalał sobie dwa palce brandy i odwrócił się twarzą do przybysza. Stał pod oknem, oparty biodrem o stolik z alkoholami, ze skrzyżowanymi stopami. Mitchell nie ruszył się z miejsca. Wodził wzrokiem po pokoju, od czasu do czasu zatrzymując spojrzenie zmrużonych oczu na tym czy tamtym przedmiocie. Zapewne szukał wskazówek, które pomogłyby mu znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Był świetnie zbudowanym młodym mężczyzną o egzotycznej urodzie. Kobiety, jak podejrzewał Simon, zapewne za nim szalały.

– Co zrobisz, jak już odnajdziesz piękną Amelię? – zapytał Simon. – Będziesz nadal pracował w stajniach? Czyścił jej konie?

Mitchell szeroko otworzył oczy.

– Tak. Wiem, kim jesteś, choć słyszałem o twojej śmierci. – Simon uniósł szklankę i jednym łykiem wychylił jej zawartość. Poczul w żołądku przyjemne ciepło i uśmiechnął się. – Zamierzasz zatrudnić się u niej jako służący i do końca życia wdychać do

niej z oddali? Czy harcować z nią na sianie tak często, jak się da, do czasu aż wreszcie za ciebie wyjdzie lub urośnie jej brzuch?

Simon wyprostował się i odstawił szklanę, przygotowując się na oczekiwany – trzeba przyznać, że zaskakująco silny – cios, który powalił go na podłogę. Obaj zaczęli tarzać się, zwarci w walce. Wywrócili mały stolik, z którego spadły porcelanowe figurki i roztrzaskały się o ziemię.

Simon zdołał zyskać przewagę dopiero po kilku minutach. Zajęłoby mu to mniej czasu, gdyby cały czas nie troszczył się, by nie zrobić chłopcu krzywdy.

– Dość – zarządził. – A teraz słuchaj, co ci powiem. – Już nie przeciągał samogłosek. Teraz jego ton był szczery do bólu.

Mitchell znieruchomiał, ale wściekłość nie zniknęła z jego twarzy.

– Nie wyrażaj się tak o Amelii!

Simon podniósł się i wyciągnął rękę, by pomóc chłopakowi wstać.

– Zwróciłem ci tylko uwagę na to, co oczywiste. Niczego nie posiadasz. Nie masz jej nic do zaoferowania – ani środków na utrzymanie, ani tytułu, ani prestiżu.

Sposób, w jaki młody człowiek zacisnął szczękę i pięści, świadczył, że zdaje sobie sprawę z prawdy i nienawidzi jej całym sercem.

– Wiem o tym.

– To dobrze. A teraz – zaczął Simon, obciągając ubranie, by z powrotem usadowić się przy biurku – co byś powiedział, gdybym zaproponował ci pomoc? Mógłbyś zdobyć to, co niezbędne, aby na nią zasłużyć – pieniądze, odpowiedni dom, a może nawet tytuł, odziedziczony po przodkach w jakiejś odległej krainie, odpowiadającej twojej egzotycznej urodzie?

Mitchell znieruchomiał. W jego zwężonych oczach pojawiła się iskra zainteresowania.

– Jak to?



– Jestem zaangażowany w pewną... działalność, a młody człowiek z twoimi umiejętnościami mógłby mi ją znacznie ułatwić. Słyszałem o twojej brawurowej obronie panny Benbridge. Gdyby nad tobą trochę popracować, mógłbyś okazać się całkiem przydatny. – Simon uśmiechnął się. – Nikomu innemu nie złożyłbym takiej propozycji. Możesz się więc uważać za szczęściarza.

– Dlaczego akurat ja? – zapytał podejrzliwie Mitchell. W jego głosie dała się słyszeć nutka pogardy. Chłopak zachowywał się nieco cynicznie, co Simon od razu zauważył i uznał za wyjątkowo korzystne. Ktoś całkiem zielony nie nadalby się do jego misji. – Przecież mnie nie znasz, nie wiesz, na co mnie stać.

Simon nie spuszczał z niego spojrzenia.

– Ponieważ zdaję sobie sprawę, jak daleko gotów jest posunąć się mężczyzna dla kobiety, na której mu zależy.

– Kocham ją.

– Tak. Do tego stopnia, że odnajdziesz ją za wszelką cenę, nawet własnym kosztem. Potrzebuję właśnie takiego poświęcenia. W zamian za to dopilnuję, abyś stał się człowiekiem zamożnym.

– To pewnie potrwa lata. – Mitchell zanurzył rękę we włosach i przecesał je. – Nie wiem, czy dam radę tyle czekać.

– Daj sobie czas, by osiągnąć dojrzałość. Pozwól, by ona też przekonała się, co przez te lata straciła. A wtedy, jeśli cię zechce, będziesz przynajmniej pewien, że podejmuję decyzję jako kobieta, nie jako dziecko.

Młody człowiek dłuższą chwilę trwał w bezruchu. Jego wahanie było wręcz namacalne.

– Spróbuj – zachęcał go Simon. – W końcu, co masz do stracenia?

Mitchell wypuścił w końcu powietrze i padł na krzesło, stojące po przeciwnej stronie biurka.

– Słucham.

– Doskonale! – wykrzyknął Simon i odchylił się na oparcie. – Posłuchaj więc, o co mi chodzi...

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – zapytała Maria po wysłuchaniu opowieści. Wpatrywała się w Simona, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Tak samo zresztą się czuła.

– Gdybym ci powiedział – odparł Simon łagodnie – czy zataiłabyś tę informację przed siostrą? Oczywiście, że nie. Poza tym nie miałem prawa wyjawiać cudzej tajemnicy.

– A cierpienie Amelii? Jej ból?

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Niestety nie mogłem nic zrobić, by jej ulżyć.

– Mogłeś mi chociaż powiedzieć, że on żyje! – sprzeciwiła się.

– Mitchell miał niekwestionowane prawo, by zapracować na szacunek Amelii. Nie wiń go, że w jedyny sensowny sposób dążył do zdobycia ukochanej kobiety. Nikt nie rozumie go lepiej niż ja. – Przerwał, by po chwili odezwać się spokojniejszym głosem. – A to, co zrobił z własnym życiem, nie powinno cię w ogóle obchodzić.

– Za to obchodzi mnie – odezwał się wyważony głos za ich plecami – ponieważ dotyczy panny Benbridge.

Maria odwróciła się na krzesło i spojrzała na zbliżającego się ku nim mężczyznę.

– Lord Ware – powitała go z niepokojem w głosie.

Nigdy dotąd nie widziała hrabiego w tak prostym, swobodnym stroju, któremu przeczyły jednak usztywnione ramiona i zaciśnięte szczęki. Nie ozdobił niczym swych ciemnych włosów, związał je tylko luźno wstążką u nasady szyi. Zamiast trzewików na obcasach miał na sobie ciężkie, długie buty.

– To narzeczony? – zapytała *mademoiselle* Rousseau.

– Lordzie – odezwał się Christopher – jestem pod wrażeniem pańskiego poświęcenia.

– Dopóki panna Benbridge nie wyprowadzi mnie z błędu – odparł ponuro hrabia – to jej dobro uważam za jeden ze swych obowiązków.

– Dawno się tak dobrze nie bawiłam – odezwała się Francuzka, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Maria zamknęła oczy i potarła czoło między brwiami. Christopher, który stał za jej plecami, położył jej dłonie na ramionach i delikatnie ścisnął je na znak współczucia i otuchy.

– Czy ktoś mógłby mnie wtajemniczyć we wszystko, co zaszło? – poprosił Ware.

Maria przeniosła wzrok na Simona. Ten uniósł brwi.

– Na ile ogłędnie powinienem to ująć?

– Nie oczekuję delikatności – oznajmił Ware. – Nie jestem ani ignorantem, ani mięczakiem.

– Zamierza się wżenić w naszą rodzinę – zauważył Christopher.

– Rzeczywiście – potwierdził Simon, zwięzając oczy, po czym zrelacjonował przebieg wydarzeń aż do obecnej chwili, celowo pomijając niektóre nazwiska, w tym na przykład Eddingtona, które nie powinny tu zostać wymienione.

– A więc ten nieznajomy w masce to Colin Mitchell? – zapytał Ware, patrząc na nich z ukosa. – Ten chłopak, który podobał się panie Benbridge w młodości? A ona nie wie, że to on?

– Teraz już wie – mruknął Tim.

– Mitchell właśnie jej to mówi. Teraz, kiedy rozmawiamy – wyjaśnił Christopher.

Za ich plecami rozległ się huk zatraskiwanych drzwi. Odwrócili się i ujrzeli Pietra, który wtargnął do środka, upuścił podróży kufer u swych stóp i stał z otwartymi ustami, nie spuszczając wzroku ze zgromadzonych.

– To niemożliwe! – wydusił z siebie w końcu. – Przecież Colin nie żyje.

Maria zerknęła na Simona, który skrzywił się lekko.

– Z każdą chwilą widowisko jest coraz bardziej fascynujące – rzekła *mademoiselle* Rousseau.

– Zło przez ciebie przemawia – warknął pod jej adresem Simon. Maria podniosła wzrok na Christophera, sygnalizując tym samym, że zamierza wstać. Mąż cofnął się o krok od jej krzesła.

– Pójdę sprawdzić, jak się sprawy mają.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę korytarza, prowadzącego do prywatnej jadalni. Stała w nim Amelia z zaczerwienionymi oczami, nosem i włosami w nieładzie. Przedstawiała sobą obraz udręki i nieszczęścia.

Mitchell ukazał się ich oczom natychmiast po Amelii. Na jego widok Maria nie zdołała ukryć zdumienia – podobnie zresztą jak pozostali zebrani. Wysoki, dumny, w eleganckim stroju, w niczym nie przypominał służącego. Był porywająco przystojnym mężczyzną o ciemnych, zmysłowych oczach, otoczonych długimi, gęstymi rzęsami, i cudownych ustach, osadzonych w mocnej, wyrazistej szczęce. On również sprawiał wrażenie zrozpaczonego i głęboko zranionego. Serce Marii ścisnęło się na widok obojga.

– Amelio – w kulturalnym, zrównoważonym głosie Ware’a zabrzmiała troska.

Jej zielone oczy natrafiły na jego spojrzenie i zalśniły łzami.

Z piersi hrabiego wyrwał się niski charkot.

– Colin – rozległ się pełen bólu głos Pietra, przepelniając czare goryczy, którą przypominał ten bogaty w niespodzianki dzień.

Maria, której uwagę całkowicie pochłonął niespodziewany rozwój wypadków, nie przewidziała zamiarów Ware’a. Ten zaś, nie zwlekając, podszedł do Mitchella i spytał:

– Uważa się pan za dżentelmena?

Szczeka Mitchella zacisnęła się mocniej.

– Tak!

Ware rzucił mu rękawicę pod nogi.

– W takim razie żądam satysfakcji.

– Przyjmuję wyzwanie.

– Mój Boże – wyszeptała Maria, dotykając do szyi.

Christopher opuścił stanowisko przy żonie, podszedł się do hrabiego i rzekł:

– Będę zaszczycony, pełniąc funkcję pańskiego sekundanta.

– Dziękuję – odparł Ware.

– Ja w takim razie zostanę sekundantem Mitchella – odezwał się Simon, pochodząc do mężczyzn.

– Nie! – krzyknęła Amelia, przenosząc przerażony wzrok z jednej twarzy na drugą. – To czysty absurd!

Maria przyciągnęła ją do siebie.

– Nie wtrącaj się.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Amelia. – Przecież to niepotrzebne!

– Potrzebne.

– Mam dom w Bristolu – oznajmił Ware. – Proponuję, abyśmy się tam przenieśli. Wówczas będziemy mogli poprosić zaufanych ludzi na świadków.

Mitchell skinął głową.

– Odpowiada mi to. Właśnie tam zmierzałem.

– To wszystko przeze mnie – lamentowała Amelia, patrząc błagalnie na Marię. – Oto, do czego doprowadził mój egoizm. Jak teraz mogę to odwrócić?

– Co się stało, to się nie odstanie – rzekła Maria i uspokajająco pomasaowała siostrę po plecach.

– Chcę z nimi jechać.

– To byłoby niemądre.

Christopher odwrócił się do żony, a ta po wyrazie jego twarzy odgadła, że jest innego zdania. Nie rozumiała, dlaczego nie życzył sobie, by się tam udały, ale wiedziała, że na pewno dowie się tego później. Miała do niego bezgraniczne zaufanie i wiedziała, że troszczy się przede wszystkim o jej zdrowie i szczęście.

– Chcę tam być – powtórzyła Amelia, tym razem z większym przekonaniem.

– Ciii... – odezwała się kojąco Maria. – Porozmawiamy o tym, kiedy obie weźmiemy gorącą kąpiel i przeberzemy się.

Jej siostra skinęła głową, po czym obie wyszły, by zamówić gorącą wodę i wannę do kąpeli. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę, siedzącego w mrocznym kącie sali. Nikt nie zauważył również, gdy niepostrzeżenie się z niej wymknął.

Jacques wyszedł na podwórze, naciągnął rondo kapelusza na oczy i podszedł do powozu, który zatrzymał się na drodze kawałek dalej.

Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

– Michell został właśnie wyzwany na pojedynkę.

Cartland uśmiechnął się.

– Wejź i wszystko mi opowiedz.

## ROZDZIAŁ 14

---

Amelii nigdy nie przestawało dziwić, że mężczyzna promieniujący taką energią życiową i tak dominujący, mógł na żądanie stać się zupełnie niewidoczny. Mówiąc szczerze, prawie nie zauważyła, że w powozie w drodze do Bristolu siedział na jednej kanapie z Marią – do tego stopnia nie zwracał na siebie uwagi. Ani razu nie zabrał głosu, kiedy ona obnażała przed siostrą ból swego serca. Była mu za to głęboko wdzięczna. Nie każdy by uwierzył, że cieszący się złą sławą przestępca byłby w stanie znieść wielogodzinny kobiecy lament na miłosne tematy. St. Johnowi się to udało, i to bardzo dobrze.

– Powiedziałaś mu, że nigdy więcej się z nim nie spotkasz? – zapytała łagodnie Maria.

– Miałam taki zamiar, dopóki Ware nie wyzwiał go na pojedynek – odparła Amelia z za chusteczki, którą trzymała przyciśniętą do nosa. Poprzedniego dnia, w czasie jazdy do Swindon, w ogóle odmawiała rozmowy. Dopiero dziś poczuła się gotowa, by podjąć temat Colina bez popadania w histeryczny płacz, który uniemożliwiał jej mówienie. – Będziemy szczęśliwsi oddzielnie.

– Nie wyglądasz na szczęśliwszą.

– Ale będę, tak samo Colin – westchnęła. – Nikt nie może być szczęśliwy, jeśli cały czas, dzień po dniu udaje, że jest kimś innym.

– Może on nie udaje – zasugerowała nieśmiało Maria.

– Wszystko jedno. Nowego Colina nękają te same wątpliwości, co wcześniej. Pomijając wszystko, co osiągnął przez lata, jeszcze kilka dni temu uważał, że Ware to dla mnie znacznie lepsza partia. I ciągle bez porozumienia ze mną podejmuje decyzje o moim życiu. Dostyc miałam tego przez całe dzieciństwo.

– W ten sposób pozwalasz, by twoja przeszłość rządziła teraźniejszością.

– Czyżbyś była po jego stronie? – zapytała Amelia, otwierając oczy ze zdziwienia. – Jak możesz? Ja nie widzę w tym, co zrobił, nic dobrego. Jest bogaty, to prawda – to się rzuca w oczy, wystarczy spojrzeć na jego rzeczy – ale czy przyjmując, że zdobycie majątku było warte mojego bólu i rozpacz, nie nakłada na moją miłość zbyt wysokiej ceny? Nie mogę się na to zgodzić.

– Nie jestem po jego stronie – mruknęła Maria – ale wierzę, że naprawdę cię kocha i że działał w pełnym przekonaniu, iż wszystko, co robi, robi dla twojego dobra. Wierzę też, że ty go kochasz. Z całą pewnością jest w tym coś dobrego.

Amelia wygładziła ręką spódnicę i wyjrzała przez okno. Za nimi jechał powóz, w którym siedzieli: Colin, Jacques, pan Quinn i *mademoiselle* Rousseau, natomiast pierwsze miejsce w kawalkadzie zajmowała karetka Ware'a. Amelia była więc między młotem a kowadłem.

– Zdałam sobie właśnie sprawę, że namiętność to nie to samo, co opisują poeci – stwierdziła.

Z przeciwległej kanapy rozległo się podejrzanе pokasływanie, ale kiedy Amelia rzuciła ostrzegawcze spojrzenie w stronę St. Johna, stwierdziła, że na twarzy szwagra maluje się całkowita obojętność.

– Mówię poważnie – upierała się. – Jeszcze kilka tygodni temu w moim życiu panował względny ład i porządek. Cieszyłam się niezachwianą równowagą umysłu. Ware był zadowolony, ja też. Colin realizował własne cele i zamierzenia. Teraz w to wszystko wkradło się zamieszanie. Nie macie pojęcia, jakim bólem jest dla



mnie świadomość, że przypominam lorda Weltona. Jesteśmy jak dwie krople wody.

– Amelio, to bzdury – odezwała się Maria zdecydowanym tonem.

– Doprawdy? Czyż nie postąpiłam dokładnie tak, jak on by postąpił? Czyż nie interesowały mnie wyłącznie własne przyjemności? – Potrząsnęła głową. – Wolę już być kobietą, która poświęca się obowiązkom, niż taką, która żyje tylko po to, by nurzać się przyjemnościach. Przynajmniej zachowam honor.

W ciemnych oczach Marii błysnęła troska.

– Jesteś bardzo zdenerwowana. Wczoraj cały dzień w drodze, noc w kiepskiej gospodzie, ale już prawie jesteśmy w Bristolu. Dobrze ci zrobi dzień czy dwa odpoczynku.

– Przed czy po pojedynku? – zapytała Amelia gniewnie.

– Kochanie...

Na dworze rozległ się głośny krzyk i powóz skręcił gwałtownie. Amelia wychyliła się do przodu i wyjrzała przez okno. Jej oczom ukazała się długa, wypielegnowana aleja, zakończona kolistym podjazdem z dużą fontanną pośrodku. W tle stała zapierająca dech rezydencja, której wejście zdobiły kolumny i bujne, pięknie utrzymane rabaty kwiatowe w radosnych kolorach.

Rząd powozów zatrzymał się przy schodach. Drzwi wejściowe otworzyły się i wysypała się z nich gromada służących w szaro-czarnych liberiach. St. John wysiadł pierwszy, po czym pomógł Marii i Amelii wyskoczyć na wysypany żwirem podjazd.

– Witajcie – odezwał się Ware, podchodząc do nich. Kiedy podnosił do ust obleczoną w rękawiczkę dłoń Amelii, jego wargi wygięły się w zadziornym półuśmiechu. W bladoniebieskich spodniach i płaszczu dokładnie koloru swych oczu wyglądał olśniewająco. Amelia w odpowiedzi posłała mu uśmiech, na który wprawdzie zdobyła się z najwyższym trudem, ale za którym krył się prawdziwy podziw dla urody hrabiego.

– Masz piękny dom, milordzie – odezwała się cicho Maria.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że spodoba się pani jeszcze bardziej, kiedy wejdzie pani do środka.

Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy w stronę powozu Colina, który właśnie podjechał. Amelia starała w duszy przygotować się na widok ukochanego, oczekując, że jego ciemne oczy spojrzą na nią tak samo, jak patrzyły cały poprzedni dzień – z błaganiem.

Niestety żadne, najbardziej wyteżone przygotowania nie zdołałyby złagodzić wrażenia, jakie na niej wywarł, wyskakując z powozu i podchodząc do niej eleganckim, a jednocześnie pełnym zmysłowego wdzięku krokiem. Do diabła! Zawsze poruszał się z istic zwierzęcą gracją, na której widok przechodziły ją ciarki. Teraz, kiedy już dowiedziała się, jak jego utajona zmysłowość przekłada się na grę miłosną, efekt był jeszcze silniejszy.

Odwróciła wzrok, by ukryć nieodparte pożądanie, które budziło się w niej, gdy na niego patrzyła.

– Milordzie – odezwał się Colin, a w jego wyważonym głosie zabrzmiała nutka oczywistej niechęci do hrabiego. – Jeżeli tylko ktoś zechce wskazać mi drogę do najbliższej gospody, natychmiast stąd odjadę. Pan Quinn później wróci, by dokonać wszelkich ustaleń.

– Wolalbym, aby pan tu został – odpowiedział Ware, zdumiewając wszystkich.

Amelia spojrzała na niego z szeroko otwartymi ustami.

– To niemożliwe – zaprotestował Colin.

– Dlaczego? – sprzeciwił się Ware, unosząc wysoko brwi.

Colin zacisnął szczękę.

– Mam swoje powody.

– Jakie, mianowicie? – zapytał St. John. Ton jego głosu wzbudził czujność Amelii. Szwagier musiał zauważyć w tej wymianie zdań coś, na co ona nie zwróciła uwagi. – Pozwól, że ci pomogę.

– To nie będzie potrzebne – odparł sztywno Colin. – Zadbajcie o bezpieczeństwo panny Benbridge. To cała pomoc, o jaką proszę.

– Jeżeli jesteś w niebezpieczeństwie – odezwała się Maria – to wolałabym, abyś się od nas nie oddalał. W takim wypadku my również będziemy musieli zatrzymać się w gospodzie.

– Proszę – wtrącił Ware swym zwyczajnym, kulturalnym i eleganckim tonem. – Wszyscy będą znacznie bezpieczniejsi tutaj niż w jakimkolwiek miejscu publicznym, w którym ciągle kręcą się nieznajomi.

– St. John – rzekł Colin. – Czy mógłbym cię poprosić o chwilę rozmowy?

St. John skinął głową i przeprosił zebranych, po czym obaj mężczyźni odeszli na pewną odległość i tam dyskutowali ściszonymi głosami. Widać było jednak, że ich rozmowa z chwili na chwilę nabiera ożywienia.

– Co się dzieje? – zapytała Amelia Marię.

– Też chciałabym wiedzieć – odparła siostra.

– Proszę bardzo, pan Barney zaprowadzi państwa do waszych pokojów – rzekł Ware i wskazał na majordomusa, który z życzliwym uśmiechem czekał na najniższym schodku przed wejściem.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – upierała się Amelia.

– Wiem, że chcesz – mruknął Ware, opierając dłoń na jej plecach i lekko popychając ją w kierunku domu. – I obiecuję, że wszystko ci powiem, kiedy tylko sam się dowiem.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego spod runda kapelusza.

– Oczywiście. Czy kiedykolwiek przed tobą skłamałem?

Zrozumiała aluzję. *Nie jestem Mitchellem*, dawał jej do zrozumienia. *Zawsze byłem z tobą szczery*. Amelia posłała hrabiemu niepewny uśmiech wdzięczności. Po chwili przyłączyła się do niej Maria i obie ruszyły za panem Barneyem w głąb domu.

Colin patrzył, jak lord Ware prowadzi Amelię do rezydencji i walczył z nagłą potrzebą, by podbiec i wydrzeć mu ją z rąk. Nie był w stanie znieść widoku ukochanej u boku rywala. Obraz ten

palili go jak polana kwasem żywa rana – palił, piekł i drażnił, i wypalał ranę jeszcze większą.

– Uważam, że powinieneś zostać – odezwał się St. John, odwracając uwagę Colina od oddalających się pleców Amelii.

– Nie rozumiesz – spierał się Colin. – Odkąd wyjechaliśmy z Reading, jesteśmy śledzeni. Muszę trzymać się z dala od panny Benbridge, żeby nie sprowadzić na nią niebezpieczeństwa.

St. John patrzył na niego ponuro.

– O ile ona nie zamierza dalej za tobą chodzić – wytknął mu. – Bo jeśli tak, to tam będzie narażona na gorsze niebezpieczeństwo, niż gdyby została tutaj.

– Do diabła. O tym nie pomyślałem. – Colin podniósł rękę do szyi i pomasaował boleśnie napięte mięśnie. – Ale jest w takim nastroju, że nie sądzę, aby chciała pakować się w kolejne kłopoty.

– Tego nigdy nie możemy być pewni. Dlatego lepiej zachować ostrożność.

– Nie mógłbyś jej jakoś powstrzymać? – poprosił Colin. – Absolutnie nie powinniśmy narażać jej na spotkanie z Cartlandem. Jeżeli podejrzewa, ile ona dla mnie znaczy, nie zawaha się jej wykorzystać.

– A czy tobie udało ci się ją powstrzymać? Nie oczekuj ode mnie cudów – odparł St. John z uśmiechem. – Moja żona, która ma opinię Najpotworniejszej Kobiety Anglii, nauczyła siostrę wszystkich swoich sztuczek. Amelia fechtuje tak, że śmiało może stanąć w szranki z najlepszym szermierzem, a nożem rzuca najcelniej ze wszystkich znanych mi ludzi – nawet celniej ode mnie. Jeśli postanowi za tobą pójść, nikt jej od tego nie odwiedzie. Zawsze wynajdzie jakiś sposób.

Colin zamrugał oczami, po czym westchnął z rezygnacją.

– Dziwnym trafem to, co przed chwilą usłyszałem, specjalnie mnie nie zdziwiło.

– Żałuję, że nie poznałem ich matki. Musiała być niezwykłą kobietą.

– Nie mam czasu na rozmowy towarzyskie – warknął Colin. – Muszę być albo myśliwym, albo ofiarą, a ta druga rola bynajmniej mi nie odpowiada.

St. John skinął głową.

– Rozumiem.

– Życzyłbym sobie, aby *mademoiselle* Rousseau uwierzyła Jacques'owi, jeśli chodzi o wydarzenia tamtej nocy, ale ona odmawia. Nie mogę pojąć, dlaczego. Czemu miałaby go do tego stopnia lekceważyć? Jak to możliwe, by ufała tylko Cartlandowi i nikomu więcej?

– Nie wiem, o co jej chodzi, ale jestem gotów udzielić ci takiej pomocy, jakiej będziesz potrzebował. Dziś wieczorem nie masz raczej do załatwienia spraw niecierpiących zwłoki. Pozwól, by moi ludzie przeszukali miasto. Ty przejmiesz dowodzenie jutro rano. Mam nadzieję, że jedna noc w domowym zaciszu uspokoi Amelię na tyle, że nie będzie się za tobą włościć.

Myśl o spędzeniu wieczoru w towarzystwie Amelii i hrabiego Ware'a była dla Colina torturą.

– Zostanie pan? – zapytał hrabia, podchodząc do obu mężczyzn.

– Służba już przygotowuje dla pana i pańskich znajomych pokoje.

– Dziękuję – odparł Colin. Nic więcej nie zdołał z siebie wydusić.

– Powiem im. – Odwrócił się na pięcie i odszedł.

St. John odprowadził go wzrokiem. Zwrócił uwagę na jego sylwetkę usztywnioną gniewem, widocznym nawet w sposobie poruszania się.

– On ją kocha – rzekł.

– Widzę.

St. John odwrócił głowę i stwierdził, że hrabia patrzy na Mitchella zwężonymi oczami.

– Wiem, czemu myślę, że powinien tu nocować. Ale nie mam pojęcia, dlaczego ty miałbyś tego chcieć.

– Ponieważ nasz bezpośredni kontakt uwydatni dzielące nas różnice – odparł Ware, spoglądając mu prosto w oczy. – To ja

jestem dla niej lepszą partią. Gdybym sam choć przez sekundę w to wątpił, usunąłbym się z drogi. Ale mi zależy przede wszystkim na jej szczęściu. Nie sądzę, aby znalazła je przy nim.

– To będzie wspaniały przeciwnik w pojedynku, który was czeka. Przez wiele lat żył na pograniczu prawa, przetrwał tylko dzięki własnemu sprytowi i doskonałemu władaniu bronią.

– Ja również nie należę do nieudaczników – odparł swobodnie hrabia – tyle tylko, że umiejętności nabyłem w cywilizowany sposób.

St. John skinął głową i, ponaglany przez Ware'a, ruszył w stronę domu. Tim nadzorował wyładunek kufrów i służbę z ostatniego pociągu. Mitchell spoje łba patrzył na Quinna, który pomagał *mademoiselle* Rousseau wysiąść.

W duchu zastanawiał się, czy inni mężczyźni doświadczali podobnych trudności, chcąc wydać za mąż młodszą siostrę żony. Nie chciało mu się wierzyć. Potrząsnął głową i po schodach udał się w stronę przydzielonego mu apartamentu. Wiedział, że zostanie w nim swoją żonę. Wspólnie opracują strategię wydarzeń na najbliższe dni.

Na samą myśl o tym jego twarz rozpromieniła się uśmiechem.

Wykąpana i przebrana, choć wewnętrznie nadal roztrzęsiona, Amelia wyslizgnęła się z sypialni i spiesznym krokiem ruszyła korytarzem na pierwszym piętrze. Maria kazała jej się przespać przed popołudniową herbatą, ale Amelia nie była w stanie zmrużyć oka. Rozpierała ją ochota, by się przejść, rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem i przewietrzyć myśli. Już jako dziecko nauczyła się, że szybki spacer pomaga ulżyć troskom. Właśnie odczuwała silną potrzebę, by się na taki udać.

– Amelio...

Na dźwięk swego imienia zatrzymała się. Odwróciła głowę i stwierdziła, że z pokoju kilka drzwi dalej wychodzi lord Ware. Ukłoniła mu się ze słowami:

– Milordzie.

Ware od razu zauważył, że wybiera się na spacer.

– Mogę się przyłączyć?

Szybko rozważyła, czy delikatnie nie odmówić, ale po krótkim namyśle uznała, że nie. Owszem, bardzo chciała zostać sam na sam ze swoimi myślami, ale Ware zasługiwał na wyjaśnienie. Możliwe też, że szukał okazji, by udzielić jej nagany, o ile oczywiście miał taki zamiar.

– Będę zaszczycona – odpowiedziała więc.

Posłał jej olśniewający uśmiech i podszedł bliżej. Miał na sobie strój wiejskiego dżentelmena, dużo swobodniejszy niż jego codzienne ubranie, i było mu w nim wyjątkowo do twarzy. Przypominał Amelii czasy, kiedy poznali się w hrabstwie Lincoln. Odpowiedziała mu więc szczerym uśmiechem.

– Jak pięknie wyglądasz – powiedział cicho – kiedy twoje oczy też się uśmiechają.

– Uśmiechają się, widząc, jaki jesteś przystojny, milordzie – odparła.

Ware uniósł dłoń Amelii do ust i obejrzał się przez ramię na stojącego w końcu długiego korytarza Mitchella, który mierzył ich lodowatym spojrzeniem. Następnie wsunął sobie rękę Amelii pod ramię i ruszył z nią w kierunku schodów, którymi miał zamiar zejść na parter, a stamtąd – do ogrodu na tyły domu.

Przez całą drogę czuł na plecach palący wzrok rywala.

Na widok władczości, z jaką lord Ware traktuje Amelię, Colina ogarnęła taka wściekłość, że sam przestraszył się swojej reakcji.

Nie był w stanie tego znieść.

– Musisz sobie znaleźć jakieś zajęcie, *mon ami* – odezwał się Jacques, zaskakując Colina nieoczekiwanym pojawieniem się. – Jeżeli nie przestaniesz o niej rozmyślać, zrobisz coś, czego potem będziesz żałował.

– Zawsze o niej rozmyślałem – odgryzł się Colin. – I nie potrafię inaczej.

– Ona potrzebuje czasu. Podziwiam hart ducha, z jakim jej go dajesz.

Colin zacisnął pięści.

– To nie żaden hart ducha. Nie chcę po prostu na jej oczach zabijać człowieka.

– *Alors...* musisz odejść. Znaleźć sobie coś do roboty.

Colin skinął głową i głośno zaczerpnął powietrza. Wciąż stał na korytarzu – tam, skąd żegnał spojrzeniem Amelię i Ware’a. W końcu zmusił się, by oderwać wzrok od miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stali.

– Właśnie miałem taki zamiar – powiedział. – Chciałem cię poszukać.

– Do czego byłem ci potrzebny? – zapytał Francuz ze swym zwyczajnym, ponurym wyrazem twarzy.

– Nie mogę iść do miasta. Istnieją obawy, że panna Benbridge mogłaby wykraść się za mną, i choć w głębi duszy nie przypuszczam, by to zrobiła, to zaręczyłem, że się stąd nie ruszę.

– Rozumiem.

– St. John ma wysłać człowieka, żeby zebrał wszystkich swoich ludzi z Bristolu. Poprowadź poszukiwania. Powiedz im, czego szukać, na co zwracać uwagę. A jeśli natkniesz się na coś istotnego, wyślij do mnie kogoś z wiadomością.

Jacques skinął głową i niezwłocznie wyruszył. Francuz wybrał główną klatkę schodową, Colin – tę przeznaczoną dla służby. Schody kończyły się w kuchni. Colin, ignorując zdziwione spojrzenia kucharki i jej pomocników, wyszedł tylnymi drzwiami i ruszył w kierunku stajni.

Z każdym krokiem ogarniało go coraz większe przygnębienie. Z ciężkim sercem myślał o czekającej go rozmowie. Nie spodziewał się, by była łatwiejsza od tej, którą odbył z Amelią.



Wszedł cicho. Odetchnął głęboko i wciągnął doskonale znany, kojący zapach koni i siana. Zwierzęta, wyczuwszy nieznanego, który zakłócił ich spokój, zaczęły parskać i nerwowo przestępować z nogi na nogę. Przystanął i rozejrzał się w poszukiwaniu kwatery stajennych. Wreszcie odnalazł drzwi i podszedł do nich niepewnie. Mężczyzna, oparty o futrynę, patrzył na niego ze złością i urazą.

Lata obeszły się z Pietro łaskawie. Prócz tego, że urósł mu brzuch, wciąż wyglądał na młodego i sprawnego. Siwizna oprószyła wprawdzie jego skronie i brodę, ale skóra pozostała gładka, bez zmarszczek.

– Wuju – odezwał się Colin z gardłem ściśniętym ze smutku i z miłości.

– Mój jedyny bratanek nie żyje – odparł lodowato Pietro.

Colin wzdrygnął się, słysząc takie bezwzględne powitanie.

– Tęskniłem za tobą – wyznał.

– Kłamiesz! Pozwoliłeś mi wierzyć, że nie żyjesz!

– Dostałem szansę na inne życie – rzekł Colin i wyciągnął przed siebie ręce w niemym geście prośby o wysłuchanie. – Nie miałem wyboru. Ani czasu do namysłu.

– A ja – to co? – zapytał Pietro, prostując plecy. – A moja rozpacz po tobie? Miałeś ją za nic?

– Uważasz, że sam nie rozpaczałem? – odgryzł się Colin, głęboko dotknięty odrzuceniem przez drugą bliską osobę. – Równie dobrze mogłem zginąć.

– W takim razie, czemu to zrobiliś? – zapytał Pietro i postąpił krok naprzód. – Zastanawiałem się, co mogło cię do tego skłonić. Nie wiem. Nie rozumiem.

– Wcześniej nie mogłem nic nikomu zaproponować. Nie miałem możliwości zapewnić ludziom, których kocham życia, na jakie zasługują.

– O czym ty mówisz? Najgorszą rzeczą w moim życiu było oplakiwanie twojej śmierci!

– A co z koniecznością pracy na służbie? – rzucił Colin. – A co z podróżami? Z odkryciami? Teraz mogę ci je dać. Wcześniej – nie nie mogłem.

Przystojne rysy Pietra zmienił ból.

– Colinie, jestem prostym człowiekiem. Dach nad głową... jedzenie... rodzina... to wszystko, czego mi trzeba do szczęścia.

– Chciałbym mieć równie proste potrzeby – westchnął Colin, podszedł do najbliższego boksu i oparł skrzyżowane ramiona o ściankę. – Bo ja do pełnego szczęścia potrzebuję Amelii, a to był jeden jedyny sposób, aby ją zdobyć.

– Colin... – Z ust wuja wyrwało się długie westchnienie. – Ty wciąż ją kochasz.

– Nie potrafię jej nie kochać. Miłość do niej noszę w sobie od zawsze. Jest ze mną zrośnięta – jak moje włosy i kolor skóry.

Pietro podszedł do drzwi boksu.

– Powinienem być jednak wychowywać cię w taborze. Wtedy nie pragnąłbyś niczego, co byłoby poza twoim zasięgiem.

Colin uśmiechnął się i spojrzał w dal.

– Amelia i ja, i tak byśmy się spotkali. Gdzieś, kiedyś.

– To twoje cholerne cygańskie gadanie.

– Tak, to prawda.

Nastała długa chwila ciszy. Obaj szukali właściwych słów.

– Od jak dawna jesteś w Anglii? – zapytał w końcu Pietro.

– Od kilku tygodni.

– Od kilku tygodni? I nie przyjechałeś się ze mną zobaczyć? –

Pietro z niedowierzaniem potrząsnął głową. – Czuję się, jakbym rozmawiał z obcym. Chłopak, którego wychowałem, miał większy wzgląd na uczucia innych.

Colin, pełen bólu i wyrzutów z powodu cierpienia, jakiego przysporzył wujowi, wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Pietra.

– Jeżeli moja miłość się myli, to nie dlatego że mam jej za mało dla ciebie, lecz dlatego że mam jej za dużo dla niej. Zrobiłbym

wszystko, pojechałbym na koniec świata, byle tylko stać się godnym Amelii.

– Wygląda na to, że osiągnąłeś swój cel – stwierdził cicho Pietro.

– Masz piękny powóz, dostojne ubranie...

– Teraz wydaje się, że to wszystko było na nic. Amelia jest na mnie tak samo zła jak ty. Nie wiem, czy mi wybaczy. Jeśli nie, to wszystko stracone.

– Nie wszystko. Zawsze będziesz miał mnie.

Do oczu Colina napłynęły łzy. Otarł je drżącą ręką. Wuj popatrzył na niego chwilę, po czym odetchnął ciężko i wyciągnął do niego rękę.

– Zostało w tobie jeszcze trochę dawnego Colina – rzekł szorstko.

– Przepraszam za ból, który ci zadałem – szepnął Colin. Gardło miał tak ściśnięte, że nie mógł mówić głośniej. – Myślałem tylko o celu, który chcę osiągnąć. Nie o kosztach. Chciałem mieć wszystko. A teraz – nie mam nic.

Pietro potrząsnął głową i odstąpił od niego krok.

– Jeszcze się nie poddawaj. Za ciężko na to pracowałeś.

– Czy chociaż ty mi wybaczysz? – zapytał chłopak. Jeśli uda mu się odzyskać miłość jednej z ukochanych osób, to może poszczęści mu się i z drugą.

– Może. – Gęstą brodę wuja przecięła kreska uśmiechu. – Mam sześć koni do wyczyszczenia.

Usta Colina wykrzywiły się kpiąco.

– Pozostają do usług.

– To chodź – rzekł Pietro i otoczył ramieniem plecy Colina, po czym poprowadził go do pokoiku koniuszych. – Będziesz musiał się przebrać.

– Nie szkodzi, jeśli zniszczę ubranie, kupię sobie drugie.

– Hm... – Wuj rzucił mu pytające spojrzenie. – Jak dokładnie jesteś bogaty?

– Nieprzyzwoicie.

Pietro gwizdnął.

– Powiedz, jak ci się udało tego dokonać.

– Oczywiście – uśmiechnął się Colin. – Mamy czas.

Było późne popołudnie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Trwały przygotowania do kolacji. Goście Ware’a mieli zjeść posiłek wcześniej, niż jadal w mieście, by potem, usiłując zignorować narastające między stronami konfliktu napięcie, spędzić czas na rozmowach towarzyskich w salonie. Spotkanie nie zapowiadało się na przyjemne, ale Ware był wyrozumiały – wiedział, że wszyscy prócz niego przeżywają silne emocje i muszą dać im upust. Zależało mu na Amelii i uważał, że jest dla niego najodpowiedniejszą partią. Tylko ona łączyła go z całą resztą towarzystwa.

– Mitchell został – powiedział, kiedy przechadzali się po ogrodzie.

– Och – odparła z wzrokiem utkwionym przed siebie.

Ware westchnął i zatrzymał się, zmuszając Amelię, by zrobiła to samo.

– Amelio, odezwij się do mnie. Rozmowa zawsze stanowiła mocną stronę naszej przyjaźni.

Przywołała na twarz niepewny uśmiech i odwróciła się tak, by stanąć przodem do niego.

– Bardzo mi przykro, że naraziłam cię na coś takiego – wyznała z poczuciem winy. – Gdybym tylko mogła cofnąć czas i zmienić wydarzenia ostatniego tygodnia, zrobiłabym to. Cofnęłabym się o kilka lat i wtedy za ciebie wyszła.

– Naprawdę? – Przyciągnął ją bliżej i lekko oparł ręce na jej biodrach. Z tyłu za nią feeria pnących róż, rozpiętych na pergolach, wytyczała drogę nad staw. Nasiona mniszka wirowały w powietrzu, unoszone lekkim wiatrem. Piękna kobieta na takim tle jeszcze bardziej zyskiwała na urodzie.

– Tak. Opłakiwałam go tyle lat, a on w tym czasie rozkwitał. – Wydała z siebie rozkoszny dźwięk, przypominający warkot. – Zbyt

łatwo przyszło mu o mnie zapomnieć. Mam dość tego, że wszyscy o mnie zapominają. Najpierw ojciec, potem Colin.

Amelia wyrwała się z uścisku i ruszyła z miejsca. Jej długie nogi stąpały z oszczędnością, ale pełną zdecydowania elegancją.

– Ja nigdy cię nie opuściłem – rzekł, podkreślając jeden ze swych najmocniejszych atutów. – Zbyt dobrze mi w twoim towarzystwie. Bardzo mało jest na świecie ludzi, o których mogę powiedzieć to samo.

– Wiem. Dziękuję. Za to cię kocham. – Zdobyła się na przelotny uśmiech. – Oto, do jakich wniosków doszłam w moich rozmyśleniach. Jesteś stały i pomagasz mi. Nie udajesz kogoś, kim nie jesteś. Przy tobie potrafię się stosownie prowadzić i zachowywać jak dama. Dobrze się ze sobą czujemy i zgadzamy.

Ware w zamyśleniu zmarszczył czoło, po czym odparł:

– Amelio, chciałbym nawiązać do twoich słów o stosownym prowadzeniu się i zachowaniu godnym damy. Wybacz, ale dziwne wydaje mi się, że akurat te dwie sprawy uważasz za najcenniejsze skutki naszej znajomości. Ja wymieniłbym raczej przyjaźń i swobodę, jaka między nami panuje. To one powinny cię najbardziej skłaniać do małżeństwa.

Amelia zatrzymała się nagle. Bładozielona suknia zawirowała z gracją wokół jej stóp.

– W ciągu paru ostatnich dni coś sobie uzmysłowiłam, Ware. Mam tendencje do nierozwagi, podobnie jak Welton. Potrzebuję pewnych okoliczności i określonego otoczenia, by zapanować nad tymi przebłyskami egoizmu.

– A ja zapewniam ci te okoliczności i otoczenie.

Amelia rozpromieniła się.

– Tak. Właśnie, zapewniasz.

– Hm... – Ware potarł szczękę. – A Mitchell stanowi pożywkę dla twojej nierozważnej natury?

– Lepszym słowem byłoby „napędza ją we mnie”. Tak, w tym rzecz.

– Rozumiem. – Ware uśmiechnął się z goryczą. – A więc ma znacznie ciekawszą rolę do odegrania niż ja.

– Ware! – wykrzyknęła, udając obrażoną, co skwitował śmiechem.

– Przepraszam, kochanie, ale muszę być z tobą szczery. Najpierw podkreślasz, że nie udaję kogoś, kim nie jestem – w przeciwieństwie, jak się domyślam, do pana Mitchella. A natychmiast potem twierdzisz, że powstrzymuję cię od zachowań, z których nie jesteś szczególnie dumna. Czyż nie jest to równoznaczne z twoim dążeniem, by stać się kimś, kim nie jesteś... w pewnym sensie?

Dolna warga Amelii zadrżała tak, jak się to zdarzało, gdy dziewczyna była nieszczęśliwa. Położyła rękę na biodrach i zapytała:

– To znaczy, że chcesz, żebym z nim była? Czy właśnie to masz na myśli?

– Nie. – Ware'a opuściła wszelka wesołość i postanowił obnażyć przed Amelią emocje, które dotąd skrywał. – Nie uważam, że Mitchell to mężczyzna dla ciebie. Nie uważam, że na ciebie zasługuje. Nie uważam, że może zapewnić ci życie, na jakie zasługujesz. Niemniej nie oznacza to, że chcę spędzić życie z połową ciebie.

Amelia zamrugwała.

– A więc jednak jesteś zły.

– Nie na ciebie – odparł ponuro i znów wyciągnął do niej rękę, chwycił ją za łokcie i przyciągnął do siebie. – Ale mogę w końcu stać się zły, czego oczywiście sobie nie życzę. Nie podoba mi się perspektywa, że będziesz do mnie należała tylko w połowie, Amelio. Jeżeli mnie wybierzesz, to wiedz, że potrafię sprawić, abyś była przy mnie szczęśliwa. Pozostaje pytanie, czy ty potrafisz sprawić, abym ja był szczęśliwy z tobą. Zastanawiam się, czy to jeszcze możliwe, skoro wciąż czekam na powrót tej uroczej dziewczynki, która mnie kiedyś poprosiła, żebym ją pocałował.

– Ware...

Położyła mu dłoń na policzku, a on wtulił się w nią, wdychając słodki zapach wiciokrzewu, który wydzielala jej skóra.

– Nie zasługuję na ciebie – wyszeptała.

– Czyż nie powtarzasz tego, co sama usłyszałaś od pana Mitchella? – zapytał, zmieniając położenie rąk, tak by ją objąć. Oparł policzek o jej skroń i powiedział: – A teraz zostawię cię samą. Muszę załatwić kilka spraw, a ty powinnaś mieć chwilę spokoju, żeby to wszystko przemyśleć.

– Nie chcę, żebyś z nim walczył.

– Za późno, by to zmienić, Amelio. Ale zażądałem tylko pierwszej krwi. Do niczego więcej nie dojdzie.

Poczuł, jak jej napięte plecy rozluźniają się w uldze.

– Dziękuję – powiedziała.

Ware otarł z jej policzka samotną łzę i odstąpił od niej o krok.

– Przez cały czas jestem do twojej dyspozycji. Nie wahaj się mnie poszukać, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała.

Amelia skinęła głową i patrzyła w ślad za hrabią, który odwrócił się i ruszył w stronę rezydencji. Kiedy zniknął z zasięgu jej wzroku, rozejrzała się wokół siebie. Czuła się samotna i opuszczona. Nikt nie wiedział, ile emocji wywołał w niej nieoczekiwany powrót Colina.

Nagle zamarła w bezruchu, a jej serce również zatrzymało się na chwilę.

Była na świecie jeszcze jedna osoba, która kochała Colina równie mocno jak ona. Jedną jedyną osobą, którą jego powrót też musiał dotknąć do żywego.

Wiedząc, że Pietro, jak ona sama, również potrzebuje pocieszenia, Amelia pospiesznie udała się do stajni.

## ROZDZIAŁ 15

---

François Depardue z wyrazem lekkiego znudzenia na twarzy wszedł do gospody w Bristolu. Wspiął się po schodach do pokoiów gościnnych i zastukał we właściwe drzwi. Kiedy ze środka dobiegło głośne pozwolenie na wejście, bezzwłocznie wkroczył do pokoju.

– No i? – zapytał niecierpliwie Cartland, podnosząc wzrok znad rozłożonych na małym, okrągłym stoliku map.

François odpowiedział niechętnie, a w jego głosie pobrzmiewała złość. Z każdym mijającym dniem czuł wobec niegrzecznego, aroganckiego Anglika coraz większą niechęć. Najpierw sprzeczał się z przełożonymi, a potem błagał ich, by zatrzymali Cartlanda w areszcie, dopóki nie wyjaśni się sprawa morderstwa Leroux. Bezskutecznie.

*Jeśli kłamie, mówili, to będziesz go miał pod ręką. Bez trudu się go pozbędziesz.*

Nalegali, by Cartland wziął udział w poszukiwaniach, a ten od razu uznał, że należy mu się rola dowódcy. Rzeczywiście – był wyśmienitym tropicielem i jeszcze lepszym zabójcą, ale nieuzasadnione poczucie własnej wyższości skutecznie osłabiało jego wrodzone zdolności.

– Wygląda na to, że Mitchell zatrzymał się u lorda Ware’a. Rezydencja jest pilnie strzeżona ze wszystkich stron. Wnioskuje, że to z powodu obecności Christophera St. Johna.



Cartland uśmiechnął się.

– Hrabia pewnie się obawia, że Mitchell ucieknie przed pojedynkiem niczym nędzny tchórz, którym zresztą jest.

– To twoje słowa – rzekł François.

Twarz Anglika stężała.

– Coś mi się zdaje, że udział *mademoiselle* Rousseau w tej sprawie popsuł ci humor.

*Lysette*. François uśmiechnął się na myśl o niej. Kiedyś była nieszkodliwa, ale on i jego ludzie dopilnowali, by już nigdy nie była ani nieszkodliwa, ani niewinna. Prócz szczerego pragnienia, by mordercę Leroux spotkała sprawiedliwość, jedyną przyjemnością, jaką czerpał z tej żalostnej wyprawy, była nadzieja wyrównania rachunków z *Lysette*.

Na myśl o tym krew w jego żyłach popłynęła szybciej. Będzie z nim walczyć – zawsze to robiła, i przy każdym spotkaniu szło jej coraz lepiej. Im twardszy stawiała opór, tym większą czerpał z tego przyjemność. Teraz, gdy stowarzyszenie *Illumines*, na zlecenie którego pracowała, przydzieliło jej zadanie, by albo Cartland, albo Mitchell zapłacili życiem za śmierć Leroux, François wyobrażał sobie, że nieunikniona dominacja jej ciała będzie znacznie słodsza.

Być może ludzie z *Illumines* sądzili, że doceni ich pomoc, ale on nie lubił być spychany na drugi plan – a tak właśnie oceniał ich udział.

– Masz jakieś propozycje co do naszych dalszych działań? – zapytał François.

– Przypuszczam, że udałoby się odciągnąć uwagę strażników, podsuwając im przynętę w postaci mojej osoby. A wtedy można by nocą zaatakować dom i go zabić.

– Ale to mi nie powie, kto jest naprawdę winien, nieprawdaż?

Cartland wstał zza stolika i warknął:

– Ja oczywiście jestem niewinny. Gdyby było inaczej, nie wysyłałoby mnie na poszukiwania Mitchella.

– W takim razie, co tu robi *mademoiselle* Rousseau? – François uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem na pytanie. – Sądziś, że została przysłana, by obserwować rozwój wypadków i wspomagać moje działania? Z pewnością nie jesteś aż tak głupi. To był świetny plan – wysłać ciebie ze mną, a Quinna – z nią. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi. Myślisz, że szpiegowanie – ruchem brody wskazał krępego mężczyznę w kącie – daje ci przewagę, a tymczasem się mylisz.

– Więc co proponujesz, byśmy zrobili? – Twarz Cartlanda spłonęła purpurą.

François zastanawiał się chwilę, po czym wzruszył ramionami i powiedział:

– Mitchell będzie walczył w pojedynku, o kobietę. Może tu leży klucz do jego wyznania.

Anglik pobladł.

– Sugerujesz ujęcie szwagierki St. Johna? Postradałeś zmysły?

– Założę się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują – zakpił François.

– Nie masz na ten temat zielonego pojęcia – mruknął Cartland, po czym jego twarz przybrała wyraz silnej determinacji. – W takim razie... może masz rację. – Uśmiechnął się z wyższością. – Coś wymyślę. Daj mi trochę czasu.

François z udawaną obojętnością wzruszył ramionami, ale po cichu knuł własne plany.

– Dobrze. Pójdę na dół coś zjeść. Któryś z was ma ochotę się przyłączyć?

– Nie. Obaj mamy robotę.

– Jak sobie życzycie.

Cartland odprowadził wychodzącego Depardue spojrzeniem oczu wąskich jak szparki.

– Zaczyna przysparzać więcej kłopotu, niż jest wart – mruknął. – To, że bym go sam sprzątnął, nie wchodzi w grę, ale trzeba coś wymyślić, bo za bardzo nam przeszkadza.

– Więc wyślij go, żeby schwytał tę dziewczynę – odparł lekko Jacques. – To był jego pomysł, więc nie powinien się sprzeciwiać.

Do Cartlanda dotarło piękno tego planu i wyszczerzył zęby. Gdyby Mitchell lub St. John zajęli się Depardue, potwierdziłoby to tylko jego własną niewinność.

– Załatwisz, żeby dostał się do środka?

– *Mais oui.*

– Doskonale. W takim razie zajmij się tym.

Amelia natknęła się na Pietra, kiedy prowadził konia z wybiegu na podwórze między stajniami. Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, oszołomiona jego podobieństwem do Colina. Do tej pory nie zwróciła na nie uwagi, ponieważ żyła wspomnieniami z lat dziecinnych i młodzieńczych. Teraz jednak, kiedy poznała już Colina w wieku dojrzałym, podobieństwa nie dało się zignorować. Było uderzające. Do oczu napłynęły jej łzy i choć próbowała je powstrzymać, gęsto mrugając, popłynęły niepowstrzymanym strumieniem i zamazały jej obraz. Ze złością wytarła je ręką.

– Panna Benbridge – powitał ją Pietro ze współczuciem w ciemnych oczach. – Wiem, to boli.

Skinęła głową.

– A pan, jak się pan trzyma?

– Jestem na niego zły – przyznał – ale jednocześnie wdzięczny, że wrócił. Jeśli pani wciąż kocha tego chłopca, którym był kiedyś, pewnie pani czuje to samo?

– Owszem, cieszę się, że żyje – wydusiła z siebie po chwili. – Czy czegoś panu potrzeba?

Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– To miłe, że w takim trudnym czasie pani się o mnie troszczy. Teraz widzę, dlaczego on tak panią uwielbia.

Jej twarz zarumieniła się.

– Kocha panią od bardzo dawna, panno Benbridge. – Głęboki głos Pietra z nieznacznym cudzoziemskim akcentem brzmiał

kojąco, choć jego słowa wywierały przeciwny efekt. – Od samego początku próbowałem go zniechęcić, ale nie chciał mnie słuchać. Sądzę, że to dużo mówi, jeśli mimo wieloletniej rozłąki wciąż tak bardzo wam na sobie zależy.

– To nie zmienia faktu, że on czuje się ode mnie gorszy – powiedziała, nerwowo wypuszczając powietrze. – A ja nie lubię osoby, w którą się zmieniałam, odkąd próbuję go przekonać, że tak nie jest.

Pietro przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– Pomoże mi pani?

– Oczywiście – odparła Amelia, podchodząc bliżej. – Co mam zrobić?

– Może pani zaprowadzić tego konia do stajni? Jeszcze kilka zostało na wybiegu, muszę zdążyć przed zachodem słońca.

Amelia wzięła konia za kantar. Pomyślała, że stangret jakoś dziwnie się do niej uśmiechnął. Cóż, ostatnio wszystko w jej życiu było dziwne.

– Dziękuję – mruknął i oddalił się.

Amelia odwróciła się i stanęła w otwartych na oścież drzwiach stajni. Dopiero wtedy chwili zdała sobie sprawę z zamiarów Pietra. Zatrzymała się w pół kroku. Ze zdziwienia i nagłego pożądania zabrakło jej tchu.

Mężczyzna pracował odwrócony do niej plecami, ale nie miała wątpliwości co do jego tożsamości. Był rozebrany do pasa, w zniszczonych bryczesach i wypolerowanych na błysk wysokich butach, cudownie opinających jego umięśnione łydki. Z każdym zamaszystym posunięciem zgrzebla po końskim boku jego potężne mięśnie napinały się i rozluźniały pod lśniącą od potu skórą.

Wspomnienia z młodości napłynęły nagłą, gorącą falą, tak silną, że pod Amelią omal nie ugięły się kolana. Czerwone pręgi, które jej paznokcie pozostawiły na jego złocistej skórze, przydawały pięknemu ciału jeszcze więcej zmysłowości.

Patrzyła bez słowa. Po chwili on również znieruchomiał. Oddychała szybko, jakby brakowało jej powietrza. Błyskawicznym ruchem odwrócił głowę w jej stronę.

Dobry Boże, był cudowny. Tak przystojny i męski, że coś ścisnęło ją w środku.

– Jesteś sama? – zapytał.

– Tak.

Colin skrzywił się i podszedł do niej.

– Proszę, nie podchodź – odezwała się.

Mocno zacisnął szczękę i zatrzymał się.

– Zaczekaj. Porozmawiajmy.

– Co tu jest jeszcze do dodania? Słyszałam twoje argumenty. Rozumiem, dlaczego postąpiłaś tak, jak postąpiłaś.

– Jest jeszcze dla nas nadzieja? Jakakolwiek?

Potrząsnęła głową.

Rozpacz wykrzywiła jego twarz.

– Spójrz na mnie – powiedział łamiącym się głosem. – Spójrz tylko, gdzie jesteśmy. Gdybym wtedy nie wyjechał, byłbym dokładnie w tym samym miejscu – czyściłbym konie St. Johna, podczas gdy ty mieszkałabyś w jego rezydencji, do której ja nie miałbym wstępu. Czy moglibyśmy wówczas być razem? Proszę, sama powiedz.

Amelia zakryła twarz ręką, by stłumić łkanie.

– A gdybym zrezygnował ze wszystkiego, co zdobyłem? – zapytał głosem tak zdesperowanym, że serce Amelii roztrzaskało się na drobne kawałeczki. – Gdybym z powrotem zatrudnił się jako służący w twoim domu? Czy wtedy byś mnie zechciała?

– Do diabła z tobą! – wykrzyknęła, prostując się w odruchu samoobrony. – Dlaczego musisz się zmieniać, żeby do mnie pasować? Dlaczego nie możesz po prostu być tym, kim jesteś?

– Oto, kim jestem! – wykrzyknął i rozpostarł szeroko ręce. – Oto mężczyzna, którym się stałem. Niestety wciąż nie tym, którego byś chciała.

– Kogo obchodzi, czego ja bym chciała? – Chwiejnym krokiem ruszyła w jego stronę. – Powiedz lepiej, czego sam chcesz!

– Chcę ciebie!

– W takim razie dlaczego tak szybko ze mnie rezygnujesz? – warknęła. – Jeżeli mnie chcesz, walcz o mnie. Zrób to dla siebie, nie dla mnie.

Amelia cisnęła w niego uwiązem, na którym trzymała konia.

Złapał ją za rękę i przytrzymał ją.

– Kocham cię.

– Niewystarczająco – wyszeptała, wrywając się z uścisku, po czym wśród szelestu halek i koronek wybiegła ze stajni.

Colin patrzył za nią dłuższą chwilę. Zastanawiał się, co jeszcze mógłby zrobić, co jeszcze powiedzieć, by zechciała wrócić. Zrobił już wszystko, co mógł. I wszystko stracił...

W drzwiach do stajni ukazała się ciemna sylwetka i Colin zmusił się, by odsunąć emocje na bok.

– St. John – powitał przybysza.

Pirat świdrował go przenikliwym spojrzeniem.

– Na pobliskim wzgórzu zauważono samotnego jeźdźca. Jest już śledzony. Wraca do miasta.

Colin skinął głową.

– Dziękuję.

– Niedługo kolacja.

– Chyba bym jej nie przetrwał – odparł z myślą o tym, że z kamienną twarzą będzie musiał patrzeć, jak Ware publicznie rości sobie prawo do Amelii. Wiedział, że tego nie zniesie.

– W takim razie usprawiedliwię twoją nieobecność.

– Będę ci zobowiązany.

St. John zawahał się chwilę, po czym wszedł kilka kroków głębiej do stajni.

– Miałeś kiedyś nieszczęście poznać lorda Weltona?

– Raz. Widziałem go przelotnie.

– Zostały ci z tego spotkania jakieś wspomnienia? Coś szczególnego?

Colin zmarszczył czoło i wrócił myślami do dawnych czasów.

– Pamiętam, że wtedy zauważyłem, iż ma lodowate oczy.

– Niepodobne do oczu panny Benbridge.

– Zupełnie.

– A ona wciąż uważa, że ma cechy ojca – mruknął St. John. –

Lub przynajmniej – zadatki na podobieństwa. W jej rozumieniu każde działanie, które podejmie, kierując się własnymi pragnieniami, a nie rozsądkiem, jest słabością.

Colin ostrożnie przełknął tę informację. Przy nim Amelia kierowała się czystą namiętnością. Zawsze tak było. Zostali jednak rozdzieleni mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dowiedziała się o przewrotnej naturze swego ojca. Świadomość, jakim był potworem, z całą pewnością nie pozostała dla niej obojętna. On wciąż zabiegał o względy dziewczyny zapamiętanej z przeszłości, gdy tymczasem Amelia dawno już przestała nią być. Musiał się z tym liczyć.

– Ware to rozsądny wybór – odparł Colin, lecz nie myślał już, że hrabia to najlepszy kandydat na męża Amelii. Jej żywiołowa natura miała swe źródło w jej wnętrzu, gdzie płonął żarliwy, niegasnący ogień. Ten ogień należało podsycać – a już on, Colin, potrafiłby o to zadbać. Tego ognia nie należało tłumić ograniczeniami społecznymi i oczekiwaniami, które Amelia musiałaby wypełnić jako wzorowa żona Ware'a.

– Tak – zgodził się St. John. – To prawda.

Pirat wyszedł ze stajni tak cicho, jak się w niej pojawił. Colin został sam. Miał wiele spraw do przemyślenia.

Przy kolacji Amelia zachowywała się jak męczennica. Nie przestawała myśleć o Colinie, który poprosił o podanie posiłku do sypialni. Rozmowa, do której doszło między nimi w stajni, gnębiła ją i nie dawała spokoju. Siedziała więc małowówna, przygaszona,

roztaczając wokół siebie aurę przygnębienia, która rzucała się cieniem na ogólną, i tak już poważną, atmosferę przy stole. Mimo największych starań Amelia nie była w stanie zapomnieć widoku Colina pracującego przy koniach – czyli tam, gdzie można byłoby go spotkać, gdyby pozostał służącym w majątku jej ojca. Było to dla niej szokujące odkrycie. Czuła się zagubiona. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Położyła się wcześniej, z nadzieją że skoro jest tak wyczerpana psychicznie, szybko ogarnie ją sen. Los nie okazał się jednak tak łaskawy. Amelia nie mogła zasnąć. Przewracała się bezsennie w łóżku wiele godzin. W końcu poddała się i wstała. Narzuciła szlafrok i po cichutku wyslizgnęła się na dół, do biblioteki.

Było już późno. Wszyscy dawno poznikali w swoich pokojach i pokładli się spać, miała więc cały dom do swojej dyspozycji. Wielekroć zdarzało jej się błądzić nocą po rezydencji St. Johna i szukać ukojenia w ciszy i samotności, które zawsze przenosiły ją w lata młodości. Wtedy jej wyobraźnia miała największe pole do popisu – powstawały w niej historie i opowieści, a pamięć przywoływała fragmenty ulubionych książek.

Drzwi do biblioteki były lekko uchylone. Migotanie ognia na kominku zdradzało czyjaś obecność w pokoju. Amelię przeszedł dreszcz niepokoju, a jej ciało pokryło się gęsią skórką. Pomyślała, że chyba zrezygnuje z czytania i wróci do swego bezpiecznego łóżka. Wahała się przez chwilę – w głębi duszy sama nie wiedziała, dlaczego ją korci, by jednak wejść, skoro tak bardzo ceni sobie stabilność i dobre maniery.

Odkąd Colin na nowo pojawił się w jej życiu, wszystko, co robiła, dyktowane było wyłącznie jej własnymi zachciankami, przy całkowitym lekceważeniu wszelkich pozostałych czynników. Podobieństwo do ojca nasuwało się samo. Amelia mocno zacisnęła zęby. Była zdeterminowana. W bibliotece najprawdopodobniej siedział Ware, a jego obecność pomoże jej odzyskać równowagę i uspokoi płomienne emocje, których sama nie potrafiła okiełznać.



Popchnęła drzwi.

Stąpiła cicho. Zza oparcia fotela wystawało czyjeś ramię w koszuli o podwiniętym rękawie oraz dłoń, pod ryzykownym kątem trzymająca kryształowy kielich, wypełniony trunkiem. Po kolorze skóry rozpoznała, że niewłaściwie oszacowała tożsamość mężczyzny, ale mimo to nie cofnęła się. Coś w sposobie, w jaki trzymał kielich, wzbudziło jej czujność i niepokój. Naczynie było tak przechylone, że bursztynowy płyn niemal wylewał się na dywan.

W pokoju było ciepło i przytulnie. Wzdłuż ścian od sufitu do podłogi ciągnęły się półki pełne książek – bezcennych arcydzieł. Tu i ówdzie porozstawiano miękko wyściełane meble i mnóstwo podręcznych stolików. Była to biblioteka, z której rzeczywiście korzystano, a nie wewnątrz urządzone na pokaz, by ostentacyjnie zademonstrować bogactwo właściciela. Mimo czekającej Amelię, nieuniknionej konfrontacji z mężczyzną zajmującym fotel, zapach pergaminu i skóry podziałały na nią uspokajająco. Cisza zaś, właściwa miejscu przeznaczonym do nauki i odkrywania wiedzy, przynosiła ukojenie i otuchę.

Amelia okrążyła fotel. Jej oczom ukazało się rozciągnięte ciało Colina z długimi nogami w wysokich butach opartymi na podnóżku. Nie miał na sobie marynarki ani kamizelki, zdjął też z szyi fular. Skierował na nią pozbawione wszelkich uczuć spojrzenie spod w półprzymkniętych powiek, po czym podniósł kielich do swych pięknych ust. Nad jego brwią widniało świeże zadrapanie, a pod nim – strużka zastygłej krwi.

– Co się stało? – zapytała cicho. – Czym się zraniłeś?

– Nie zbliżaj się – powiedział niskim, szorstkim tonem. – Znajduję się w mrocznym miejscu, Amelio. Wypiłem znacznie więcej trunku, niż nakazuje rozsądek. Nie potrafię przewidzieć, co zrobię, jeśli podejdziesz za blisko.

Na stojącym obok drewnianym, rzeźbionym krześle leżały jego marynarka, kamizelka i broń – mała szabla oraz sztylet.

– Skąd wracasz?

– Jeszcze nie wyjechałem. – Odwrócił głowę i spojrzał na ogień.

Amelia usłyszała w tych słowach ból i rozpacz. Serce ścisnęło jej się z żalu. Dla niego. I dla niej.

– Cieszę się, że jeszcze nie wyjechałeś.

– Doprawdy? – Colin odwrócił głowę. W migotliwym blasku płomieni jego piękne rysy przybrały zacięty wyraz, a z ciemnych oczu wyzierał chłód. – Bo ja – wcale.

– Pomyśl tylko, co mogłoby cię spotkać, gdybyś wyjechał w takim stanie?

– Nie ma już powodu, dla którego miałbym unikać Cartlanda. Oddam się w jego ręce, a jednocześnie oszczędzę wszystkim niebezpieczeństw, wynikających z mojej obecnej sytuacji.

– Przecież tu chodzi o twoje życie! – zaprotestowała. – Jeśli się przyznasz do morderstwa, zginiesz.

Uśmiechnął się gorzko:

– Jeśli mam żyć bez nadziei, że będę z tobą, perspektywa śmierci wydaje mi się nawet kusząca.

– Colin! – krzyknęła. – Jak możesz tak mówić? – Zakryła usta dłonią i walczyła ze łzami, które napłynęły jej do oczu.

Zaklął pod nosem.

– Idź już. Nie jestem dziś dobrym towarzyszem. Mówiłem ci już.

– Boję się zostawić cię samego – oznajmiła, w obawie że zrobi to, czym zagroził: odda się w ręce swego prześladowcy.

– Nie, wcale się nie boisz. Już mnie zostawiłaś, nie pamiętasz?

Amelia omal nie odpowiedziała, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Sytuacja była zbyt poważna, zbyt niebezpieczna, a Colin – w zbyt ponurym nastroju. Czasami zdarzało jej się widywać w podobnym stanie St. Johna. Podziwiała hart ducha Marii, która zawsze w takich chwilach trwała przy mężu.

*On mnie teraz potrzebuje*, mawiała wtedy Maria.

Nie było wątpliwości, że Colin też potrzebował teraz wsparcia. A kiedy Amelia się od niego odwróciła, towarzystwa i otuchy mógł szukać już tylko w alkoholu.

Podeszła do niego wyprostowana. Uniosła do ust rąbek szlafroka, pośliniła go, wyciągnęła rękę, by unieść podbródek Colina, a drugą ręką otarła mu krew z czoła. Siedział nieruchomo, wodząc za nią czujnymi oczami w napięciu, które natychmiast udzieliło się i jej. Każdy nerw jej ciała powodował mrowienie. Było jej coraz trudniej oddychać.

Nagle Colin warknął głucho, odwrócił głowę i przycisnął usta do wrażliwej skóry jej nadgarstka. Zastygła w bezruchu. Nie była zdolna drgnąć, kiedy gładził językiem miejsce rozszalałego pulsu.

Jego kielich upadł miękko na dywan. Trunek rozlał się, a Colin w jednej chwili zerwał się z fotela i pociągnął Amelię na podłogę.

– Pragnę cię – wycharczał, a jego gorące, otwarte i wygłodniałe usta zaczęły jak szalone błędzić po jej delikatnej szyi. – Pragnę cię tak strasznie, że chyba tego nie wytrzymam.

– Colinie... – Jego dotyk – dotyk podnieconego do granic wytrzymałości mężczyzny – rozniecił drzemiącą w niej namiętność, tak że wystrzeliła nagłym, jasnym płomieniem. – Nie możemy...

– Nic tego nie powstrzyma – powiedział, rozgarniając ręką połę jej szlafroka i chwytając za pierś. – Bo należysz do mnie.

Jej wzrok powędrował w stronę uchylonych drzwi. Nie domknęła ich, wchodząc.

– Drzwi... – zaczęła.

Przez cieniutką jak mgielka koszulę otoczył wargami jej sutek. W odpowiedzi jęknęła i kurczowo wczepiła ręce w jego włosy.

– Pamiętasz tamtą noc – wyszeptał prosto w jej pierś. – Pamiętasz, jak się w tobie czułem. Pamiętasz, jak głęboko... jak cię sobą wypełniałem...

Zadrzała z pożądania. Krew jej dudniła, piersi nie wiedzieć kiedy stały się ciężkie i obrzmiałe. Jego twarde od pracy palce kręciły

sutkiem, wskutek czego po całym ciele Amelii rozchodziły się fale błogiej przyjemności.

– Colin...

Pochylił się nad nią i wessał się w jej usta, zalewając jej zmysły smakiem brandy i swoim własnym, niepowtarzalnym, egzotycznym zapachem. Jęknęła z rozkoszy. Ssała zanurzający się w niej bezwzględnie język, jakby chciała zaspokoić palące pragnienie, w pełni nasycić się jego smakiem.

Pochłonięta feerią doznań, dopiero po chwili zorientowała się, że położył jej ręce na udach. Po powiewie chłodnego powietrza na rozpłomienionej skórze poznała, że podwija jej nocną koszulę. Całe jej wnętrze kurczyło się i zaciskało z niecierpliwości oczekiwania na jego dotyk. Napięcie było tak wielkie, że Amelia jęczała prosto w jego usta. Kolano Colina wdarło się między jej kolana, nachalnie rozpychając jej nagie uda. Poddała się bezwstydnie. Rozłożyła szeroko nogi, dając mu pełen dostęp do swego pulsującego wnętrza.

Colin podniósł głowę i spojrzał na nią, jednocześnie przykładając rękę do łona.

– Już się na mnie przygotowujesz – wyszeptał pomiędzy ciężkimi, nierównymi oddechami. Włożył w nią dwa palce, a ona przyjęła go chętnie, wyginając plecy w pozie bezsilnej rozkoszy. – Jesteś dla mnie stworzona.

Doznanie jego obecności tam, w środku, gdzie wszystko bolało ją z pragnienia, było prawie nieznośne. Oplotła jego plecy rękami i prosiła:

– Wejdz. Wypełnij mnie.

Jego oczy pociemniały. Żrenice miał tak powiększone, że tęczówek prawie nie było widać.

– Mogę zadać twojemu ciału tyle przyjemności, Amelio. Na tyle różnych sposobów. Czy mam ci teraz pokazać, co stracisz, kiedy się rozstaniemy?

– Ty pierwszy mnie opuściłeś.

– Ale wróciłem. – Jego płomienny ton przeczył rozpaczy, wyraźnie widocznej na jego obliczu. – A ty, wrócisz? Jeśli będę cię dobrze kochał... jeśli uzależnię twoje ciało od mojego... czy do mnie wrócisz?

Jej dolna warga zadrżała. Polizał ją, otulając gorącym oddechem, przesyconym zapachem alkoholu. Jego palce posuwały się naprzód i wycofywały, płytko zagłębiały się w zaciśniętej pochwie, umiejętnie podniecając jej żar. Pieszczota była dojmująco intymna, ale zupełnie inna niż poprzednio. Wtedy niosła ze sobą rozkosz i nadzieję. Teraz towarzyszyły jej inne emocje – rozpacz i ból.

– Oddałbym wszystko – wyszeptał przez ściśnięte gardło – za cień nadziei, że kiedyś znowu mnie pokochasz.

– Nigdy nie przestałam cię kochać! – zawołała cicho, a łzy popłynęły jej po skroniach i wsiąkły we włosy. – Tu nie chodzi o brak miłości do ciebie.

Colin przycisnął policzek do jej policzka.

– Najbardziej żałuję tego, że mimo najszczerzych wysiłków, najgorliwszych chęci nigdy nie będę cię godny.

Amelia odwróciła głowę i przycisnęła wargi do jego ust. Nie chciała sprzeczać się o to, co ich dzieliło, widząc, jak bardzo cierpi. Przyjął pocałunek z wyraźną wdzięcznością – serce waliło mu tak, że jego bicie prawie zagłuszało szaleńczy puls Amelii. Barki Colina nie przestawały napinać się pod jej dłońmi – mięśnie nieustannie pracowały, by palce mogły eksplorować jej śliskie, kurczowo zaciśnięte wnętrze. Wydała cichy okrzyk – słaby dźwięk kobiecej uległości i pożądania.

Ten okrzyk go zmienił – Amelia to wyczuła. Skrzywdzony chłopak z przeszłości zniknął, ustąpił miejsca zdeterminowanemu mężczyźnie, działającemu tu i teraz. Desperacja zmieniła się w dominację, rozpacz – w żądzę. Kiedy podniósł głowę i znowu na niego spojrzała, w oczach miał diabła.

– Gdybyś zobaczyła to, co ja widzę – mruknął, uwalniając palce, przesuając je na lechtaczkę i naciskając na nią umiejętnym, płynnym ruchem.

Wzięła gwałtowny oddech. Jej biodra zaczęły samoistnie się unosić, skłonne zrobić wszystko, by tylko spotęgować przyjemność, jaką dawał powolny, prowokacyjny masaż.

– Zawsze stęskniona rozkoszy – wyszeptał – zawsze namiętna. Płoniesz z pożądania, Amelio, zupełnie jakby w twoich żyłach płynęła cygańska krew.

Colin ukąsił ją lekko w podbródek, a potem ześlizgnął się niżej, wiodąc językiem po szyi, aż napotkał falbankę u dekoltu nocnej koszuli. Wtedy zmienił pozycję. Ukląkł, a kiedy to zrobił, Amelia poczuła jeszcze silniejszy głód jego pieścizot. Leżała pod nim w pozycji całkowitej uległości, wśród rozrzuconych ubrań, a jego palce nie przestawały dotykać jej tak, jak powinny dotykać palce męża. Rozpustna poza tylko wzmogła jej pożądanie, żarliwość i desperację.

Colin podciągał jej koszulę coraz wyżej i wyżej, dopóki najpierw chłodne powietrze, a potem jego usta nie dotknęły jej stwardniałych sutków. Jego język był narzędziem rozkoszy i udręki. Delikatne lizanie napiętego wierzchołka sprawiało, że kurczowo wczepiała się w jego włosy i przyciągała go coraz bliżej. Kiedy ją ssal z zapadniętymi policzkami, wrażenia potęgowały się w niej i piętrzyły do chwili, kiedy już nie była w stanie ich rejestrować.

Colin. Jej piękny, egzotyczny Colin kochał się z nią w sposób, o jakim nigdy nie marzyła, a ona nie mogła się mu oprzeć. Jego pragnienie i tęsknota nakładały się na jej pragnienie i tęsknotę, tak że opuściły ją wszelkie ograniczenia. Z rozkoszą poddawała się jego wymaganiom.

– Masz takie piękne piersi – chwalił, całując dolinę między nimi, by po chwili dostarczyć przyjemności drugiemu, zazdrosnemu sutkiowi. Ujął obrzmiałą tkankę i ugniatał ją, masował, kręcił jej

sztynny czubek między palcami. – Jesteś taka słodka, taka miękka. Mógłbym zatracać się w tobie całymi dniami... tygodniami...

Myśl o tym, że mogłaby bez ustanku poddawać się jego pieszczotom, była równie podniecająca jak sam dotyk jego rąk. Amelia, wiedzioną rosnącą, instynktowną potrzebą szczytowania, zaczęła ujeżdżać jego rękę.

– Proszę... – jęknęła.

Skubnął zębami jej sutek, wywołując z jej ust lekki okrzyk zaskoczenia. Potem zsunął się niżej, obwodząc czubkiem języka jej pępek.

– Jeszcze nie – warknął.

– Teraz – błagała. Pragnienie było już tak silne, że czuła, jaka jest mokra. – Proszę cię... już.

Colin wrócił na klęczki, pozbawiając ją na moment swego ciepła i bliskości. Kiedy zaprotestowała, uśmiechnął się, a na jego policzkach ukazały się urocze dołeczki, które tak uwielbiała. Jednym ruchem wyszarpnął koszulę ze spodni i zdjął ją przez głowę, obnażając perfekcyjnie wyrzeźbioną klatkę piersiową i brzuch, na którego widok zamarła z zachwytem. Jego ciemna skóra ciasno opinała wyraźnie zaznaczone mięśnie. Amelia uwielbiała jego ciało. Od zawsze. Podobało jej się, że to dzięki ciężkiej pracy nabrało takiej siły i gibkości.

– Patrzysz na mnie tak, że nie przestaniemy całą noc – obiecał jej mrocznym, zmysłowym szeptem.

Sięgnął do rozcięcia w spodniach, by uwolnić swą długą, obrzmiałą erekcję. Wszelkie argumenty, przemawiające za rozsądkiem, jakie Amelia mogła jeszcze wytoczyć, w tej chwili ostatecznie straciły swoją moc. Odtąd była już skupiona tylko i wyłącznie na tym mężczyźnie – uosobieniu samczej zmysłowości, uosobieniu fantazji o kochanku o lśniącym od potu, obnażonym do pasa torsie i grubym, spragnionym spełnienia penisie, dumnie wygiętym do góry z podniecenia.

Oblizawszy wargi, Amelia podniosła się, usiadła i sięgnęła po niego.

– Amelio... – rzucił ostrzegawczym tonem, ale trwał w bezruchu, pozwalając jej nachylić go tak, by trafił prosto w jej otwarte usta.

– Tylko spróbuję – wyszeptała, oblizując wargi. – Tylko raz...

Omiotła językiem maleńką dziurkę na czubku członka.

Powietrze, które wciągnął Colin, zaświstało mu między zębami.

Skóra była gładza niż cokolwiek, czego w życiu dotykała.

A smak – słony i prymitywnie samczy, działał jak afrodyzjak.

Amelia jęknęła, objęła ustami grubą, rozszerzoną główkę i niepewnie zassała.

– Och – jęknął i zadrżał. Jego ręce objęły tył jej głowy i tam już pozostały.

Ośmielona jego odpowiedzią i opętana dzikim pragnieniem, by choć przez chwilę mieć go na swej łasce i niełasce, Amelia przechyliła głowę i polizała naprężony członek wzdłuż całej długości. Czubkiem języka śledziła pulsującą żyłkę od nasady aż po wierzchołek. Lizwała dookoła, smakując jego gęste nasienie.

Colin był przekonany, że nie wytrzyma przyjemności, którą Amelia zadawała mu z takim entuzjazmem. Wydawała się w niej zatracona – skupiona nie tyle na nim, ile na sobie i na własnej rozkoszy. Jej piękna twarz zarumieniła się, zielone oczy były szkliste od podniecenia, a wargi – czerwone, nabrzmiałe i mocno napięte.

– Tak – wyszeptał, kiedy jęknęła i zaczęła ssać mocniej. – Twoje usta to raj... weź mnie głębiej.. tak...

Całe ciało bolało go od siły, z którą powstrzymywał swój instynkt. Drżał, płonął i łapczywie chwycił powietrze. Widok własnego penisa, zanurzającego się i wynurzającego z ust Amelii, podniecał go do granic wytrzymałości. A jeszcze godzinę wcześniej myślał, że już nigdy nie dotknie, nigdy nie weźmie jej w objęcia, nigdy nie poczuje jej ciepła i wilgoci wokół swego członka, kiedy szczytowała w jego ramionach. Sądził, że tego nie



przeżyje. Stracić wszelką nadzieję, zostać z niczym tylko po to, by za chwilę mieć przed oczami taki widok: własny nabrzmiały członek, rozrywany żądzą i Amelia... miłość jego życia... zaspokajająca jego potrzeby z nieoczekiwaną pasją i gorliwością. Wszystko to sprawiło, że ekstaza w jej zmysłowych ustach nabrała niewiarygodnej intensywności.

– Moja kochana... nie wytrzymam... – stęknął tak gardłowo, że sam prawie nie mógł rozróżnić własnych słów. Ona jednak zrozumiała. Domyśliła się, o co mu chodziło. Poczul to w jej dotyku, ujrzał w jej oczach.

– Zrób to – wyszeptwała, wydmuchując ciepłe powietrze prosto w jego skórę. Jej ręka zacisnęła się wokół niego mocniej i zaczęła pompować tak, że jądra uniosły się, a uda zaczęły dygotać od zbliżającego się szczytowania. Złapała go za krocze, przesuważąc palcami po szorstkich włosach i pieszcząc jego mosznę.

Przeklął. Napięcie w jego ciele gotowało się, grożąc wybuchem.

– Wytrysnę w ciebie... niech to diabli...

Jej usta gorliwie przesunęły się po bolesnej główce członka najpierw w płomiennej pieszczocie, a potem – zapalczywym ssaniu. Zabrakło mu powietrza w piersi, pociemniało mu w oczach, a palce bezwiednie, kurczowo zacisnęły się na jej głowie.

Kierował nim teraz czysty instynkt – jego biodra wycofywały się i znowu napierały, przesuważąc członek po jej chropowatym języku aż po tylną ścianę gardła. Zaciśnięta dłoń Amelii uniemożliwiała mu wejście zbyt głęboko, powstrzymywała od nadmiernej łapczywości. Dziewczyna nie przestawała błagalnie, rozpustnie jęczeć. Wibracje powietrza jeszcze bardziej drażniły jego członek i prowadziły go prosto w stronę uwolnienia nagromadzonego napięcia.

Colin warknął i wytrysnął: jego penisem szarpały drgawki, kiedy porcjami wyrzucał z siebie nasienie. Palce coraz mocniej wbijały się w jej poplątane włosy. Gdzieś ponad szalonym biciem własnego serca i ciężkim, chrapliwym oddechem słyszał zmysłowe

pojękiwania Amelii i odgłosy, towarzyszące jej desperackiemu przelykaniu. Nigdy wcześniej nie zaznał równie silnego orgazmu. Pompował ostro prosto w ssącą głębię jej ust aż do chwili krańcowego wyczerpania.

W końcu wypuściła go niechętnie, z ociąganiem. Jej lśniące od nasienia wargi wygięły się w lubieżnym uśmiechu. Zdumiony Colin, w oparach alkoholu i spełnienia, wpatrywał się w nią w oszołomieniu. Serce miał jednak tak żywe jak nigdy dotąd.

Czy naprawdę myślał, że seks pomoże mu złagodzić tę nieznośną miłość i okiełznać rozbudzone do niemożliwości emocje? Teraz kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. Szaleńczo, bez opamiętania, zapalczywie.

Stracić ją? *Nigdy.*

Popchnął ją nieco w tył i opuścił się na podłogę. Rozwarł rękami jej uda i zatopił twarz w śliskim, wilgotnym raju jej lśniącego krocza. Lizał je, rozdzielając obrzmiałe wargi, by dosięgnąć łechtaczki.

– Colin! – krzyknęła głosem przepelnionym zaskoczeniem, zażenowaniem i rozkoszą.

Uśmiechnął się i pocałował ją głęboko, przekręcając głowę, by wepchnąć język w maleńką, zaciśniętą szparkę, stworzoną po to, by mieściła jego członka. Jej smak oszołomił go i uzależnił.

– Nie... *Proszę.*

W jej głosie usłyszał coś – jakąś nutę paniki, która kazała mu przerwać i unieść głowę. Spojrzał na nią, a gdy zobaczył w jej oczach dziki płomień, zapytał:

– Co się dzieje?

– *Proszę. Przestań.*

Zmarszczył czoło. Dotarło do niego, że jej policzki są rozplamięne, a uda drżą pod jego rękami. Była podniecona do granic wytrzymałości, a mimo to kazała mu przestać.

– Czemu?

– Nie mogę myśleć...

Rozsądek. Świadome myślenie. Tego chciała. Usługując mu, rozpoznała swą siłę. A kiedy on jej usługiwał, ta siła przepadała.

– Za dużo myślisz – rzucił chrapliwie. – Poddaj się. Uwolnij kobietę, która wzięła mnie do swego łóżka, nad niczym się nie zastanawiając.

Walczyła jeszcze pod nim.

– Chcesz... za dużo...

– Tak – warknęła. – Całą ciebie. Każdą cząstkę...

I już był z powrotem w niej, zadając jej rozkosz nieustannie poruszającymi się wargami i językiem – smakował ją, pił z niej, głęboko wciągał jej pierwotny zapach. W odpowiedzi znów obudził się w nim głód jej ciała – pożądanie narastało z każdą chwilą. Jego członek znów nabrzmiwał – jakby przed chwilą nie opróżniła go do cna.

Amelia wila się pod Colinem, wbijała paznokcie w jego barki, głosem ogromnego pożądania błagała o litość. Stała na krawędzi urwiska, które ją przerażało, a on wciąż ją ku niemu popychał, nie dawał jej chwili spokoju, nie pozwalał jej się cofnąć.

Jego język zmienił się w narzędzie rozkosznych tortur – raz uderzał i smagał, raz drgał i gładził, prowadząc ją coraz wyżej, popychając bezlitośnie ku nieuniknionemu. Wargami otoczył jej łechtaczkę, wsysał ją i pociągał. I odgłosy, które wydawał. Mokre cmoknięcia, głuchy warkot, jęki pożądania, od których stawała się coraz gorętsza i coraz bardziej wilgotna.

Grube pasma czarnych włosów łaskotały wewnętrzną stronę jej ud, kiedy się poruszał. Dla Amelii nie istniało już nic prócz kurczowego zaciskania się jej łona i drżących nieustannie bioder.

Colin żądał od niej odpowiedzi, wymuszał ją od niej, chciał zmienić ją w istotę bez woli i rozumu, taką, która kieruje się wyłącznie pożądaniem i rozpaczliwym pragnieniem.

– Nie... nie... nie... – dyszała, walcząc z nim, mimo że jej wplątane w jego włosy palce cały czas mocniej go przyciągały.

Żeby już nigdy jej nie opuścił.

Colin złapał ją pod pośladki i uniósł, zmieniając kąt i zmuszając, by szerzej rozstawiła uda. Tak, by mógł wziąć wszystko. Wbijał język coraz mocniej i coraz szybciej w dziko rozwierający się otwór. Szczytowała gwałtownie – jej ręce ciężko opadły na podłogę, a paznokcie wbiły się w dywan.

– Colin!

Była zrujnowana. Pokonana. Ale on jeszcze z nią nie skończył. Zanim zdołała zaczerpnąć powietrza, był już nad nią, w niej, wbijając się głęboko w sedno jej ciała grubym, długim i gorącym członkiem.

– Tak – jęknął, wsuwając ręce pod jej ramiona, by przytrzymać ją w miejscu, kiedy ze zmysłową gracją wsuwał się w nią po sam kraniec. – Ach... jak dobrze mi w tobie.

Ocierał się kroczem o jej krocze, ruszał biodrami, tak by poczuła każdy pulsujący centymetr jego erekcji.

Łapiąc łapczywie powietrze, wijąc się i prężąc, Amelia przyjęła jego dominację z żarłoczną chciwością. Jej napuchnięte tkanki rozstępowały się powoli pod naporem drżącego prącia. Złapał ją jedną ręką za gardło, drugą – za biodro i tak przyszpilił ją do podłogi. Dominował. Brał ją. Znaczył. Należała do niego.

– Jesteś moja – wychrypiał, wślizgując się w nią i wychodząc swobodnymi, zdawałoby się, leniwymi ruchami bioder, choć całe ciało miał napięte do granic wytrzymałości.

Było coś w wyrazie jego zarumienionej, pokrytej potem twarzy, co przykuło jej uwagę. Po części rozkosz, po części – tortura. Był taki skupiony, taki poważny. Taki uważny i pochłonięty. W jego oczach płonął ogień. Jego przystojne rysy były napięte z wysiłku. Rozdzierająco erotyczny, intymny widok.

To Colin się z nią kochał. Żył, był w jej ramionach, w jej ciele. Szeptał jej do ucha słowa miłości i pożądania, spełniał marzenia, które uważała za dawno stracone.

Napięcie znowu wzrastało, każąc jej ciału napinać się wokół wyprężonego penisa i falować wzdłuż niego, zmuszając Colina do

przekleństw i prymitywnych odgłosów. Amelia czuła, jak spodnie Colina ocierają się o jej nogi, słyszała, jak twarde podeszwy jego butów wbijają się w dywan, aż wreszcie uświadomiła sobie, że sama też jest częściowo ubrana – tak jak on.

Wyobraziła sobie, jak muszą wyglądać – ona w rozpiętym szlafroku i zadartej do góry koszuli, on w butach i spodniach spuszczo-nych tylko tyle, by uwolnić swego pięknego penisa, na podłodze, w cielesnym połączeniu. Z tą wizją w głowie Amelia popłynęła prosto w orgazm.

– Proszę – wymruczał, patrząc na nią ze zwierzęcym, władcym uśmiechem, pchając pewnie i mocno i przedłużając chwilę jej rozkoszy, tak że myślała, iż tego dłużej nie wytrzyma. Ogarnęła ją fala nieopisanych doznań, a wraz z nią – nieznośne mrowienie całego ciała, jakby jej skóra zrobiła się za ciasna i o wiele za wrażliwa.

Kiedy Amelia była już bezwładna i jęczała błagalnie, pozbawiona wszelkich sił, Colin zajął się dostarczeniem rozkoszy sobie. Z ciemną, odrzuconą do tyłu głową, mocną szyją i grubym, sztywnym wbitym w nią penisem całkowicie oddał się zatraceniu.

Patrzyła na niego tak, jak on patrzył na nią, kiedy szczytowała. Oplotła nogami jego pracujące biodra, a rękami – jego talię. Całym ciałem przyciskała go do siebie.

Przyspieszył ruchy, wzmocnił uścisk. Czuła, że kulminacja jest blisko – że napięcie rośnie, obejmuje go całego, ścisza mu płuca. Wreszcie wyrwało się z niego szokującymi porcjami płynu, który wlewał się w nią bez końca niczym strumień, który przedarł się przez zerwaną tamę, wśród szarpanych jęków, wstrząsów i nieopanowanych dreszczy.

– Och. – Zaczerpnął w końcu powietrza, wciąż drząc i wcierając kość łonową w jej opuchniętą, przeczuloną lechtaczkę, tak że znowu doszła. Cała wypełniła się zachwytem, który przeniknął jej ciało, serce i duszę. Sprawił, że stali się jednością.

– Moja kochana – wyszeptał, ocierając o nią swoje potężne ciało i zalewając ją falą swojego zapachu. – Nie puszczę cię. Jesteś moja. Powstrzymała jego słowa namiętym pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ 16

---

*Amelię obudziła czyjaś ręka, która zasłoniła jej usta. Przerazona, zaczęła się szamotać i wyrywać napastnikowi, wbijając mu paznokcie w nadgarstek.*

*– Przestań!*

*Słyszac tę komendę, znieruchomiała. Z szeroko otwartymi oczami i walącym jak oszalałe sercem, powoli otrząsając się ze snu, zorientowała się, że w ciemnościach stoi nad nią Colin.*

*– Posłuchaj mnie – syknął, rzucając nerwowe spojrzenie w stronę okna. – Na zewnątrz są jacyś ludzie. Co najmniej dwunastu. Nie wiem, kim są, ale to na pewno nie ludzie twojego ojca.*

*Gwałtownie odwróciła głowę, by uwolnić usta.*

*– Co?*

*– Konie mnie obudziły, kiedy przechodzili koło stajni. – Colin cofnął się i odrzucił koldrę z jej łóżka. – Wykradłem się i przyszedłem po ciebie.*

*Amelia, skrzepowana, że Colin widzi ją w samej koszuli nocnej, z powrotem naciągnęła na siebie pościel.*

*Colin odgarnął ją jeszcze raz.*

*– No, wstawaj! – ponaglił.*

*– O czym ty mówisz? – zapytała gniewnym szeptem.*

*– Ufasz mi? – zapytał, a jego ciemne oczy zamigotały w mroku.*

– Oczywiście.

– W takim razie rób, co każę. Pytania zadasz mi później.

Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale wiedziała, że Colin nie żartuje. Wzięła głęboki oddech, skinęła głową i wyslizgnęła się z łóżka. Pokój oświetlało tylko wpadające przez okno światło księżyca. Długie włosy Amelii, splecione w ciężki warkocz, spadały jej na plecy. Colin złapał go i z czułością potarł między palcami.

– Włóż coś na siebie – powiedział. – Szybko.

Amelia weszła za stojący w rogu parawan i rozebrała się, a potem założyła koszulę i suknię.

– Szybciej!

– Nie mogę zapiąć sukni z tyłu. Potrzebuję pokojówki.

Ręka Colina wdarła się za parawan, złapała ją za łokieć i pociągnęła w stronę drzwi.

– Nie mam butów!

– Nie ma czasu – mruknął. Otworzył drzwi sypialni i wyjrzał do holu.

Było tak ciemno, że Amelia prawie nic nie widziała. Docierały jednak do niej męskie głosy.

– Co się dzieje... – zaczęła.

Colin z prędkością błyskawicy odwrócił się i zasłonił jej usta, jednocześnie gwałtownie potrząsając głową.

Amelia była tak zdumiona, że nie zrozumiała od razu. Dopiero po chwili skinęła głową w obietnicy, że będzie milczeć.

Colin, trzymając ją za rękę, na palcach wycofał się do holu. Mimo że Amelia była boso, pod jej stopami skrzypnęła jakaś deska, na którą jemu udało się nie stąpnąć. Colin zamarł, ona również. Głosy, które przed chwilą słyszeli na dole, teraz umilkły. Wydawało się, że cały dom wstrzymuje oddech. Czeka.

Colin przyłożył palec do ust, po czym wziął ją na ręce i przerzucił sobie przez ramię. Co się potem działo, Amelia pamiętała jak przez mgłę. Zawieszona głową w dół na jego plecach, straciła



orientację. Nie wiedziała, jak udało mu się ją znieść z drugiego piętra na parter. Potem z góry dobiegły krzyki – jej nieobecność została odkryta. Bezpośrednio nad nimi dały się słyszeć szybkie kroki wielu stóp. Colin zaklął i ruszył biegiem, potrząsając nią, aż bolały ją zęby, a jej warkocz smagał go po nogach z taką siłą, że musiało go to boleć. Oplotła ramionami jego wąskie biodra. Przyspieszył kroku. Głównymi drzwiami wydostali się na dwór i zbiegli po schodach.

Słyszała kolejne krzyki. Odgłosy bieganiny. Szczekanie broni i przyszywające noc krzyki panny Pool.

– Tam jest! – krzyknął ktoś.

Ziemia zaczęła przesuwac się pod nią w coraz szybszym tempie.

– Tutaj!

Głos Benny'ego zabrzmiał w jej uszach jak muzyka. Colin zmienił kierunek ucieczki. Amelia uniosła głowę i dostrzegła napastników. Ich grupa powiększała się – Amelia niektórych rozpoznawała, innych – nie. Dzięki temu, że do grupy agresorów dołączyli nowi ludzie, oni zyskali nieco czasu i po chwili już nikt nie deptał im po piętach.

Moment później stała już na nogach. Oszalala ze strachu, dzikim wzrokiem rozglądała się wokół siebie, próbując zorientować się, gdzie jest. Zobaczyła Benny'ego na koniu i Colina, który właśnie dosiadał drugiego wierzchowca.

– Amelio! – krzyknął i wyciągnął do niej rękę, drugą pewnie trzymając wodze. Podała mu dłoń, a on podciągnął ją w górę i przerzucił przez siodło, tak że leżała na nim na brzuchu, twarzą w dół. Czula, jak napina potężne uda, spinając konia i zmuszając go do galopu. Po chwili pędzili już przez mrok.

Wisiała tak, jak przerzucił ją przez siodło, dostając mdłości od gwałtownych wstrząsów. Nie trwało to jednak długo. Kiedy tylko wypadli na drogę, rozległ się strzał, a potem rozszedł echem

w ciemności. Colin drgnął i krzyknął. Amelia wrzasnęła. Cały świat runął.

Zsunęła się z konia, spadła...

Amelię obudziła czyjaś ręka, która zasłoniła jej usta. Usłyszała głos, szepczący jej prosto do ucha:

– Ciii... Ktoś jest w domu.

Głos Colina pomógł jej nabrać orientacji w półmroku. Przez kilka pierwszych sekund rzeczywistość mieszała się ze snem, jeszcze przed chwilą żywym, wypełnionym trwogą i przerażeniem. Potem poczuła ciało Colina, przyciśnięte do jej pleców oraz uścisk jego silnych ramion. Dodało jej to otuchy.

Świadomość wracała do niej powoli. Zauważyła wykwintne stuki na suficie i poczuła, że jej noga leży na czymś aksamitnym.

Znajdowali się na kanapie w bibliotece. Sądząc po stanie ognia na kominku, z którego zostało już tylko kilka żarzących się węgielków, musiała spać przynajmniej parę godzin.

Odwróciwszy się w ramionach Colina na drugi bok, spojrzała mu w oczy, przycisnęła usta mocno do jego ucha i wyszeptwała:

– Kto to?

Colin pokręcił głową. Jego oczy błysnęły do niej w mroku.

Amelia leżała bez ruchu. Z każdą sekundą udzielało jej się napięcie Colina. A potem usłyszała odgłos czyichś mocnych butów po parkiecie.

Kroki. O tej porze...

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi – jego powolne bicie zmieniło się nagle w oszalały galop. W przeciwieństwie do tego, co miało miejsce we śnie, teraz życie Colina było w niebezpieczeństwie.

Złożył na jej ustach szybki, mocny pocałunek, po czym bezszelstnie ześlizgnął się z kanapy. Na klęczkach zapiął spodnie, wciągnął przez głowę koszulę i sięgnął po niewielką szpadę.

Ona również osunęła się na podłogę i zawiązała pasek szlafroka.

– Zabezpiecz drzwi jak wyjdę – szepnęła i bardzo powoli, by nie wydać najmniejszego hałasu, wyciągnęła ostrze z pochwy.

Potrząsając przecząco głową, Amelia podkraśniała się do miejsca, w którym nikły blask szlachetnego kamienia znaczył mały sztylet, leżący na jego kamizelce i marynarce. Wystarczyło, że owinęła palce wokół rękojeści, a już był za nią.

– Nie.

– Zaufaj mi. – Odwróciła głowę, by przycisnąć policzek do jego policzka.

Jego szczęką zacisnęła się.

– Twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze.

– Uważasz, że w moim przypadku jest inaczej? – Drżącą ręką dotknęła jego twarzy i powiodła palcem do miejsca, w którym w chwilach radości pojawiał mu się mały dołeczek. – Nie martw się. Nie zapominaj, że moja siostra to wdowa po Winterze.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Głośno przełknęła ślinę, zastanawiając się nad jej słowami.

– Pozwól mi pomóc – wyszeptwała. – Nigdy nie pójdziemy do przodu, jeśli zawsze będziesz mnie zostawiał.

Wiedziała, co czuje na myśl, że może spotkać ją coś złego, bo sama czuła się identycznie.

W końcu Colin zmusił się, by niepewnie skinąć głową. Amelia przelotnie pocałowała jego rozchyłone wargi, po czym wyciągnęła sztylet z pochwy.

*Kocham cię.* Słowa te zostały wypowiedziane bezgłośnie ustami przylegającymi do ust kochanego.

Amelia uniosła jego rękę i ucałowała.

Colin wyrwał się z uścisku i podszedł do drzwi. Wcześniej, kiedy Amelia zasnęła, zamknął je. Teraz przekręcił gałkę i uchylił je tylko na tyle, by cokolwiek zobaczyć. Dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły.

Amelia nie zdążyła mrugnąć powieką, a już go nie było. Policzyła do dziesięciu i wymknęła się za nim.

Ośmielona trzymanym w dłoni sztyletem, wyęzając wzrok i słuch, Amelia na palcach ruszyła w stronę schodów. Nagły podmuch wiatru o szybę i wołanie polującej sowy pomogły jej umiejscowić tę chwilę w konkretnym miejscu i czasie. Oddychała płytko. Jej emocje nastawione były tylko na jedno – samej przetrwać i ochronić Colina. Nastąpiła chwila przejmującej ciszy, jakby cały dom wstrzymał oddech, a potem dotarł do niej leciutki, ledwie słyszalny odgłos – pojedynczy, ukradkowy krok gdzieś z przodu.

Zatrzymała się. Osunęła się na kolana i skuliła w ciemności.

Padł strzał. Tylko jeden.

Kątem oka wyłapała cień ruchu ze swojej prawej strony. Chwyliła sztylet za ostrze, skierowała rękojęść w stronę celu i przyjęła pozycję do rzutu. Ramię miała pewne, a nerwy, choć napięte, to jednak pod kontrolą. Dotąd nikogo nie zabiła, ale w obliczu potrzeby postanowiła działać najpierw, a o konsekwencjach myśleć w drugiej kolejności.

Cofnęła ramię i skupiła całą uwagę na wąskiej smudze księżycowego światła, padającej na najniższy stopień.

Choć nie było słyhać żadnego ruchu, Amelia wyczuła, że intruz zbliża się do małego, jasnego pasma.

Że jest coraz bliżej... bliżej...

Nagle Colin skoczył. Rozpoznała go po białej koszuli, której biel przecięła księżycową smugę. Wpadł na kogoś, kto tak doskonale wtapiał się w mrok, że z miejsca, w którym przycupnęła Amelia, nie dało się nawet rozróżnić zarysu jego sylwetki. Głośny brzęk oznajmił, że dwie szczipione postacie wpadły na jakiś przedmiot i rozbiły go.

Zerwała się na równe nogi. Przeskoczyła na drugą stronę korytarza, pod przeciwległą ścianę, skąd miała większe szanse na udany rzut.

Było zbyt ciemno, by rozróżnić przeciwników. Obaj kotłowali się w ruchomym kłębowisku nóg i rąk. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko się modlić.

Na szczęście na górze otworzyły się drzwi i Amelia jęknęła z ulgą. W zbliżającym się świetle latarni, niesionej przez nadchodzącego, ujrzała podniesione ostrze – krótsze niż to, które widziała u Colina. Amelia zamachnęła się i rzuciła, doskonale wyćwiczonym chwytem rozkładając ciężar sztyletu.

Broń przecięła powietrze niczym błyskawica, obracając się tak, że rękojeść i ostrze zamieniły się miejscami. Rozległo się bolesne stęknięcie. Nóż, wymierzony w Colina, brzęknął hałaśliwie, lecz nieszkodliwie, o parkiet.

St. John zbiegał po schodach z pistoletem w jednym ręku, a latarnią – w drugim. Za nim podążała Maria z floretem przygotowanym do walki.

Po holu rozlało się światło, wyławiając z mroku cel rzutu Amelii. Napastnik, kurczowo trzymając się za pierś, osunął się na kolana, a spomiędzy jego zaciśniętych dłoni wystawała rękojeść sztyletu. Przez chwilę chwiał się niepewnie, po czym runął głową naprzód.

– Niech to diabli – wydusił z siebie Colin i podszedł do Amelii. – Piękna robota.

– To było niezwykle, Amelio – odezwał się z dumą St. John, nie spuszczać wzroku z leżącego u jego stóp ciała.

– Co tu się do diabła dzieje? – dopytywał się Ware, który właśnie schodził po schodach. Pan Quinn i *mademoiselle* Rousseau przyłączyli się do zgromadzonych chwilę później.

– Depardue – rozpoznała napastnika Francuzka, po czym przykucnęła, położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie przewróciła na plecy.

– *Comment te sens-tu?*

Francuz jęknął i otworzył oczy.

– Lysette...

Sięgnęła po sztylet, wyciągnęła go z rany, po czym zadała mu kolejny cios – tym razem prosto w serce.

Zgrzyt ostrza o żebro i krótki, urywany okrzyk Depardue sprawiły, że Amelia zadygotała.

– Dobry Boże! – krzyknęła. Zrobiło jej się niedobrze.

Francuzka uniosła rękę i opuściła ją ponownie. Pan Quinn rzucił się naprzód i odciągnął ją do tyłu. Sztylet wypadł z jej ręki na podłogę.

– Dosyć! Już go zabiłaś.

*Mademoiselle* Rousseau próbowała się wyrwać, rzucając przy tym francuskie przekleństwa głosem tak jadowitym, że Amelia mimo woli odsunęła się do tyłu. Kiedy skończyła kląć, splunęła na ciało.

Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w pełnym zdumienia milczeniu, wpatrując się w ciało zabitego. W końcu St. John odchrząknął.

– Cóż... ten nie stanowi już zagrożenia. Ale, jak sądzę, musi być ich więcej. Wątpię, by przyszedł tu w pojedynkę.

– Przeszukam parter – odezwał się Colin i spojrział na Amelię. – Idź do swojego pokoju i zamknij się na klucz.

Skinęła głową. Na widok zabitego mężczyzny i szybko powiększającej się kałuży krwi żołądek podchodził jej do gardła. Teraz, kiedy zagrożenie minęło, powoli zaczęło do niej docierać, co zrobiła.

– Coś znalazłem.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę wejścia, w którym pojawił się nagle Tim. Prowadził za kark Jacques'a.

– Skradał się na zewnątrz – zagrzmiał olbrzym.

Nie sposób było zignorować fakt, że Francuz był w pełni ubrany.

– Nie skradałem się! – zaprotestował Jacques.

– Sądzę, że to on wpuścił tamtego. – Tim ruchem brody wskazał na Depardue.

– Czyżbyśmy mieli między nami zdrajcę? – zapytał złowieszczo St. John.

Amelię przeszedł lodowaty dreszcz.

– *Ca alors!* – *Mademoiselle* Rousseau wyrzuciła w górę rękę, z których jedna spływała krwią. – Czy naprawdę musimy tracić na niego czas, skoro na zewnątrz mogą czaić się inni?

Tim zerknął na St. Johna.

– Złapaliśmy jeszcze trzech, nie licząc tych dwóch.

Rysy Colina wyostrzyły się.

– W takim razie przesłuchajmy ich. Któryś na pewno powie nam coś interesującego.

*Mademoiselle* Rousseau prychnęła.

– *Absurde.*

– Co w takim razie proponujesz? – zapytał Simon z przesadną uprzejmością. – Abyśmy zadawali mu powolne tortury? Przez wiele dni? To lepiej zaspokoi twoją żądzę krwi?

Lysette machnęła lekceważąco ręką.

– Po co się męczyć? Zabijcie go.

– *Salope!* – zawołał Jacques. – Chcesz pożreć własne młode?

St. John uniósł brwi.

– Ona ze mną współpracuje! – wyjaśnił głośno Francuz, wyrwijąc się z uchwytu Tima. – Ja przynajmniej mogę potwierdzić niewinność pana Mitchella w sprawie zabójstwa Leroux. A ona nie wie nic cennego.

– Słucham? – wtrącił się Colin i zeszywniał. – Powiedziałeś właśnie, że razem pracujecie?

Amelia zaplotła ręce na piersi i zadrzała.

– *Ta gueule!* – syknęła *mademoiselle* Rousseau.

Twarz Jacques'a wykrzywiła się w złośliwym, triumfalnym uśmiechu.

– Chyba powinniśmy ich rozdzielić – zaproponował Colin.

St. John skinął głową.

– Ja biorę Lysette – powiedział ostrym tonem Simon.

Francuzka zadrzała – najwyraźniej z obawy. Amelia odwróciła wzrok i próbowała zwalczyć sympatię, którą do niej czuła.

– Chodźmy stąd, maleńka – mruknęła Maria do siostry, podając jej rękę. – Przygotujemy herbatę i coś mocniejszego dla panów. Czeka nas długa noc.

Colin nie odrywał wzroku od mężczyzny, którego dotąd uważał za przyjaciela. Próbował pojąć pełnię spisku, który właśnie się przed nim odkrywał.

– Od początku znałeś *mademoiselle* Rousseau? Zanim spotkaliście się kilka dni temu w gospodzie?

Jacques skinął głową. Siedział przywiązany do złoczonego, pokrytego adamaszkiem krzesła w gabinecie Ware’a – łydki do nóg mebla, a ręce za jego oparciem.

– Nie poznaliśmy się w gospodzie. Znam ją od dawna.

– Ale oboje udawaliście, że widzicie się pierwszy raz w życiu – sprzeciwił się Simon. Ponieważ *mademoiselle* Rousseau, kiedy zaprowadził ją do pokoju gościnnego, uparcie milczała i odmawiała odpowiedzi na pytania, pozostawił ją tam skrępowaną pod okiem strażników, a sam zszedł na dół, by wziąć udział w przesłuchaniu drugiego spiskowca.

– Ponieważ musieliśmy wprowadzić was w błąd, że to wszystko dotyczy tylko Cartlanda i zabójstwa Leroux – wyjaśnił Jacques.

– A czyż nie tego właśnie dotyczy? – zapytał St. John, marszcząc brwi.

– Nie. *Ilumines* postanowili zakończyć waszą działalność we Francji. Przysparzaliście im coraz więcej kłopotów. Moją misją było rozpoznać, kto jest waszym zwierzchnikiem.

Colin zamarł.

– *Ilumines*? – powtórzył. Słyszał ciche plotki o tajnym stowarzyszeniu „oświeconych”, którzy ukrytymi kanałami próbowali dojść do władzy, ale plotki te nigdy nie były potwierdzone. – A co oni mają wspólnego z Leroux?

– Ta sprawa w ogóle nie ma nic wspólnego z Leroux – warknął Francuz. – W rzeczywistości fakt, że Cartland zabił Leroux, tylko pokrzyżował nam plany.



– W jaki sposób? – odezwał się Simon z kanapy. W eleganckim szlafroku i z cygarem w ręku sprawiał wrażenie spokojnego i zrelaksowanego dżentelmena, spędzającego przyjemne chwile wypoczynku. Tymczasem sprawy miały się zupełnie inaczej.

– *Ilumines* dowiedzieli się, że Mitchell wraca do Anglii – mówił Jacques. – Zarezerwowałem kajutę na tym samym statku, z nadzieją, że zaznajomię się z nim podczas podróży. Istniała nadzieja, że nasze stowarzyszenie odkryje wreszcie, dla kogo pracował tu, w Anglii. Tej nocy, kiedy mieliśmy odpłynąć, śledziłem Mitchella. Wykorzystałem sytuację, która się nadarzyła, by zawrzeć z nim przyjaźń.

– Fascynujące – skwitował St. John.

– A Lysette? – zapytał Simon.

– Moim celem był Mitchell – odparł Francuz. – A ty należałeś do niej. *Ilumines* nie lubią pozostawiać nic przypadkowi.

– Do diabła – warknął Colin. – A dzisiejsza noc? Jaką rolę miał do odegrania Depardue?

– Jego zadaniem było dowiedzieć się prawdy o śmierci Leroux, która to sprawa ma osobiste znaczenie dla ambasadora.

– A więc we Francji wciąż jestem poszukiwany – rzekł Colin – bo ktoś musi zapłacić za śmierć Leroux. Moje położenie się nie zmieniło. Okazało się tylko, że ty i *mademoiselle* Rousseau gracie w nim inną rolę.

Jacques uśmiechnął się ponuro.

– Tak.

– A teraz Depardue nie żyje.

– Tego nie należy żałować, *mon ami*. *Mademoiselle* Rousseau może potwierdzić, że nie był człowiekiem honoru. Nigdy nie pozwoliłbym, byś to ty poniósł karę za jego występki. Już na samym początku cię o tym zapewniłem.

– Ale wpuściłeś go do mojego domu – wytknął mu Ware. – Dlaczego?

– Cartland go wysłał, by odnalazł pannę Benbridge – wyjaśnił Jacques. – Zgodziłem się mu towarzyszyć, ale nie miałem zamiaru dopuścić, by mu się powiodło. Miałem nadzieję, że uda mi się odegrać rolę osoby, która go „odkryje” i zabije, co tylko wzmocni zaufanie, jakim mnie darzycie.

– Nie rozumiem – powiedział St. John i postąpił krok do przodu.  
– Dlaczego w takim razie Cartland ci ufa?

– Z powodu Depardue. Kiedy byliśmy z Mitchellem w Londynie, szukałem Cartlanda. Odnalazłem Depardue i powiedziałem mu, że pracuję z Lysette nad ujęciem zabójcy Leroux. Udział Lysette wzbudził nieufność Depardue. I tu nadarzyła się szansa, by znaleźć się przy Cartlandzie, który potrzebował dodatkowego wsparcia ze strony francuskiej, bo Depardue mu nie wierzył.

– A gdzie teraz jest Cartland? – zapytał Colin.

– W gospodzie. Czeka na wieści.

Colin spojrział na Quinna, który wstał.

– Pójdę się szybko przebrać – oznajmił.

St. John podniósł się również.

– Pójdę z wami.

– Ja zostanę tutaj, z kobietami – zaproponował Ware, po czym dodał z uśmiechem: – Ale one raczej nie będą potrzebowały mojej pomocy.

Colin wyszedł z pokoju i równym, prężnym krokiem udał się do biblioteki. Quinn ruszył za nim.

– Wygląda na to, że zbliża się twoja rehabilitacja – powiedział.

– Tak, nareszcie – zgodził się Colin. W jego żyłach pulsowała niecierpliwość, a serce łomotało mu w piersi. Wprawdzie bariera, dzieląca go od Amelii, wciąż istniała, ale zapach ich miłości przenikał jego skórę i dodawał nadziei. Kochała go. A reszta przyjdzie sama, trzeba tylko poczekać.

Rozeszli się przy schodach. Colin skierował się do biblioteki po ubranie. Jego pięść zacisnęła się na pochwie, w której zwykle spoczywał jego sztylet, a myśli wróciły do chwili, gdy Amelia

przyszła mu z pomocą i uratowała życie. Tego samego dnia, kilka godzin wcześniej, myślał, że bardziej kochać się nie da. Teraz odkrył, że zakochuje się w niej na nowo. Tym razem w kobiecie, którą się stała.

Po raz pierwszy w życiu Colin był absolutnie pewien, że na całym świecie nie ma mężczyzny, który byłby dla Amelii bardziej odpowiedni niż on sam. A nawet gdyby się taki znalazł, to do diabła z nim. I tak należała do niego. Jeżeli mu się poszczęści, uda mu się ją do tego przekonać, pomyślał.

Podjąwszy takie postanowienie, prędko założył ubranie i wyszedł z pokoju. U wylotu schodów natknął się na Ware'a, który wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno leżało ciało Depardue. Teraz było już uprzątnięte, ale Colin podejrzewał, że wspomnienia tej nocy będą nawiedzać hrabiego jeszcze przez wiele lat.

Słyszac kroki, Ware odwrócił głowę. Na widok Colina jego oczy zwięzły się.

– Jeśli schwytasz Cartlanda – odezwał się – to nie będzie cię tu już nic trzymać. – Jego szczeka zacisnęła się. – Z wyjątkiem jednego.

– Spotkamy się o świcie? – zaproponował Colin. Od przyszłości u boku Amelii dzielił go jeszcze tylko pojedynek. Chciał mieć go jak najszybciej z głowy. – Obaj nie spaliśmy w nocy, więc żaden nie będzie miał przewagi.

– Może się zdarzyć, że twoja walka się przedłuży lub wrócisz ranny – rzekł hrabia ponuro. – Ale jeśli wszystko przebiegnie normalnie – zgoda, o świcie.

Colin uklonił się i pospieszył w stronę stajni. Myśl o tym, że wstające słońce oświetli całkiem nowy rozdział jego życia, dodawała mu skrzydeł. Na podwórzu czekał już St. John z tuzinem ludzi. Po krótkiej chwili pojawił się jeszcze Quinn.

Nie minęło pół godziny, a cała grupa była już w drodze do miasta.

## ROZDZIAŁ 17

---

Cartland, usłyszawszy odgłos kroków zbliżających się do jego pokoju, sięgnął po leżącą na stole broń. Wysłanie Depardue z czwórką ludzi było ryzykiem, którego wolałby uniknąć, ale czasem opłacało się ryzykować.

Wziął pistolet do ręki, poczekał na stuknięcie w drzwi, a potem zawołał:

– Wejść!

Drzwi otworzyły się i stanął w nich jeden z jego ludzi.

– Nie jestem pewien – powiedział zdyszany – być może przemawia przeze mnie nadmierna ostrożność, ale do gospody weszło właśnie trzech ciężko uzbrojonych mężczyzn.

Cartland zatknął broń za pasek i sięgnął po płaszcz.

– Lepiej być ostrożnym niż lekkomyślnym. – Złapał małą szpadę i szybko ruszył w stronę drzwi. – Reszta jest na dole?

– Tak, a dwóch w stajni.

– Doskonale. Chodź ze mną.

Długimi, prędkimi krokami zbiegł po schodach dla służby. Na wprost miał tylne wyjście z budynku, ale zamiast pójść tam, skrzył w lewo, do kuchni, i skierował się do drzwi, przeznaczonych dla dostawców towarów. Wolał zachować wszelką ostrożność.

Drzwi stały otworem i do rozgrzanej kuchni wpadało chłodne, nocne powietrze. Poza niewielką kałużą światła, wylewającą się

z kuchni, na dworze rozciągała się nieprzenikniona ciemność. Nie zważając na to, że nic nie widzi, Cartland prawie biegiem rzucił się w stronę alejki. Jeśli zastawiono na niego pułapkę, chciał zwiększyć swoją szansę ucieczki.

Otoczony ze wszech stron mrokiem nocy, od razu poczuł się bezpieczniej.

Do chwili, kiedy usłyszał bolesny jęk biegnącego za nim lokaja. Zdumiony, potknął się o kamień na ścieżce. Odwrócił się na pięcie, jednocześnie wrywając broń zza pasa. Dzikiem wzrokiem wpatrywał się w czerń nocy.

– Dobrze cię znowu widzieć! – zawołał do niego Mitchell.

Smuga księżycowego światła padła na wąską alejkę, a na niej leżące twarzą w dół ciało z nożem wbitym w plecy. Lokaj jęczał i wił się. Był już Cartlandowi całkowicie nieprzydatny.

– Ty! – wybełkotał, nie widząc napastnika.

– Ja – odpowiedział Mitchell.

Ze względu na to, że jego głos odbijał się echem od pobliskich budynków, trudno było ustalić, z której strony się znajduje.

Cartland stał tymczasem na otwartej przestrzeni. Wymachując bronią, zakrzyknął:

– Francuzi nie uwierzą w mój błąd. Mają do mnie zaufanie.

– Pozwól, że sam będę się o to martwił.

Na lewo od Cartlanda coś upadło, więc wypalił, mierząc na oślep w tamtym kierunku. Kiedy do jego stóp dotoczył się okrągły kamień, wiedział już, że wpadł w zasadzkę. Gdyby nie panika, postąpiłby inaczej, mądrzej. Serce podeszło mu do gardła i zamarł z przerażenia.

Ciemności wypełnił śmiech Mitchella, po czym pojawił się on sam, niczym zjawą, wśród wirujących na wietrze fałdów peleryny. W obu rękach trzymał broń, z tego w jednej – pistolet. Nie pozostawiało to Cartlandowi innego wyjścia, jak tylko poddać się lub zginąć. Bezużyteczny, dymiący pistolet wypadł mu z bezwładnych palców i stuknął o żwir.

– Pomogę ci – zaproponował natychmiast. – Stanę w twojej obronie i oczyszczę twoje imię z zarzutów.

W mroku błysnęły białe zęby Mitchella.

– Tak, zrobisz to. Wracając do Francji i płacąc za swoje zbrodnie.

Amelia przebudziła się tuż przed świtem. Serce jej galopowało, jakby właśnie ukończyła bieg na długi dystans. Nie rozumiała jednak dlaczego.

Przez dłuższą chwilę leżała w pościeli, patrzyła na baldachim nad swoją głową, mrużąc oczy. Wodziła zamglonym wzrokiem po złotych frędzlach, zdobiących jego brzegi i, koncentrując się na każdym wdechu i wydechu, próbowała uspokoić oddech.

A potem za oknem usłyszała dźwięk, którego nie pomyliłaby z żadnym innym. Słyszając go, zeszywniała. Szczęk broni.

W pierwszej chwili przestraszyła się, że mężczyznom nie powiodła się wczesnoporanna wyprawa, której celem było ujęcie Cartlanda. Nie było jednak słyhać ani krzyków, ani odgłosów szamotaniny.

*Pojedynek!*

Zawołała pokojówkę i jednym susem wyskoczyła z łóżka.

– Anne!

Podbiegła do okna i, przeklinając pod nosem, rozsunęła szeroko zasłony. Jej oczom ukazało się blade, szaroróżowe niebo.

Amelia szybko podeszła do szafy i wyciągnęła z niej szal.

– Anne! – zawołała jeszcze raz na pokojówkę.

Drzwi otworzyły się. Amelia, rozgniewana, raptownie odwróciła się w ich stronę. To była Maria.

– Dlaczego mnie wcześniej nie obudziłaś?

– Amelio.

Słyszając współczucie w głosie siostry, Amelia w jednej chwili pokryła się gęsią skórką.

– Nie! – wyszeptwała, minęła siostrę i rzuciła się ku schodom.

– Kochanie! Zaczekaj!

Ale Amelia nie czekała. Biegła, ile sił w nogach, wpadając po drodze na pracowitą pokojówkę, wypadając zza rogu i pędząc w dół po schodach. Kiedy dopadła parteru i usłyszała szcęk krzyżowanych floretów, oblała się lodowatym potem. Była już prawie przy olbrzymich drzwiach, prowadzących na patio za domem, a stamtąd – na trawnik, kiedy niczym kleszcze schwyciły ją czyjeś potężne, żelazne ramiona. Próbowwała krzyczeć i wyrwać się, ale ogromna dłoń zasłoniła jej usta.

– Przykro mi – wymamrotał Tim. – Ale nie mogę pozwolić, by panienka rozproszyła ich uwagę podczas walki. W ten sposób giną ludzie.

Na myśl o tym, że któryś z walczących mógłby doznać uszczerbku, Amelię przeszył gwałtowny dreszcz. Szamotała się z Timem jak szalona, próbując wywinąć się z jego objęć, ale jemu nie dawali rady nawet dorośli mężczyźni, a co dopiero drobna kobieta. Z dworu nie przestawały dobiegać odgłosy walki. Do oczu Amelii napłynęły łzy. Każde uderzenie stali o stal było jak cios wymierzony w nią samą. Przy każdym wzdraganiu się w ramionach strażnika, a on kłął pod nosem i przytulał policzek do jej policzka, mruczając przy tym kojące słowa. Nic jednak nie mogło ulżyć jej w cierpieniu.

A potem... cisza.

Amelia zastygła w bezruchu. Bała się odetchnąć, w obawie, że zagłuszy dalszy rozwój wypadków.

Tim zaniósł ją do pobliskiego okna i lekko pchnął jego skrzydło. Przez wąską szparę do pokoju wtargnęło chłodne, wilgotne powietrze. Amelia zadrżała.

– Jesteś lepszym człowiekiem.

Dobiegł do niej głos Colina, a jej wargi, przyciśnięte do wnętrza dłoni Tima, zadygotały.

– Stanowisz dla niej rozsądny wybór – ciągnął Colin ponurym tonem. – Zawsze byłeś wobec niej stały i szczery.

W przeciwieństwie do tego, co ja posiadam, twój tytuł i majątek jest w rodzinie od wieków. Możesz dać jej to, czego ja nigdy nie będę w stanie.

Amelia, łkając bezgłośnie, osunęła się bezwładnie w ramionach Tima.

– A co najważniejsze, jest niechętna uczuciu do mnie, natomiast o przyszłości u twego boku myśli z wdzięcznością.

Odwróciła głowę, przyciskając zalany łzami policzek do walącego miarowo serca Tima.

Colin ją opuszczał. Tak jak to robił wcześniej. Wielokrotnie.

Dłoń Tima oderwała się od jej ust.

– Puść mnie – wyszeptwała, zdruzgotana. – Nie wyjdę na dwór.

Postawił ją na ziemi, a ona odwróciła się tyłem do okna.

– Maleńka – powitała ją Maria, która z szeroko rozłożonymi ramionami stała obok schodów. Amelia przyjęła ten gest z wdzięcznością. Przyłgnęła do siostry, a wtedy kolana się pod nią ugięły. Obie osunęły się na podłogę i przysiadły na najniższym stopniu.

– Miałam nadzieję – wyszeptwała Amelia, przygnieciona takim ciężarem, jakiego nie czuła na duszy od dnia rzekomej śmierci Colina. – Nienawidzę się za to, że ją miałam. Dlaczego nie potrafię wyciągać wniosków z przeszłości? Ludzie, których kocham, znikają z mojego życia. Wszyscy odchodzą. Każdy. Oprócz ciebie... tylko ty przy mnie jesteś...

– Cicho. Jesteś tym wszystkim przytłoczona i przemęczona.

Nagle otoczyły ją i uniosły w górę czyjeś silne ramiona. To Tim znowu wziął ją na ręce. Skuliła się i przytuliła głowę do jego piersi. Wszyscy troje ruszyli na górę, do sypialni Amelii.

Colin wyprostował się z niskiego ukłonu i spojrzał w oczy Ware'a, kiedy ten złożył przed nim identyczny ukłon. Czuł gorącą stróżkę krwi, płynącą z zadanej przez przeciwnika płytkiej rany, ale nie zważał na nią. Ware otrzymał satysfakcję, ale nie dostanie nic więcej. Będzie musiał się nią zadowolić, bo łupy zagarnie on, Colin.



– Bez względu na wszystkie pańskie zalety, hrabio – odezwał się – oddaję panu tylko ten pojedynek. Panny Benbridge – w żadnym razie. Ona żywi głębsze uczucie do mnie, i to od dawna. Również moje uczucia względem niej są dla wszystkich jasne.

– I dlatego opuściłeś ją na tyle lat? – warknął hrabia.

– Przeszłości nie da się zmienić. Zapewniam jednak, że od tej chwili nic nie zdoła nas rozdzielić.

Błękitne oczy Ware'a zwięzły się. Zdawało się, że powietrze stało się gęste od napięcia. Po chwili kącik ust hrabiego drgnął i uniósł się w górę.

– Może nie jesteś człowiekiem, za którego cię miałem.

– Być może – nie.

Jeszcze raz skłonili się przed sobą, po czym opuścili miejsce pojedynku, rozchodząc się w dwóch przeciwnych kierunkach, w których odtąd miało ich prowadzić życie.

Następne pół godziny – a może była to godzina? – życia Amelii upłynęła w kompletnym oszołomieniu. Maria wmusiła w nią herbacatę, a wraz z nią – sporą dawkę laudanum.

– Zaraz się uspokoisz – mówiła.

– Idźcie sobie – oganiała się Amelia od wielu rąk, które próbowały głaskać ją i pocieszać.

– Zostanę i poczytam cicho – zaproponowała Maria – a pokojówkę odeślę.

– Nie. Ty też idź.

W końcu wszyscy poddali się i wyszli. Amelia zwinęła się w kłębek i zapadła w ciężki, wywołany działaniem lekarstwa sen.

Odoczynek nie trwał jednak długo. Wkrótce po tym, jak zasnęła, czyjaś ręka znowu odgarnęła loki z jej czoła.

– Nikogo prócz siebie nie mogę winić za twój brak wiary.

Głos Colina prześlizgnął się po jej skórze niczym prawdziwa pieśzczoła. Amelia przetoczyła się w jego stronę, wyciągając ręce. Colin złapał je i ścisnął w swoich.

– Miałś przespać cały poranek – mruknął, ściągając z niej kołdrę. – Chciałem ci oszczędzić zmartwień.

Podniósł ją i przytulił do swej ciepłej, silnej piersi. Zapach jego skóry – niesłychanie męski i niepowtarzalny – kazał jej zatopić zapłakaną twarz w jego fularze.

Miała niejasną świadomość, że jest niesiona. Wydawało się, że osoba, która ją dźwiga, schodzi po schodach. Potem poczuła świeże powietrze i przeszedł ją dreszcz.

– W powozie mam pled – mruknął. – Jeszcze sekunda i znów będzie ci ciepło i wygodnie.

Chwilę potem została zapakowana do powozu. Koń ruszył z kopyta, zachrzącał żwir pod kołami. Przytulona do Colina, wreszcie poczuła się bezpiecznie. Spod jej zamkniętych powiek płynęły łzy, a ona w duszy modliła się, by ten piękny sen nigdy się nie skończył.

Jego twarde wargi przyłgnęły do jej czoła.

– Śpij – wyszeptał.

Otumaniona laudanum, zasnęła.

Obudziło ją nagle zatrzymanie się powozu. Zaczęła mrugać, by otrząsnąć się z resztek snu.

– Konie są zmęczone, a ja umieram z głodu. – Głęboki głos Colina natychmiast przywrócił jej pełną świadomość.

Pojedynek...

Zerwała się gwałtownie, uderzając czubkiem głowy w jego brodę. Oboje krzyknęli z bólu.

– Au, do diabła – mruknął i poprawił ją sobie na kolanach, jakby była lekka jak piórko.

Amelia okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w luksusowe wnętrze jego powozu podróżnego, a potem wychyliła się przez okno. Znajdowali się na jakimś podwórzu, najprawdopodobniej – gospody.

Zerknęła na niego i zobaczyła, że masuje sobie brodę.

– Gdzie jesteśmy?

– W drodze.

– Dokąd?

– Na ślub.

Amelia zamrugła.

– Co?

Uśmiechnął się, odsłaniając swoje urocze dołeczki. Natychmiast stanął jej przed oczami chłopak, w którym kiedyś tak mocno się zakochała.

– Powiedziałaś, że nigdy nie pójdziemy razem do przodu, jeśli zawsze będę cię zostawiał. Ponieważ nie mam powodu korzystać z dalszej uprzejmości lorda Ware’a, uznałem, że najwyższy czas wyjechać.

Patrzyła na niego, dalej nic nie rozumiejąc. Starła się pojąć sens jego słów.

– Czegoś nie rozumiem. Czy nie brałeś dziś rano udziału w pojedynku?

– Owszem.

– Czy on nie zwyciężył? Czy nie mówiłeś, że jest lepszym człowiekiem? Boże, ja za chwilę zwariuję!

– Tak, tak i nie – odparł Colin i ciaśniej oplótł ją ramieniem w talii. – Dostał satysfakcję w postaci pierwszej krwi – wyjaśnił. – Miał do niej prawo. Kiedy cię wziąłem, należałaś jeszcze do niego.

Amelia otworzyła usta, by zaprotestować, ale nakrył je dłonią.

– Pozwól mi skończyć – powiedział.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Zastanawiała ją nagła powaga na jego twarzy. Potem skinęła głową, wyślizgnęła się z jego ramion i przesiadła się na przeciwległą kanapę, by odzyskać zdolność logicznego myślenia.

Dopiero wtedy zauważyła, że ma na sobie nocną koszulę. Za to Colin w aksamitnym, zielonym stroju wyglądał bardzo dostojnie. Wciąż było jej trudno przyjąć, że siedzący przed nią mężczyzna to jej dawny Colin. Nie miała jednak żadnego problemu

z określeniem, co do niego czuje. Patrząc na niego, czuła, jak zalewa ją fala rozkoszy. Jak zawsze.

– Nie ma sensu zaprzeczać, że Ware może dać ci wszystko, czego ja ci nie dam – rzekł Colin. Jego ciemne oczy patrzyły na nią z miłością, a zarazem – determinacją. – Właśnie to dziś rano podśluchałaś. Ja jednak doszedłem do wniosku, że nic mnie to nie obchodzi.

– Nie obchodzi? – Amelia położyła dłoń na brzuchu, w którym nagle jej zatrzepotało.

– Nie. Nie obchodzi. – Skrzyżował ramiona, prężąc potężne mięśnie. Na ich widok Amelię przeszył dreszcz podniecenia. – Kocham cię. Pragnę cię. Mam zamiar z tobą być. Nic innego się nie liczy.

– Colin!

– Wykradłem cię, Amelio. Uciekłem z tobą, czyli zrobiłem coś, co zawsze chciałem zrobić. – Uśmiech znowu rozpromienił jego twarz. – Za dwa tygodnie będziemy już mężem i żoną.

– A ja mam coś w tej sprawie do powiedzenia?

– Jeśli sobie życzysz, możesz powiedzieć „tak”. W innym przypadku – nie masz nic do powiedzenia.

Amelia roześmiała się, a z jej oczu pociekły łzy.

Colin pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach.

– Powiedz, że to łzy szczęścia.

– Colinie – westchnęła niepewnie. – Jak mogę powiedzieć „tak”? Bezduszne odrzucenie Ware’a w imię własnej przyjemności to zachowanie dokładnie w stylu mojego ojca. Był w tym mistrzem. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że postępuję tak samolubnie. A może nawet z czasem zniechęciłabym cię za to, że mnie do tego nakłoniłeś.

– Amelio – rzekł Colin, prostując ramiona. – Gdybym ci powiedział, że Ware nie pragnie niczego więcej jak twojego szczęścia, pewnie by ci ulżyło, a nam pomogło dojść do zgody. Ale ja tego nie chcę.

Zmarszczyła czoło.

– Tak. Oboje działamy porywczo – ciągnął. – Chwytam chwilę, cieszymy się naszą miłością, nie oglądając się na innych. Tacy właśnie jesteśmy – w tym do siebie podobni. Nie należymy do ludzi, którzy potrafiliby powstrzymać się od radości.

– Nie da się tak żyć.

– Owszem, da się. O ile nie rani to innych – mówił coraz bardziej żarliwie, całkowicie przykuwając jej uwagę. – Ware nie kocha cię tak jak ja. A ty nie kochasz jego. Podejrzewam też, że nie kochasz siebie, a przynajmniej nie tak jak powinnaś. Oskarżyłaś mnie, że chcę być kimś, kim nie jestem, choć sama sobie możesz zarzucić dokładnie to samo! Chciałabyś zmienić się w kobietę wierną zasadom i powinnościom towarzyskim, choć wcale taką nie jesteś! Nie wstydz się cech, dla których tak bardzo cię kocham.

– Welton był ohydny człowiekiem! – zawołała. – Nie chcę być do niego podobna.

– Nie potrafiłabyś – zapewnił i złapał ją za rękę. – Wypełnia cię umiłowanie życia i rodziny. Twojego ojca przepelniała tylko miłość do samego siebie. To są dwie różne rzeczy.

– Ware...

– Ware wie, co robię. Gdyby chciał, mógłby nas zatrzymać, ale nie zrobił tego. Mimo wszystkich przeciwności zmieniam się, by cię mieć. Biorę ten dzień i ciebie, a o całej reszcie – zapominam. To przerażające, tak. Oboje będziemy musieli wyjść z klatek, w których się sami zamknęliśmy, i powędrować w nieznaną. Ale przynajmniej będziemy mieć siebie nawzajem.

*Z klatek.* Tyle czasu żyła w klatce. Z jednej strony nienawidziła ograniczeń, z drugiej – przyjmowała je z wdzięcznością, bo nie pozwalały jej stać się podobną do Weltona.

– Ależ ty mnie świetnie znasz – wyszeptwała.

– Tak. Znam cię lepiej niż ktokolwiek na świecie. To ty kazałaś mi wierzyć, że mogę być ciebie wart. Teraz to ty musisz uwierzyć, że jesteś mnie warta. Zaufać, że nie ciąży na tobie żadna cecha

charakteru twojego ojca. Zaufać, że jestem wystarczająco dobry i mądry, by móc kochać wspaniałą kobietę.

Przycisnęła wargi do jej dłoni.

– Zdecyduj się zrobić ze mną ten krok, Amelio. Kurczowo trzymam się naszej miłości. Obiema rękami, nie zważając na wszystkie argumenty przeciw. Zrób to samo. Przyjmij swoją dziką naturę i ucieknij ze mną. Bądź ze mną wolna. Dzięki temu będziemy szczęśliwsi.

Długo patrzyła na niego oczami, z których płynęły łzy, zamazując obraz ukochanego. Potem rzuciła się w jego ramiona.

– Tak – wyszeptala i przycisnęła policzek do jego policzka. – Bądźmy wolni.

Christopher, Simon i Ware siedzieli pogrążeni w dyskusji, kiedy do pokoju wpadła Maria. W jednym ręku trzymała brzeg swojej spódnicy, a w drugim – liścik.

Wszyscy trzej natychmiast poderwali się z miejsc. Christopher i Simon ze zmarszczonymi ze zdziwienia brwiami rzucili się w jej stronę. Tylko Ware został na miejscu i patrzył na nich pytającym wzrokiem.

– Znalazłam to na poduszce Amelii! Mitchell odjechał i zabrał ją ze sobą.

Simon mrugnął oczami.

– Słucham?

– Doprawdy? – zapytał z uśmiechem Christopher.

– Twierdzi, że zamierza się z nią ożenić. – Przeniosła wzrok na kartkę i jeszcze raz ją odczytała. – Pojechali na północ.

– W takim razie musimy się spieszyć, bo przegapimy zaślubiny – odezwał się Ware.

– To hrabia wiedział? – Maria patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Raczej miałem nadzieję – poprawił ją. – Cieszę się, że temu człowiekowi wrócił zdrowy rozsądek.

Maria otworzyła usta, po czym je zamknęła.

– Cóż, w takim razie nie ma co marudzić – rzekł Christopher, złapał żonę za łokieć i odwrócił ją w kierunku drzwi. – Musimy się pakować. Tim może przypilnować *mademoiselle* Rousseau i Jacques’a podczas naszej nieobecności.

– Na północ – mruknął Simon. – Czy mogę zabrać się pańskim powozem, hrabio?

– Oczywiście.

Maria, wciąż nie dowierzając, obejrzała się przez ramię na Ware’a.

– To szczęśliwa chwila, pani St. John – odezwał się swym eleganckim tonem, przeciągając samogłoski. – Powinna się pani cieszyć – jak ja.

– Tak, milordzie.

Spojrzała na Christophera, a on skinął głową. Na ten znak wzruszyła ramionami i zaśmiała się głośno. A potem uniosła spódnice i na wyścigi z mężem pobiegła na górę.

## EPILOG

---

– Za kilka godzin odpływamy – rzekł Quinn, bawiąc się frędzlami kolorowej poduszki. – Moje kufry i lokaj są już na pokładzie, a Lysette – zamknięta w mojej kabinie.

Siedzieli w salonie nowej siedziby Colina w Londynie. Pokój był duży i pięknie urządzony w kolorach złotym i jasnoniebieskim. Tu i ówdzie Amelia dodała rodzinne pamiątki – poduszki w pięknych pokrowcach, małe, rzeźbione figurki i misy pełne rzymskich świecidełek, które dostali od Pietra w prezencie ślubnym. Wystrój ten był niemodny i zapewne mógłby zostać oceniony jako mało stylowy, ale im się podobał i chętnie spędzali w domu dużo czasu.

*Przyjmij to, kim jesteś*, powiedziała z niespotykaną u niej wcześniej pewnością siebie, która niewiarygodnie silnie działała na jego zmysły. Ona również była wreszcie gotowa przyjąć swoją nierosnądą naturę, którą przez tyle lat starała się okiełznać. Na szczęście udało jej się zwalczyć strach, że stanie się podobna do ojca. Colin również odniósł zwycięstwo nad obawami, że nie jest i nigdy nie będzie jej godzien.

Colin odchylił się na krześle i zapytał Quinna:

– Czy Francuzi zgodzili się uwolnić twoich ludzi w zamian za *mademoiselle* Rousseau i Cartlanda?



– I za Jacques’a. Jego też chcą. Ale na razie biorę z sobą tylko Lysette. Pozostałych dwoje mogę im dostarczyć później, kiedy będę pewien, że dotrzymają warunków umowy.

– Nie zazdroszczę ci tej wyprawy – rzekł Colin z grymasem. – Nie wyobrażam sobie *mademoiselle* Rousseau w roli karnego więźnia.

– Racja. Biedaczka marnie się miewa. Za to dla mnie cała ta sprawa to jedna wielka przyjemność.

Colin roześmiał się:

– Bo niezły z ciebie łajdak. Kiedy wrócisz?

Quinn wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Może kiedy już będę pewien, że wszyscy moi ludzie zostali wypuszczeni? Albo jeszcze później? Może wybiorę się w jakąś podróż?

– Jesteś dobry dla swoich ludzi, Quinn. Zawsze mi tym imponowałeś.

– To już nie są moi ludzie. Zrezygnowałem. – Na widok uniesionych brwi Colina wzruszył ramionami. – Tak, to prawda. Praca dla Eddingtona przez jakiś czas stanowiła dla mnie rozrywkę, ale pora już rozejrzeć się za czymś innym.

– Na przykład?

– Na pewno coś wyniknie – uśmiechnął się Quinn. – Widząc cię w tym wytwornym stroju, coraz bardziej dochodzę do przekonania, że życie towarzyskie na wysokim poziomie nie jest dla mnie. Z nudziłbym się na śmierć.

– Nie, jeśli miałbyś u boku odpowiednią kobietę.

Quinn odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się tak głośno i szczerze, że Colin też musiał się uśmiechnąć.

– Nawet kiedy byłem rozpaczliwie zakochany w Marii – odparł, dźwigając się na nogi – dzięki Bogu nie przychodziły mi do głowy takie pomysły.

Colin również się podniósł, rumieniąc się ze wstydu.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł przypomnieć ci twoje słowa. I stwierdzić, że je jednak odwołałeś.

– Ha! Taki dzień szybko nie nastąpi, przyjacielu. Zapewne żaden z nas go nie dożyje.

Quinn odwrócił się, by wyjść z pokoju, a Colina ogarnął smutek z powodu ich pożegnania. Quinn był z natury włóczęgą, niespokojną duszą, będą więc widywać się znacznie rzadziej. Po wszystkim, co razem przeżyli i czego doświadczyli, uważał go prawie za brata. I wiedział, że będzie za nim tęsknił jak za bratem.

– Żegnaj, mój przyjacielu – powiedział Quinn, klepiąc go po plecach, kiedy byli już w holu. – Życzę ci dużo radości. A tobie i Amelii – dużo dzieci.

– Ja też mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy.

Quinn zasalutował elegancko, dotykając ręką czoła, i już go nie było. Ruszył tropem następnej przygody.

Colin długo stał na dole i wpatrywał się w zamknięte drzwi.

– Kochanie.

Pod wpływem namiętnego głosu Amelii po jego ciele rozeszła się fala gorąca.

Odwrócił się do niej z uśmiechem i stwierdził, że stoi u szczytu schodów. Miała na sobie tylko szlafrok. Pomiędzy pasmami misternie ułożonych włosów połyskiwały diamenty.

– Jeszcze się nie ubrałaś? – zapytał.

– Już prawie skończyłam.

– Nie odnoszę takiego wrażenia.

– Musiałam przerwać, bo Anne przyniosła mi dodatki do mojego stroju... i ostatni element twojego.

– Och, naprawdę? – Uśmiechnął się szeroko. Dobrze znał ten uwodzicielski, figlarny błysk w jej oczach.

Z gracją uniosła lewą rękę. W świetle świecy z kandelabra w holu zamigotał szmaragd w jej ślubnej obrączce. W delikatnych, drobnych palcach, obleczonych w przezroczysty, czarny szyfon, trzymała znajomą białą maskę.

Wszystkie mięśnie jego ciała napięły się.

– Jeśli chcesz – mruknęła – możemy iść na bal maskowy, tak jak planowaliśmy. Wiem, że poświęciłeś sporo czasu, żeby się ubrać.

Ruszył ku schodom.

– Rozebranie się zajmie mi znacznie mniej czasu – rzucił.

– Chciałabym, abyś to włożył.

– Specjalnie wyjąłem to na wierzch.

– Ty niegodziwcze.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, Colin wbiegł na schody, złapał ją i napawał się dotykiem jej miękkiego niczym nieskrepowanego ciała.

– *Ja* jestem niegodziwcem? To ty, hrabino Montoya, odciągasz mnie od udziału w spotkaniu towarzyskim, by spędzić ze mną noc na rozpuście i hulankach!

– Nie mogę sobie odmówić. – Przyłożyła mu maskę do twarzy i zawiązała satynowe wstążki. – Mam w sobie tyle namiętności.

– A więc proszę, pofolguj sobie – powiedział i przycisnął wargi do jej szyi. – Proszę o to, a nawet błagam.

Roześmiała się. Jej śmiech przepelniały radość i miłość. Śmiech ten trafił prosto w jego serce i pozostał w nim przez wiele, wiele godzin. Wraz z innymi, równie cudownymi odgłosami.

# PODZIĘKOWANIA

---

Dziękuję Kate Duffy za wyrozumiałość i rady. Była do dyspozycji zawsze, kiedy tylko potrzebowałam. Bez niej nie skończyłabym pisać tej książki.

Dziękuję Nadine Dupont za pomoc we francuskim. Wszystkie błędy to tylko moja wina.

Dziękuję wszystkim świetnym dziewczynom, z którymi rozmawiałam, za pomoc i przyjaźń.

Dziękuję Patrice Michelle, Janet Michelle, Mardi Ballou za współczucie.

Jestem wam wszystkim wdzięczna. Dziękuję bardzo!

W SERII UKAŻĄ SIĘ:

---

NR 1 NA ŚWIATOWYCH LISTACH BESTSELLERÓW

SYLVIA DAY



TYLKO MNIE POPROŚ



 WIELKA LITERA

NR 1 NA ŚWIATOWYCH LISTACH BESTSELLERÓW

SYLVIA DAY



NIE IGRAJ ZE MNĄ



 LITRA

NR 1 NA ŚWIATOWYCH LISTACH BESTSELLERÓW

SYLVIA DAY



TYLKO ON



 ELKA LITERA



# Tylko mnie uwiedź

## Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

Podziękowania

W serii ukaza się:

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
PASSION FOR THE GAME

Projekt serii i zdjęcie na okładce  
*Anna Małyszek*

Redakcja  
*Ewelina Wojdyło*

Korekta  
*Bogusława Jędrasik*

Copyright © 2007 by Sylvia Day  
Copyright © for the translation by Ksenia Sadowska, 2014  
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2014



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa

Odwiedź  
nas na 

ISBN 978-83-64142-46-8



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

